PO NOCY DRONÓW NAD POLSKĄ

Lisicki i Wieromiejczyk o kompromitacji rządu



Czy stać nas na własną politykę wschodnią? – analizuje Lech Mażewski

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 39/648 22–28 WRZEŚNIA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PIOTR GOCIEK OSTRO O FILMIE PASIKOWSKIEGO „ZAMACH NA PAPIEŻA”



Ile kosztuje Polaków turystyka medyczna Ukraińców



Cały On

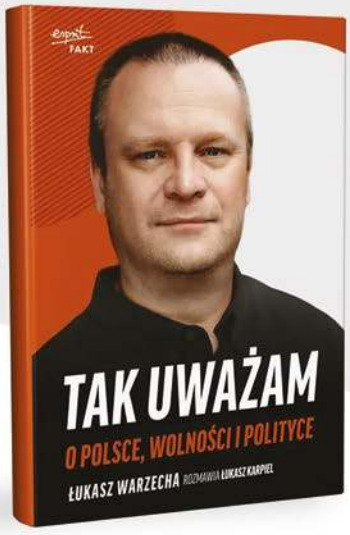
PO 10 LATACH DOWIADUJEMY SIĘ, JAKIM PREZYDENTEM BYŁ ANDRZEJ DUDA

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ŁUKASZ WARZECHA, ROZMAWIA ŁUKASZ KARPIEL: „TAK UWAŻAM. O POLSCE, WOLNOŚCI I POLITYCE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1003~~ ZŁ

466,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 537 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0f0a3f5071

Kompromitacja w Wyrykach



PAWEŁ LISICKI

Zapis kolejnych informacji dotyczących uderzenia rakiety z polskiego F-16 w dom w Wyrykach jest kroniką kompromitacji polskich władz. Tydzień temu napisałem, dlaczego wątpię w oficjalną wersję wydarzeń, podtrzymywaną zgodnie przez rząd i opozycję, zgodnie z którą Polska została celowo i z premedytacją zaatakowana przez Rosję. Wskazałem, że najpoważniejszym problemem oficjalnej narracji jest brak podania motywu. Jak można było oczekiwać, takie krytyczne podejście spotkało się z tym, z czym najczęściej w polskiej debacie spotyka się głos nieodpowiadający większości, a więc z agresją. Jedni pisali, że sprawa jest tak oczywista, że nie trzeba jej wyjaśniać. Inni z góry domniemywali, że kto pyta, ten ruski agent, nie mogąc się jedynie zdecydować, czy kieruje nim głupota czy pazerność.

W chwili, gdy media ujawniły, że najprawdopodobniej w dom w Wyrykach – a jego zdjęcie było koronnym dowodem agresji Moskwy – uderzył nie rosyjski dron, ale polska rakieta, cała ta akcja propagandowa pękła niczym bańka mydlana. No bo jak mam wierzyć w oficjalną wersję wydarzeń, skoro w tak istotnym fragmencie jest ona kłamliwa? Jak mogę uznawać, że władze i wojsko przekazują sprawdzone i wiarygodne informacje, skoro w tej kluczowej sprawie przez sześć dni wprowadzały całą opinię publiczną w błąd?

Najgorsze, że w ten sposób ośmieszono Polskę. I to z prawdziwie globalnym rozmachem, bo na arenie światowej. Ha, faktycznie, to czego dokonał reprezentant Polski podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ, wykracza poza wszystkie wcześniejsze groteskowe wyczyny naszych dyplomatołków. Otóż wiceminister spraw zagranicznych Marcin Bosacki, reprezentując Polskę na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa w siedzibie ONZ w Nowym Jorku (sami żeśmy je zwołali!), właśnie zdjęcie zniszczonego domu w Wyrykach przedstawił jako dowód rosyjskiego ataku. „Drony są instrumentami terroru, które niszczą na całej Ukrainie domy, rodziny i społeczności. Dwa dni temu starały się uderzyć w polskie domy. To jest jeden z nich" – mówił minister Bosacki. I w tym momencie pokazał zdjęcie domu zniszczonego przez, jak twierdził, fragment rosyjskiego drona w Wyrykach. Tę fotografię – dowód rosyjskiej agresji – przedstawiły światowe agencji i telewizje. Do licha, czy nikt go nie mógł uprzedzić? Czy nikt nie mógł mu powiedzieć, że tego zdjęcia nie wolno pokazać, bo nie ma pewności, czy to faktycznie rosyjski dron?

Cała ta historia ma kilka morałów. Pierwszy: mimo czasu, który upłynął od lutego 2022 r., czyli ataku Rosji na Ukrainę, ogół polskich polityków i publicystów bynajmniej nie zmądrzał. Dają się podejść jak dzieci. Nie są w stanie zadawać krytycznych pytań i badać, bo z góry już wiedzą, że i tak za wszystko odpowiadają Putin i Moskwa. Nikt nie uprzedził Bosackiego, bo w Polsce wobec tego, co się tyczy Rosji, nie wolno mieć wątpliwości. Wojna na Ukrainie to starcie dobra (Zachód) i zła (Moskwa).

Morał drugi: wyraźnie widać, że głośna retoryka prowojenna stała się kluczowym pomysłem Donalda Tuska na przetrwanie. Pojawienie się dronów musiało być rosyjską agresją, bo tego potrzebował coraz bardziej zagoniony w kozi róg gabinet. Uderza, że nie potrafili tego zrozumieć politycy PiS i zaplecze prezydenta Karola Nawrockiego. Jedni i drudzy natychmiast wsparli linię rządową. W efekcie nie pojawił się żaden ośrodek polityczny, który byłby w stanie zadać kluczowe pytania.

Morał trzeci: przedstawiając na forum ONZ, a więc na oczach całego świata, dowody rosyjskiej agresji w postaci zdjęcia domu zniszczonego przez polską rakietę, Polska skutecznie podważyła opowieść o rosyjskim ataku. Najgorsze jest to, że w ten sposób wiarygodność Polski uległa radykalnemu osłabieniu. Kto uwierzy naszym opowieściom w sytuacji, w której w przyszłości naprawdę staniemy się obiektem rosyjskiego ataku (czego nie można wykluczyć), skoro tak łatwo szafujemy oskarżeniami?

Wielokrotnie mówiłem, że wobec tego, co się tyczy tej wojny, ogół polskich polityków i ekspertów reaguje nie racjonalnie, ale instynktownie i emocjonalnie. Są niczym małpa w klatce – wystarczy, że ktoś przeciągnie prętem po kratach. Dlatego tak łatwo nami manipulować i dlatego, obawiam się, historia rzekomego uderzenia rosyjskiego dronu w Wyrykach niczego nas nie nauczy. Bo przecież i tak, jestem pewien, usłyszę, że wszystkiemu jest winny Putin. Dlatego nie ma sensu badać, kto i w jaki sposób doprowadził do największej kompromitacji Polski na arenie światowej. Prawdziwy polski patriota nie pyta i nie bada, tylko z góry idzie za głosem serca. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071



TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
CAŁY ON
Jakim prezydentem był Andrzej Duda?

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
KRAJOBRAZ PO WIELKIM SZOKU
Drony ze Wschodu a polska polityka

22 ROZMOWA Z JACKIEM HOGĄ
MOCNI W GĘBIE

24 JERZY KARWELIS
ROZDZIOBIĄ NAS KRUKI I DRONY...

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SPALIĆ, ZNISZCZYĆ, NIE ODDAĆ

28 RADOSŁAW WOJTAS
ILE KOSZTUJE POLAKÓW TURYSTYKA MEDYCZNA UKRAIŃCÓW

30 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
NOWE KRYTERIA PATRIOTYZMU

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
PRZEDE WSZYSTKIM RODZINA

KULTURA

34 WIESŁAW CHEŁMINIAK
KOCHANKOWIE W LABIRYNCIE
Jubileusz świątyni miłości

37 KRZYSZTOF MASŁOŃ
TOMASZEK, ACH, TOMASZEK

38 PIOTR GOCIEK
JAK FRANZ STRZELAŁ DO PAPIEŻA

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 MARIUSZ JAGÓRA
KONIEC ZIELONEJ UTOPII W USA
Dla klimatu czy dla pieniędzy?

47 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
CO UPADŁO W WYRYKACH?

48 LECH MAŻEWSKI
CZY STAĆ NAS NA WŁASNĄ POLITYKĘ WSCHODNIĄ

50 JAROSŁAW LINDENBERG
WYSIEDLIĆ RUSKICH NA KSIĘŻYC!

52 FILIP MEMCHES
DAWID KONTRA GOLIAT. RYWALIZACJA O RZĄD DUSZ NA WĘGRZECH

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
BÓG I KONSTYTUCJA

HISTORIA

56 MACIEJ KORKUĆ
ZAWŁASZCZONE VIRTUTI MILITARI
Czy pozbawić Maksymiliana Sznepfa odznaczenia?

ŚWIAT

60 ROZMOWA Z TINĄ DESCOVICH
RADYKALNA LEWICA PRZENIKNĘŁA DO GŁÓWNEGO NURTU
USA po zabójstwie Charliego Kirka

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZAGADKA ŁUKASZENKI

68 ROBERT BOGDAŃSKI
CO DALEJ Z CHIŃSKIM CUDEM KOLEJOWYM?

70 PIOTR WŁOCZYK
SIEDEMDZIESIĘCIOLETNIE DZIECI

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI
HOSSA NA „TITANICU"
Wielki krach coraz bliżej

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 0f0a3f5071

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Hollie Adams/Getty Images**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Marysieńka na Kapitolu", Piotr Semka, „DRz" 38/2025

Szanowna Redakcjo,
do Rzymu się nie wybieram, a szkoda, bo opisywaną przez pana redaktora Piotra Semkę wystawę z przyjemnością bym obejrzał. Kto wie, może podobną, poświęconą Marysieńce, ale nie we włoskim kontekście, zaproponuje nam kiedyś Muzeum Historii Polski? Może innym kobietom z naszej historii? Przecież feminizm jest tak modny w kręgach bliskich panu dyrektorowi, który objął schedę, nie przejmując się tym, że zastępuje haniebnie zwolnionego państwowca, za którym opowiadało się środowisko historyków, muzealników, ludzi o bardzo różnych poglądach. Niestety, feminizm nie jest tak modny jak durny serialik Netflixa cisnący bekę z zacofanej polskiej szlachty etc., bo chyba tylko modą można tłumaczyć decyzję o otwarciu (krótkiej, bo krótkiej, ale jednak) wystawy w Muzeum Historii Polski o tym serialiku. Ręce opadają.

Wracając do Marysieńki. Cieszę się, że redakcja mojego ulubionego tygodnika sięga po tematy historyczne i kulturalne, które nie zawsze mają szansę trafić do szerokiego grona odbiorców, a przecież stanowią ważną część naszej tożsamości. Takie publikacje nie tylko uzupełniają wiedzę, lecz także zachęcają do dalszych poszukiwań i refleksji. Proszę przyjąć podziękowania dla autora i redakcji za rzetelność i dbałość o jakość przedstawianych treści […].

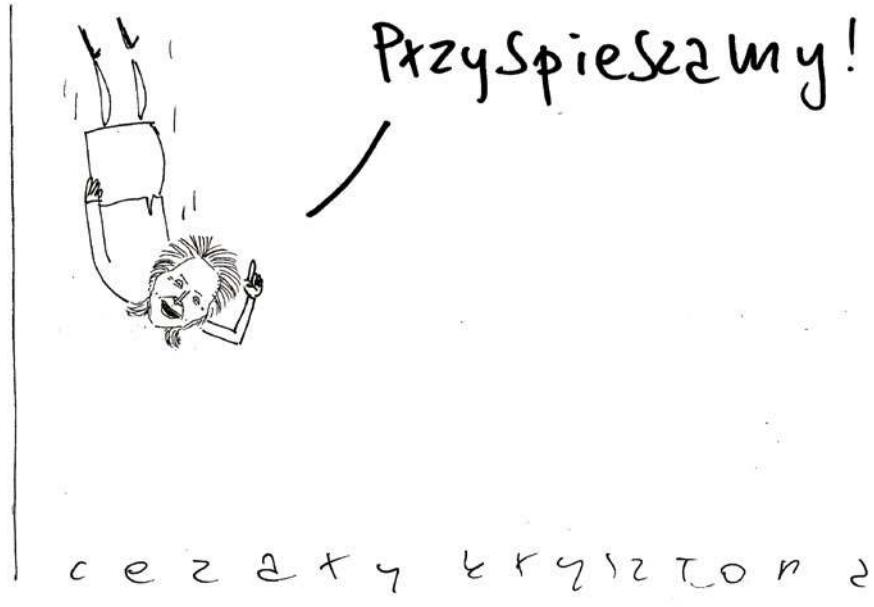
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Sprawczy Trzaskowski

Nie jestem zwolenniczką zakazów i nadmiernych regulacji, zakazu nocnej sprzedaży alkoholu również. Awanturę o tę sprawę w Warszawie obserwuję z zaciekawieniem i ze zdziwieniem. Oto Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy, musi wycofywać z obrad swój projekt, bo z zaangażowaniem godnym lepszej sprawy sprzeciwiają mu się jego partyjni koledzy. Pan Trzaskowski, który jeszcze niedawno nas przekonywał o swojej niezwykłej sprawczości, który chciał prowadzić Polskę na europejskie i światowe salony, przed którym Putin miał klękać, nie potrafi we własnym mieście zamknąć sklepów monopolowych na noc. Dzięki Bogu i Polakom za wynik drugiej tury.

Z pozdrowieniami dla całej Redakcji i Czytelników

Marta Dorszewicz



eprasa.pl 0f0a3f5071



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

O jeden numer za dużo

Elmar Thevessen – korespondent stacji telewizyjnej ZDF w USA – był na medialnym firmamencie Niemiec uznaną gwiazdą. W 2023 r. otrzymał prestiżową nagrodę medialną im. Hannsa Joachima Friedrichsa za „spokojną pracę wysoce wydajnego profesjonalisty". Tyle że ta pochlebna opinia jury nijak miała się do faktów. Thevessen stosował taryfę ulgową wobec demokratów i płonął niechęcią do Donalda Trumpa. Ten typ ideowego zaangażowania, mimo że był zauważany, nie wyróżniał Thevessena na tle większości niemieckich mediów. Nikt nie reagował, gdy nazywał Trumpa „faszystą", porównywał go do Hitlera i Mussoliniego czy głosił, że ruch MAGA to zagrożenie dla amerykańskiej demokracji.

Skandal wybuchł dopiero po zamordowaniu Charliego Kirka. 11 września 2025 r. Thevessen wypełnił krytyką osoby Kirka zagraniczny magazyn ZDF, a następnie powtórzył to w programie Markusa Lanza. Zaatakował Kirka jako zwolennika kamienowania homoseksualistów. Było to nadużycie, gdyż Kirk zacytował jedynie odpowiedni fragment Biblii, aby wykazać absurdalność polemiki aktywistki LGBTQ, która atakowała go innym cytatem z Biblii. Niemiecki korespondent zaczerpnął swe insynuacje na temat Kirka z lewicowych kont twitterowych. Sprawę w Niemczech nagłośniło konserwatywne pismo „Cicero" i dopiero wtedy odezwały się władze ZDF. Stacja wyraziła ubolewanie, że „w trakcie programów nie był on bardziej szczegółowy".

W końcu odezwał się były ambasador USA w Berlinie, republikanin Richard Grenell, który wprost zażądał wydalenia Thevessena z USA. Przypomniał, że wcześniej niemiecki korespondent przedstawił zastępcę szefa sztabu Białego Domu Stephena Millera jako ideologa nazistowskiego. Grennel argumentował, że skoro korespondent oznacza amerykańskich polityków etykietką nazistowską, to tym samym tworzy aurę pod przemoc taką samą jak ta, której ofiarą padł Charlie Kirk.

W Niemczech wybuchła dyskusja. Komentator dziennika „Die Welt" Frank Lübberding wskazał, że casus korespondenta w USA to problem szerszy, który dotyka sporej części niemieckich korespondentów. „Dla Thevessena relacjonowanie stało się już dawno częścią walki z faszyzmem". W obronie korespondenta ZDF zabrała z kolei głos posłanka Zielonych Katrin Göring-Eckardt, wskazując na to, że to Thevessen jest obecnie w USA ofiarą fali gróźb i wyzwisk.

Czytając o sporze wokół Thevessena, nie sposób się gorzko nie uśmiechnąć. W czasie ostatniej kampania prezydenckiej Karola Nawrockiego przedstawiano za Odrą głównie jako „byłego boksera oskarżanego o sutenerstwo". Uparcie milczano o jego wyższym wykształceniu czy fakcie, że przez długie lata kierował Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, a potem IPN. Tyle że amerykańscy republikanie bardzo ostro reagują na przypadki, gdy obcy korespondenci kłamią i obrażają. U nas skrajnie nieobiektywne korespondencje niemieckich dziennikarzy rzadko ktoś komentuje. Problem zaś jest w obu wypadkach ten sam – ideologizacja niemieckich mediów z wychyleniem w lewą stronę. ©℗



FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

TRYBUNAŁ UMORZYŁ POSTĘPOWANIE W SPRAWIE PREZES MANOWSKIEJ

Postępowanie Trybunału Stanu w sprawie immunitetu I prezes Sądu Najwyższego, przewodniczącej TS Małgorzaty Manowskiej, zostało umorzone – ogłosił w czwartek jej pełnomocnik adw. Bartosz Lewandowski. Trybunał podjął taką decyzję w trzyosobowym składzie. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071

dwaj panowie g


FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Słyszeliście na pewno od wielu tygodni, jak to premier Mateusz jest w niełasce, a kandydatem szeregowego posła prezesa PiS na premiera jest Tobiasz Bocheński. Otóż jest to już nieaktualne. Do łask wrócił bowiem Morawiecki i to znowu on jest na pole position. W dużym stopniu zawdzięcza to rozjechaniu Mentzena w rozmowie na kanale u tego ostatniego. Jak wiadomo, Morawiecki jest powszechnie kochany w Konfederacji. Tak kochany, że zobaczymy koalicję jak świnia niebo.

Jednocześnie trwają (nieustannie) przygotowania do kongresu PiS, na którym m.in. mają być przedstawione rozmaite nowe otwarcia. Jeśli wszystkie będą równie nowe, jak wystawienie premiera Mateusza na premiera, to czeka nas bardzo interesująca jesień.

Złonet i Fakt, media polskojęzyczne dla Polaków, rozdarły szaty, że nowa osoba głowy państwa nie będzie miała gdzie wzmacniać tężyzny fizycznej po przeprowadzce z Belwederu do Pałacu Prezydenckiego. Gdyż przy Krakowskim Przedmieściu nie ma ogólnodostępnej siłowni. To my może wytłumaczymy. Nie można wejść z ulicy do Pałacu i wyginać śmiało ciało.

Jednak w rzeczywistości przy Krakowskim jest nie tylko siłownia, lecz także sauna. Mieści się w lewym skrzydle Pałacu na półpiętrze, na samym końcu korytarza. Na ogół korzystali z niej funkcjonariusze Służby Ochrony Państwa, a także Jakub Kumoch. Facet, który jest dziś ambasadorem w Pekinie. Jakby było tego mało, poprzedni lokator Pałacu, czyli Andrzej Sebastian, miał prywatny pokój do ćwiczeń w swoim mieszkanku w Pałacu. Dokładnie w tym samym miejscu gym chce urządzić Karol. Pracowników mediów ze Złonetu i „Faktu" uprzedzamy – nadal nie będzie to ogólnodostępna siłownia.

Àpropos tężyzny fizycznej. Niedawno w Niemczech, w związku ze słabymi wynikami sportowców niemieckich na igrzyskach, postanowiono podnieść trzykrotnie budżet na sport wyczynowy. U nas też zmiany. W projekcie budżetu Ministerstwa Sportu na przyszły rok jest obcięcie budżetu na sport wyczynowy o połowę. Słusznie. Po co nam nowe medale, skoro jakieś będą w Berlinie?

Jak wiadomo, jeden z najlepszych żartów rysunkowych Andrzeja Mleczki to ten, na którym zatroskany osobnik mówi, obserwując rzeczywistość, „żeby chociaż przy wszystkim było napisane, czy to na poważnie czy dla jaj". Przypomniał nam się ten żarcik w związku z „njusami" o rychłym „zjednoczeniu" i powstaniu „nowej partii". Nie szczędzimy cudzysłowów, gdyż chcemy, żeby od razu było wiadomo, że dla jaj. Uwaga, podajemy główną część żartu: Inicjatywa Polska oraz Nowoczesna zamierzają połączyć się z Platformą Obywatelską. Pozdrawiamy zarówno tych, którzy nie wiedzieli dotąd, że istnieje coś takiego jak Inicjatywa Polska, jak i tych, którzy myśleli, że Nowoczesna zdechła wiele lat temu.

Ale ma być, tamdamdamdamdam (motyw ze „Szczęk"), prawdziwa nowa partia. Nawet ma nowość w nazwie: Nowa Polska. Niestety, nowa Polska jest dość stara, gdyż zakładają ją Wadim Tyszkiewicz, Andrzej Dziuba i Zygmunt Frankiewicz. Ten pierwszy to nowa jakość, gdyż zaliczył już w życiu m.in. Nowoczesną oraz miłość do Hołowni. Ten drugi pielęgnował latami niezależność dzięki wsparciu Platformy Obywatelskiej. Ten trzeci zaliczył KLD, UW, PO, Polskę XXI i Koalicję Obywatelską, co od lat jest gwarancją nie tylko niezależności, lecz także nowości. My lekko skorygowalibyśmy nazwę Nowej Polski. Proponujemy: Taka Polska.

Ponieważ każda partia potrzebuje programu, przygotowaliśmy dla Nowej Polski (i dla wszystkich innych chętnych) prosty generator programów wyborczych. Po lewej stronie spisujemy postulaty w formie czasowników. „Uwolnić", „odmienić", „naprawić", „odzyskać", „ukochać", „wyzwolić". W środku spisujemy cele: „Polskę", „energię Polaków", „przedsiębiorczość", „innowacyjność", „niewydolny system". Po prawej precyzujemy, w jaki sposób: „śmiało", „bez podziałów", „na nowo", „bezpartyjnie", „nowocześnie". Losujemy po jednym ze słów z każdej kolumny – i gotowe! Proszę, sprawdzić, to działa.

Najbardziej ubawiła nas zapowiedź, że Nowa Polska to ma być „partia liberalno-konserwatywna, wyróżniająca się brakiem lidera". Pamiętamy, kiedy zakładano poprzednią taką partię. Nazywała się Platforma Obywatelska.

Najnowsze wieści z mediów. Jak wiadomo, rozpadła się braterska współpraca braci mniejszych w imperium sieciowo-wpolskim. Michał Karnowski po odejściu z owego imperium nie tylko poszukuje nowych inwestorów dla nowej telewizji, lecz także wybrał drogę znaną niejednemu człowiekowi niezrozumianemu w Polsce: trudny chleb na obczyźnie. Nie znaczy to, że wyemigrował, uspokajamy. Zaczął natomiast pisać do portalu Brussels Signal. Popieramy, gdyż popieramy wszelkie formy działalności Polaków w języku lengłydź. Oczywiście oprócz tych Kuisza, Wigury, Applebaum i Radka.

Choć prezydent Karol Tadeusz zawetował ustawę kontynuującą dawanie Ukraińcom po „800+" jak leci, nasze ukraińskie wiewiórki nie są obrażone i przynoszą orzeszki. Oto jeden z nich: pamiętacie gen. Załużnego? Były dowódca armii ukraińskiej zesłany został półtora roku temu na ambasadora do Londynu. Bo miał ponoć ambicje prezydenckie. W dodatku wujek Donald z Waszyngtonu, który nie cierpi Zełenskiego, też widziałby Załużnego jako nowego prezydenta Ukrainy. Otóż nowinka jest taka: w rodzinie Załużnych, owszem, są ogromne ambicje prezydenckie. Tyle że przejawia je nie Wałerij, ale jego ambitna żona, Olena. Tak mówią wiewiórki z kręgów dyplomatycznych Londynu. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Powtórka

Decyzję Donalda Trumpa o wpisaniu Antify na listę organizacji terrorystycznych światowa lewica przyjęła – jakżeby inaczej – chóralnym oburzeniem. „Na naszych oczach w USA zaczęła się nagonka na lewicę, która może trwale odmienić Stany Zjednoczone" (tzn. uczynić je państwem faszystowskim) – ostrzega portal gazeta.pl, wpasowując się w ton obowiązujący w tzw. opiniotwórczych mediach. Przeciwko „faszyzmowi" w USA wychodzi też lewica na ulicę. W Londynie, podczas wizyty Trumpa, „powstrzymania go" domagało się całe 5 tys. manifestantów (kilka dni wcześniej w marszu antyimigranckim wzięło tam udział od 2 do 3 mln ludzi).

Pytać, czy Antifa naprawdę jest organizacją terrorystyczną, to jakby pytać, czy Warszawa jest miastem – kto ciekaw szczegółów, niech sięgnie po książkę „Unmasked" amerykańskiego dziennikarza Andy'ego Ngo, który wniknął w jej szeregi i upublicznił wiele tajemnic ruchu. Te tajemnice dotyczą zresztą sposobów agregowania przemocy, samego uwielbienia dla niej lewicowi bandyci wcale nie ukrywają – przecież każdy, kogo atakują, to faszysta, a w walce z faszyzmem nie ma miejsca na burżuazyjny sentymentalizm. Dlatego zwierająca szeregi w ich obronie lewica używa argumentu przewrotnego: Antifa nie jest organizacją, „nie wydaje legitymacji", więc nie wiadomo, kto do niej należy, a skoro tak, to otwiera się pole do nadużyć.

W istocie swoją strukturą Antifa przypomina Al-Kaidę: nie ma ścisłej hierarchii, są grupy zadaniowe, wspólne know-how, instrukcje dla „antyfaszystowskich" dżihadystów, wskazywanie celów i ogólne inspirowanie do przemocy, także do morderstw. To czyni ją, podobnie jak binladenowski wzorzec, szczególnie niebezpieczną. Pozwala też lewicowym liderom rżnąć głupa: jacy terroryści, jaka organizacja? Ci ludzie działali samotnie, w oderwaniu od struktur, a może to były wewnętrzne porachunki prawicy… No, a gdyby nawet, to przecież faszyzm…

Zupełnie jak za czasów Czerwonych Brygad i Grupy Baader-Meinhoff. ©℗



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Ruletka znowu się kręci

Jarosław Kaczyński na konferencji poświęconej… atakowi dronowemu na Polskę ogłosił, że koalicja z Konfederacją nie wchodzi w grę. A więc walka contra mundum o 231 mandatów i potem – tym bardziej contra mundum. Więcej wrogów – większa chwała, jak mówił pewien przedwojenny polityk.

Problem politycznej współpracy z PiS polega na tym, że tych, którzy kierując się dobrem wspólnym, chcą z PiS współpracować, Jarosław Kaczyński prędzej czy później lekceważy, a tych, którzy się przeciwstawiają – oskarża o „rozbijanie jedności". I tak w kółko.

Oczywiście wszystko to można tłumaczyć dosadnością komentarzy Sławomira Mentzena, który rzeczywiście dopuszcza się niepotrzebnych językowych eskalacji. Ale merytorycznie ma powody. Sam jestem świadkiem.

W 2012 r. Prawica Rzeczypospolitej zawarła porozumienie z PiS w okresie ich największej depresji. Platforma prowadziła w sondażach. Jarosław Gowin pozostawał ministrem w rządzie Donalda Tuska. Jacek Kurski w imieniu powstającej Solidarnej Polski uprawiał – jak to dziś sam nazywa – „ejdżyzm" wobec „za starego" Prezesa. Zawarliśmy więc z PiS porozumienie i solidarnie, w różnych wyborach uzupełniających i referendach, PiS wspieraliśmy. Gdy tylko sytuacja się poprawiła, PiS najbrutalniej porozumienie to złamał.

Kiedy Niemcy napadły na neutralną Belgię w 1914 r., kanclerz Bethmann-Hollweg oświadczył w Reichstagu, że było to konieczne, bo choć nie ma dowodów, że Francuzi mogli zrobić to samo, to nie ma też dowodów, że zrobić tego nie mogli, więc – było trzeba.

Jak Jarosław Kaczyński? Bez przesady. Bethmann-Hollweg zaraz bowiem dodał: „Krzywdy, które tym wyrządzimy, postaramy się naprawić, skoro tylko osiągniemy cel". Prezes PiS w taką elegancję się nie bawi. XIX-wieczny arystokratyczny liberalizm to nie jest świat jego „realistycznej" wyobraźni. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



PIECZEŃ RZYMSKA

O tańcach na grobie Charliego Kirka



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Tragedia w Utah, w której stracił życie prawicowy aktywista, a jego zabójca swoje złamał i może je stracić, ukazała w całej pełni hipokryzję, agresję, intelektualną i moralną pustkę włoskich postępowców. Widok poraża i przeraża.

As lewicowego intelektu, pisarz Roberto Saviano, ma podejrzenia, że za wszystkim stał spisek. Czyj? „W 1933 r. Hitler wykorzystał podpalenie Reichstagu do ataku na opozycję i wprowadzenia nazistowskiej dyktatury. Podobnie teraz może zrobić Trump".

Adwokatka i znana aktywistka LGBT Cathy La Torre: „Kirk nie tylko bronił prawa do posiadania broni. Stosował narrację toksyczną, faszystowską i nieludzką. Głoszenie takich idei pociąga za sobą konsekwencje. Tworzył klimat, który był jedną z przyczyn tragedii. Jeśli społeczeństwo żywi się nienawiścią i przemocą, to dzieją się właśnie takie rzeczy". Czyli Charlie Kirk był sam sobie winien i poniósł zasłużoną karę.

Carlotta Vagnoli z lewicowej „La Repubblica": „Zamach przykrył niewygodny temat kontaktów Trumpa z Epsteinem w kontekście ogromnego skandalu seksualnego". Zaapelowała, by chronić świadków w tej sprawie, bo mogą skończyć jak Kirk.

Piergiorgio Odifreddi, pisarz, eseista, częsty gość włoskich telewizji, zawyrokował w programie publicystycznym: „Strzelanie do Martina Luthera Kinga, a strzelanie do Trumpa czy Kirka to są dwie kompletnie różne sprawy". Słowem: do niektórych strzelać nie wolno, a do innych wolno.

Komunistyczna organizacja Cambiare Rotta (Zmienić Kurs), popularna wśród uczniów i studentów, na swoim portalu zamieściła zdjęcie Charliego Kirka do góry nogami [czyli, że powinien zostać powieszony za nogi jak Mussolini w Mediolanie – przyp. P.K.] i napis: „Minus jeden", a u dołu: „Dziś mamy jaśniejszy dzień".

Poglądy Kirka były bardzo kontrowersyjne i trudno się dziwić, że wywoływały sprzeciw. Głosił je pod hasłem: „Udowodnij, że nie mam racji". Ale 22-letni Tyler Robinson zamiast polemiki wybrał karabin. Włoska lewica ten wybór popiera. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 0f0a3f5071



GWIAZDOBZDUR

NA (NIE)DOBREJ DRODZE

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

„Znany aktor filmowy i teatralny Przemysław Bluszcz otworzył się na temat wiary". Zwykle, gdy tak brzmi lead tekstu na portalu plotkarskim, dalej następuje wywód owego aktora na temat wszelkiego zła i okropności, które jego zdaniem ucieleśnia Kościół. Tak jest i tym razem. „Mam świadomość wielowiekowego wkładu Kościoła w kulturę i sztukę, w budowanie wspólnoty. Ale zrozumiałem też, jak wiele zła uczyniła ta instytucja. Nie jestem w stanie



FOT. ANITA WALCZEWSKA/JODYN/EAST NEWS

pojąć, dlaczego afery pedofilskie były zamiatane przez katolickich hierarchów pod dywan. Przerażający brak empatii dla ofiar. Żądza władzy i bogacenie się. Kościoły katolickie Irlandii czy USA potrafiły wziąć odpowiedzialność za zbrodnie, które popełniły. W Polsce na razie się na to nie zanosi i nie zapowiada się, żeby miało się to zmienić. Polityczna prawica z merkantylnych powodów dba o to, by klerowi nie stała się krzywda" – grzmi Bluszcz w wywiadzie dla serwisu Plejada. Aktor przyznaje, że to, co ludziom daje wiara w Boga, on dostaje dzięki teatrowi. Przyznał również, że nie wierzy w życie po śmierci i popiera eutanazję. „Nigdy nie chciałbym być ciężarem dla bliskich albo umierać w cierpieniu. I dlatego uważam, że dostęp do eutanazji powinien być w jakiś sposób zalegalizowany" – powiedział. Przemysław Bluszcz popiera też legalizację aborcji. „To cyniczne i obrzydliwe, że prawicowi politycy i kilku starszych panów w sutannach roszczą sobie prawo do bycia sumieniem kobiet i ich partnerów" – wskazuje. Pytany, czy dokonał już apostazji, odparł, że jest „na dobrej drodze". „W życiu trzeba być konsekwentnym, domykać niepozamykane tematy. Obiecałem sobie nawet, że zrobię to razem z ojcem, który od zawsze był mocno lewicowy. Że będzie to nasz wspólny akt. Pracujemy nad tym. Mam wrażenie, że to koniec instytucji Kościoła w tym kształcie. Czuję, że podobnie jest z patriarchatem. Lubię myśleć sobie, że gdyby kobiety rządziły światem, byłaby szansa na mniej agresji i przemocy" – podsumował. Był las, nie było was. Nie będzie was, będzie las. Jakoś tak się samo nasuwa.

ENERGIĄ W SERCA

Za nami pierwszy odcinek 17. edycji „Tańca z gwiazdami". Nowością jest pierwsza w historii show para damsko-damska. W roli „gwiazdy" występuje w niej wioślarka Katarzyna Zillmann. „Zaskoczyła wszystkich i zdobyła najwięcej punktów tego wieczoru. Jurorzy byli zachwyceni" – donosi Pudelek. Zillmann wystąpiła w tańcu paso doble, wykonując wraz z partnerką układ taneczny do utworu „Try". Jurorzy nie kryli zachwytu. Iwona Pavlović stwierdziła, że Zillmann posiada „wyjątkową charyzmę i magnetyczną obecność na parkiecie". Pavlović podkreśliła, że wioślarka doskonale łączy precyzję ruchów z dramatyczną ekspresją, co wyróżnia ją na tle pozostałych uczestników. – Rozwaliłaś system. Jesteś niesamowicie prawdziwa na tym parkiecie. Masz czas na wszystko – jest zwolnienie, jest przyspieszenie, jest oddech. Robisz rzecz absolutnie wyjątkową: potrafisz skumulować całą energię, zatrzymać ją na trzy sekundy i potem jak walisz tą energią w nas, to wchodzi w nasze serca. Gratuluję ci za pięknie wyważony układ – rozpływała się Pavlović. Panie zdobyły 36 pkt (na 40 możliwych), co zapewniło im pierwsze miejsce w tabeli. Czyżby poprawność polityczna?

DZIWNA AKCJA

Popularny trener personalny Daniel Kuczaj vel Qczaj opublikował w sieci serię niepokojących wpisów. Najpierw poinformował fanów o problemach związanych z utratą dostępu do kont oraz skrzynek e-mailowych. Dalej zasugerował, że to efekt kradzieży, której dokonał były już menedżer – Qczaj zakończył już współpracę. W oficjalnym oświadczeniu celebryta potwierdził swoje najgorsze przypuszczenia. „Niniejszym informuję, że padłem ofiarą kradzieży i nie posiadam pełnego dostępu do swoich kont ani skrzynek mailowych. Z dniem dzisiejszym kończę współpracę z moim dotychczasowym menedżerem" – czytamy na Instagramie. Kuczaj zaapelował do obserwatorów o szczególną ostrożność w zakresie realizacji płatności i faktur. Dodał, że brak dostępu do kluczowych narzędzi zmusił go do podjęcia zdecydowanych działań mających na celu ochronę swojej działalności. Influencer nie poprzestał na tym. W jednym z kolejnych wpisów poinformował, że pozostało mu na koncie tylko 17 zł. Zasugerował też, że jego menedżer kontaktuje się z terapeutką trenera i prosi, „aby go uspokoiła". Qczaj pokazał fragment wiadomości, w której domaga się od menedżera wykonania listy „przychodów, dochodów, co z czego przyszło i na co poszło; jaki jest stan kont". „Dlaczego mam prawie 100 tys. długu w ZUS-ie raczej mi nie powiesz" – czytamy w kolejnej wiadomości, urywkowo pokazanej przez trenera celebrytę. Trudno połapać się, o co właściwie chodzi, ale jest dziwnie. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, no nie może być tygodnia, żebyśmy nie byli zmuszeni pisać o tym, co znów odwalił w minionym tygodniu Karol Nawrocki. Serio, kiedy on się w końcu uspokoi i pozwoli nam zająć się czymkolwiek innym?

No sami spójrzcie na podsumowanie tego tygodnia: Karol Nawrocki czeka na list od Donalda Trumpa, Karol Nawrocki spotkał się z Macronem, Karol Nawrocki złamał konstytucję (według Radka Sikorskiego), do tego ochy i achy na prawackim twitterku, jak świetnie Nawrocki zdominował za pomocą gestów prezydenta Francji.

Tu się byśmy chcieli na moment zatrzymać, bo prawica nie potrafi jakoś z wyczuciem wystawić tego prezydenta. Lech Kaczyński był niski, a z kolei Nawrocki jest taki jakiś wielki. Macron to wyważony mężczyzna, któremu daleko jest od wzorców toksycznej męskości, a tu musi spotykać się – w Paryżu! – z bokserem z Gdańska. To nie przystoi. Prawica znów robi nam siarę przed Europą.

Albo ten list od Trumpa, boshe, kochani, ile jeszcze dowodów potrzeba, aby dostrzec i zrozumieć, w jakim mentalnym i technologicznym zaciemnieniu żyją konserwatyści – nieważne, czy spod znaku MAGA czy spod znaku PiS. Kto teraz jeszcze pisze listy? Co to, Trump z Nawrockim nie mogą sobie DM-a wysłać na X albo na Instagramie, e-maila napisać czy zdzwonić się na kamerkach? Niedługo będą jeszcze pływać przez Atlantyk parowcami albo robić te wszystkie rzeczy, które ludzie robili kiedyś, a teraz już nie robią, bo mamy postęp.

A do tego jeszcze te tematy reparacji, to awanturowanie się z naszymi przyjaciółmi, w imię odszkodowań za wojnę,



która wybuchła dawno temu i – jak podkreślają historycy – nie dowiedzono z czyjego powodu, ale my dobrze pamiętamy, kto nie chciał udostępnić trasy do Gdańska.

No ale jak tu ma być stabilnie w polityce, skoro nie jest stabilnie w społeczeństwie tego kraju? Nieraz krytykowaliśmy tu zaściankową mentalność Polaków, że wiecie – mieszkają w małych mieszkaniach, jeżdżą na wakacje nad jezioro za swoim małym ośrodkiem, używają starych samochodów – no że generalnie mają ten taki biedacki mindset, że nie stać.

A teraz czytamy o wynikach badania, że Polacy oszczędzają na wakacje cały rok, ale za to potem, jak już pojadą, to wydają wszystko jak leci. Czyli się okazuje, że – jak to w tym kraju – wpadamy ze skrajności w skrajność.

Musieliśmy chwilę pomyśleć, jak zmienić narrację wokół tego zjawiska, no i doszliśmy do wniosku, iż to taka typowa polska lekkomyślność. A jak połączymy to z inną statystyką, mówiącą, że iluś tam Polaków nie ma żadnych oszczędności, to widzimy wyraźnie to niefrasobliwe podejście panujące w tym kraju wobec finansów osobistych.

Wygląda więc na to, iż pod rządami Koalicji Obywatelskiej dokonał się postęp, iż Polacy chętniej wydają pieniądze, ale z drugiej strony nieumiejętnie z możliwości stwarzanych przez postęp korzystają, iż wydają wszystko na pałę, bez większej wyobraźni.

Dostrzegacie tu analogię do demokracji i wyborów prezydenckich? Jest wyraźna. Rząd stworzył warunki, żeby każdy mógł swobodnie głosować, to Polacy postanowili zaszaleć i wybrali Nawrockiego, trwoniąc tym samym kapitał polityczny i społeczny, które jako społeczeństwo uzyskaliśmy w ostatnich wyborach parlamentarnych. Szkoda. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: *FB.COM/MWIZWO*

PODSŁUCHANE

Bunny hop

Adam, czytałem twój pomysł na nową narrację. No nie wiem...
Jarku, teraz kluczowe, żeby Mentzena dobić. On przemawia do młodych, więc ty musisz do nich wyjść.

Ale że miałbym na desce jeździć...
Opowiemy, że to jest twoja skryta pasja od trzech dekad. To zadziała na grupę 16–18. A poza tym sfilmujemy od tyłu i wystąpi dubler.

Nie o to idzie.
Deska to dla dziadersów jest.
Ale że jak?

Normalnie. Tu zobacz, mam taką hulajnogę wyczynową.
Umiesz takiego bunny hopa zrobić? O! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[Trump] w razie zagrożenia, moim zdaniem, prędzej pomoże Rosji niż Polsce".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na swoim kanale na YouTube*

eprasa.pl 0f0a3f5071

TRUMP ZACHWYCONY WIZYTĄ U KRÓLA KAROLA

– Więź łącząca Amerykę i Wielką Brytanię jest bezcenna i trwała – oznajmił przywódca USA Donald Trump podczas swojej drugiej wizyty państwowej w Wielkiej Brytanii, dodając, że oba kraje uczyniły dla ludzkości więcej dobra niż jakiekolwiek inne kraje w historii.

Król Karol III podkreślił z kolei w swej przemowie znaczenie współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, obrony i wywiadu, istotnej zwłaszcza w obliczu agresji Rosji na Ukrainę. – Podczas dwóch wojen światowych walczyliśmy ramię w ramię, by pokonać tyranię. Dziś, gdy tyrania ponownie zagraża Europie, my i nasi sojusznicy jednoczymy się, aby wspierać Ukrainę, powstrzymać agresję i zapewnić pokój – zaznaczył brytyjski monarcha podczas uroczystego bankietu, chwaląc prezydenta USA za „osobiste zaangażowanie w znajdowanie rozwiązań niektórych z najtrudniejszych konfliktów na świecie". Wśród 160 gości obecni byli m.in. menedżerowie z takich firm jak Apple, OpenAI czy AstraZeneca.

Donald Trump nie ukrywał wzruszenia sposobem, w jaki został uhonorowany. Jest on bowiem pierwszym zagranicznym przywódcą w historii, który dwukrotnie został przyjęty w ramach wizyty państwowej z pełnym ceremoniałem. – To naprawdę jeden z największych zaszczytów w moim życiu – oznajmił prezydent USA.

Po oficjalnym powitaniu przez króla Karola III i królową Kamilę prezydent USA Donald Trump wraz z żoną Melanią zostali przewiezieni do zamku Windsor królewskimi powozami w towarzystwie królewskiej gwardii honorowej (liczącej aż 120 koni i 1,3 tys. żołnierzy). Pierwszy z powozów – który zakupiła w roku 1853 jeszcze królowa Wiktoria – wyróżnia ozdobny, złocony dach. To właśnie nim podróżowali amerykański przywódca oraz brytyjski monarcha (na zdjęciu). Melania Trump wraz z królową Kamilą podróżowały z kolei jeszcze starszym powozem: Scottish State Coach, który rodzinie królewskiej służy od lat 30. XIX w. Podczas uroczystego bankietu goście zasiedli przy stole o długości niemal 50 m, na którym stanęło 139 świec. Każdy miał przy nakryciu pięć kieliszków. Łącznie podano również 1452 sztuk sztućców. Na gości czekał także symboliczny wybór trunków: podczas bankietu podawano bowiem m.in. porto Warre'a z 1945 r. (czyli z roku urodzin Donalda Trumpa) oraz szampana Hennessy 1912 Cognac Grande (to z kolei nawiązanie do roku urodzin matki Trumpa: Mary Anne Trump z domu MacLeod). ***(jap)*** ©℗

FOT. HENRY NICHOLLS / REUTERS / FORUM



Cały On



Łukasz Warzecha

Kto właściwie był prezydentem RP przez 10 lat między 2015 a 2025 r.? Niby głupie pytanie: Andrzej Duda. Jednak słuchając i czytając Andrzeja Dudę po 6 sierpnia, można nabrać dużych wątpliwości, czy to ten sam człowiek, który przez dekadę zajmował najważniejszy urząd w państwie. A jeśli tak – to można się zdziwić lub nawet przerazić

Wielu przywódców pisało książki po opuszczeniu urzędu. Choć właściwie słowo „pisali" nie jest całkiem właściwe. Nie każdy jest Winstonem Churchillem, który za swoje wspomnienia z okresu drugiej wojny światowej, mocno zresztą zmitologizowane, ale wspaniale napisane, dostał w 1953 r. Literackiego Nobla. Na ogół autor dyktuje, a od porządkowania i przelewania myśli lidera na papier jest anonimowy ghostwriter, czyli dziennikarski lub literacki rzemieślnik.

George W. Bush podyktował zatem „Kluczowe decyzje" („Decision Points"), starając się w nich uzasadnić brzemienne w skutki decyzje o uderzeniu na Afganistan i Irak po zamachach z 11 września 2001 r. Margaret Thatcher, znienawidzona przez światową lewicę, opublikowała „Moje lata na Downing Street" („The Downing Street Years"). Najsłynniejszy z następców Żelaznej Damy, Tony Blair, swoje wspomnienia zatytułował „Podróż" („A Journey. My Political Life"). Andrzej Duda nie chciał być gorszy i jeszcze przed odejściem z urzędu zaczął reklamować w swoich mediach społecznościowych książkę „To ja, Andrzej Duda".

U CIOCI NA IMIENINACH

Ten bezpretensjonalny tytuł (tak, to jest sarkazm) już na pierwszy rzut oka odróżnia tom byłego prezydenta RP od wcześniej wspomnianych. O ile inni



FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 0f0a3f5071



skupiali się na jakimś aspekcie swojej funkcji, o tyle skromny polski prezydent skupił się na sobie.

Największa różnica nie leży jednak w tytule, ale w zawartości. Czytelnik przyzwyczajony do wspomnień liderów, takich jak te Churchill, Bush czy Thatcher, oczekuje oczywiście anegdoty – w dużej mierze tego typu książki sprzedają się właśnie dzięki nim. Ale oczekuje również wyjaśnienia motywów owych kluczowych decyzji, by sięgnąć po tytuł książki byłego amerykańskiego prezydenta. I zwykle je znajduje. Jeśli dla przykładu zajrzymy do książki Lady Thatcher (bagatela – 885 stron samego tekstu), to oczywiście dowiemy się, że któregoś ważnego dnia panią premier bolał ząb i tabletki sprawiły, że czuła się otępiała w czasie ważnej konferencji prasowej, albo że w 1982 r. w Wersalu, podczas spotkania na szczycie, Ronald Reagan przemawiał 20 minut z głowy, bez notatek, mówiąc o swojej wizji polityki gospodarczej. Jednak to tylko epizody. Większość książki zajmuje opis konkretnych politycznych okoliczności w kontekście przekonań pani premier i globalnej polityki. Te szerokie, strategiczne opisy relacjonujące globalne procesy, tendencje, tłumaczące polityczne motywacje samej pani premier oraz jej partnerów czy rywali pokazują, że pani Thatcher świetnie rozumiała, w jakim świecie się obraca, o co gra, co jest jej celem i co Wielka Brytania może, a czego nie jest w stanie osiągnąć.

Próżno szukać tego samego w książce Andrzeja Dudy. Wiele osób sięgnie najpierw do rozdziału o ataku Rosji na Ukrainę, bo polityka ukraińska to bez wątpienia najbardziej zapalny punkt w dorobku byłej głowy państwa. Naiwnie będą tam szukali umieszczenia polskich decyzji w szerszym kontekście, ich uzasadnienia w relacji do globalnych interesów, może kulis analiz i narad, które decydowały o posunięciach tak ważnych, jak przekazanie Ukrainie ogromnej części polskiego uzbrojenia i przynajmniej czasowe ograniczenia naszych zdolności obronnych. Nic z tych rzeczy.

Oto próbka:

– Andrzej, proszę cię, przyślijcie nam samoloty. Wszystkie, jakie możecie.

Zdesperowany Wołodymyr Zełenski dzwonił do mnie co noc. Był początek

eprasa.pl 0f0a3f5071

wojny, a skala międzynarodowej pomocy dla Ukrainy – niewielka. Wyglądało na to, że cały świat boi się pomagać. Boi się reakcji ze strony Rosji […].

Dzwonił do mnie rozżalony Zełenski:

– Zgłaszamy Amerykanom, że potrzebujemy samolotów, a otoczenie Bidena mówi nam: „Polaków poproście”.

Więc prosili. Ale Polska miała związane ręce.

W końcu w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego odbyliśmy naradę, po której wygłosiliśmy oficjalny komunikat: w odpowiedzi na prośby ze strony ukraińskiej wyślemy nasze samoloty do bazy Ramstein. Stamtąd NATO, po wspólnej decyzji państw sojuszu północnoatlantyckiego, będzie mogło wyekspediować maszyny na Ukrainę.

To wywołało falę komentarzy, w tym krytykę ze strony Amerykanów. Ich stanowisko było jasne: nie będą pośredniczyć w przekazywaniu samolotów walczącej Ukrainie.

spłycając drastycznie obraz procesu decyzyjnego. Druga – znacznie gorsza – że niczego nie musiał spłycać, ponieważ niczego takiego tam nie było. Jego urzędowanie wyglądało tak, jak wynikałoby z „To ja”: decyzje podejmowano bez głębszej refleksji, bez poważnej analizy, reaktywnie i często impulsywnie.

Niedawno zwróciłem uwagę na ten brak głębszej politycznej treści we wspomnieniach prezydenta jednemu z polityków PiS. Ten parsknął. „Bo w tej prezydenturze nie było takiej treści” – oznajmił z głębokim przekonaniem.

UKRAINA WCIĄGA NAS DO WOJNY

Jeszcze jedna rzecz zwraca uwagę w „To ja”. Opisywana tam rzeczywistość składa się z kilku segmentów. Są więc politycy i pracownicy z otoczenia prezydenta, z obozu władzy czy opozycji (nie pojawiają się przesadnie często), są zagraniczni liderzy, są też zwykli ludzie. Prawie wcale nie ma natomiast mediów,

Możliwości są dwie. Pierwsza – że Duda z jakichś przyczyn postanowił napisać książkę wypraną z jakiejkolwiek istotnej politycznie zawartości, celowo spłycając drastycznie obraz procesu decyzyjnego. Druga – znacznie gorsza – że niczego nie musiał spłycać, ponieważ niczego takiego tam nie było

To nie jest złośliwie wybrany fragment. To poziom „analizy”, który standardowo pojawia się w książce Andrzeja Dudy. Odbyliśmy naradę, wygłosiliśmy komunikat, Amerykanie skrytykowali, a Zełenski dzwonił nocą. Czytając „To ja” (przynajmniej wątki polityczne, bo są też osobiste) można odnieść wrażenie, że politykę prowadzi się tak, jak odbywają się spory u cioci na imieninach: wujek Heniek powie jedno, ciotka Bożenka się nie zgodzi, a że poprze ją kuzynka Hela i siostrzeniec Władek – wersja ciotki Bożenki ostatecznie wygrywa. Ba, można nawet założyć, że jeśli zebrani na imieninach w miarę interesują się polityką, ich analiza będzie głębsza niż to, co opisuje były prezydent.

Możliwości są przeto dwie. Pierwsza – że Duda z jakichś przyczyn postanowił napisać książkę wypraną z jakiejkolwiek istotnej politycznie zawartości, celowo a już kompletnie nie ma analityków czy komentatorów i śladu jakiejkolwiek publicznej debaty o sprawach, które były przedmiotem działań głowy państwa. Gdy czytamy np. o podejściu do Ukrainy, można odnieść wrażenie, że sprawy działy się niejako w próżni. Że w Polsce nie było żadnego sporu, że nie było wyzywania od „ruskich onuc”, że nie było środowisk – po prawej przecież stronie – kwestionujących maksymalnie proukraińską linię. Ten brak medialnego i analitycznego kontekstu jest widoczny przez cały czas, a szczególnie nienaturalny staje się wówczas, gdy pojawiają się bardziej kontrowersyjne tematy. Choć tych właściwie Andrzej Duda najchętniej unika. Opowieść w ogóle nie jest zbudowana chronologicznie – to również różni ją od wspomnianych książek innych przywódców – co oznacza, że gdybyśmy szukali choćby jakiejś refleksji byłego prezydenta nad działaniami rządu w związku z epidemią COVID – to nie znajdziemy takiego miejsca. Gdzieniegdzie pojawiają się tylko pojedyncze wzmianki, że coś miało miejsce w covidowych okolicznościach. Ale jakiś problem, jakieś 200 tys. nadmiarowych zgonów, jakieś zamykane biznesy czy łamanie prawa przez policję ganiającą staruszki, które ośmieliły się wejść do zamkniętego lasu? Nic takiego w opowieści prezydenta się nie pojawia, za to możemy przeczytać, co Andrzej Duda robił, żeby stracić na wadze, albo jak nazywał się jego kot i dlaczego znalazł się w Pałacu Prezydenckim.

Jednak na „To ja” przecież się nie kończy. Prezydent wykazuje nadzwyczajną publiczną aktywność. Prezydencki „rachunek sumienia”, nagranie liczące sobie ponad trzy godziny, ukazał się na kanale Rymanowski Live. Fragment wywiadu poświęcony śmierci polskich obywateli od ukraińskiej rakiety w Przewodowie nie powinien być szokiem dla nikogo, kto wcześniej zajrzał do książki byłego prezydenta. Ten napisał w niej:

Pomagaliśmy Ukrainie najmocniej, jak potrafiliśmy. Tak jak pomaga się napadniętemu sąsiadowi.

Ale na naszych stosunkach pojawiły się rysy. Uczciwość wymaga, by je opisać […].

Tymczasem dzwonił do mnie Wołodymyr Zełenski. Nawet nie próbował kryć rosnącego zniecierpliwienia, że zwlekamy z oświadczeniem.

– Co chcecie potwierdzać? Kto inny mógł was zbombardować, jeśli nie Rosja?

– Musimy mieć pewne informacje, Wołodymyr […].

Tymczasem Zełenski był kompletnie zamknięty na fakty. Na portalu X napisał: „Federacja Rosyjska zabija wszędzie tam, gdzie może dotrzeć. Dzisiaj dotarła do Polski”.

Fakt, że Ukraińcy idą w zaparte i praktycznie oczekują od nas włączenia się do wojny, był nie do przyjęcia. Zrobiłem wiele, by ułatwić im przyznanie, że rakieta była ich […]. Nawet to nie pomogło. Stawiali swoją wersję przeciwko faktom, przeciwko dowodom zebranym niezależnie przez Polskę, USA, dowódcę strategicznego NATO i szefa pionu wywiadu NATO.

A oto, co powiedział Andrzej Duda u Bogdana Rymanowskiego:

eprasa.pl 0f0a3f5071

BOGDAN RYMANOWSKI: Wtedy dzwonił do pana prezydent Zełenski…

ANDRZEJ DUDA: Tak.

B.R.: Można powiedzieć, że wywierał na pana presję, żeby Polska natychmiast oświadczyła, że to jest ruska rakieta…

A.D.: Można tak powiedzieć.

B.R.: Był pan wtedy w szoku?

A.D. Nie.

B.R.: Nie odebrał tego pan jako próby wciągnięcia Polski do wojny?

A.D.: Odebrałem.

B.R.: I co pan mu powiedział?

A.D.: Nic. Od początku próbują wciągnąć wszystkich w wojnę. To jest oczywiste, to jest w ich interesie, żeby wciągnąć wszystkich w wojnę, a najlepiej byłoby, gdyby udało się wciągnąć w wojnę kraje NATO.

Właściwie nie wiadomo, jak reagować na te wygłaszane obecnie przez byłego prezydenta rewelacje, które dla wielu rewelacjami nie są. Po pierwsze – wygląda to tak, jakby Duda w czasie sprawowania urzędu nie umiał, jak to się dzisiaj modnie mówi, łączyć kropek. Tak jakby ukraińska bezczelność, bezwzględność w realizacji własnych celów, brak jakiegokolwiek względu na sojuszników były w jakiejś odrębnej szufladce, a nasza całkowicie uległa wobec Ukrainy polityka – w innej. Żeby było jasne: nie są to w najmniejszym stopniu zarzuty wobec Ukraińców, którzy realizowali swój interes. Problem w tym, że my nie realizowaliśmy swojego, a dzisiaj Andrzej Duda opowiada o tamtych momentach, jakby mówił o jakiejś innej Ukrainie i innym Wołodymyrze Zełenskim niż ten, któremu wielokrotnie przyrzekał wierność i przychylność po grób.

Po drugie, w czasie, gdy rozgrywały się opisywane wydarzenia, wiele osób w Polsce wskazywało dokładnie na to, o czym teraz publicznie mówi były prezydent: że Kijów starał się bezwzględnie wciągnąć nas do wojny z Rosją. Takie próby podejmował zresztą wielokrotnie przy różnych okazjach. Tyle że przez niemal cały czas rządów PiS łącznie z Dudą za tego typu spekulacje dyżurni łowcy onuc, tacy jak Paweł Jabłoński czy Stanisław Żaryn, wpisywali na listę „rezonatorów rosyjskiej propagandy". Prezydent wówczas nie tylko nie reagował, lecz także wydawał się sprzyjać takiemu podejściu.

Jeśli nie mają państwo jeszcze dość Andrzeja Dudy, to zawsze można odpalić sobie Kanał Zero, bo tam były prezydent wystartował z filmem dokumentalnym o własnej prezydenturze

Po trzecie wreszcie – jak ma się to do aktualnej sytuacji? Przecież w przypadku nalotu dronów złamano wszystkie zasady, które opisywał Andrzej Duda. I, niestety, zrobiła to również kancelaria jego następcy, orzekając ostatecznie o powodach znalezienia się maszyn nad Polską, zanim pojawiły się jakiekolwiek rzeczowe ustalenia prokuratury w tej sprawie.

SYNDROM ODSTAWIENIA?

Jeśli zaś nie mają państwo jeszcze dość Andrzeja Dudy, to zawsze można odpalić sobie Kanał Zero, bo tam były prezydent wystartował z filmem dokumentalnym o własnej prezydenturze. W pierwszym odcinku m.in. Paweł Szefernaker, Beata Szydło, Wojciech Kolarski oraz oczywiście sam główny bohater opowiadają o tym, jak zostaje się prezydentem. Film poprzedza reklama, jakżeby inaczej, książki „To ja".

Wszystko to może sprawiać dziwne wrażenie. Żaden z byłych prezydentów RP, mimo ambicji, nie objął po zakończeniu urzędowania istotnej posady – ani w kraju, ani za granicą. Na ogół byli prezydenci powoływali swoje fundacje czy instytuty oraz jeździli z wykładami, z czego można się całkiem nieźle utrzymywać. Bywali oczywiście zapraszani do mediów, jednak działania Andrzeja Dudy są zdecydowanie ponadstandardowe. Inna sprawa, że to pierwszy prezydent, który zakończył swoje urzędowanie w nowej epoce medialnej i może w pełni korzystać z jej narzędzi. I chyba pierwszy, może z wyłączeniem Lecha Wałęsy, który sprawował prezydenturę, szczególnie w drugiej kadencji, w czasie tak burzliwym.

Książka, którą przecież musiał Duda przygotowywać, jeszcze będąc głową państwa, wypowiedzi, w których wydaje się odcinać od wielu własnych decyzji czy stwierdzeń z czasów prezydentury, obecność na wielu internetowych kanałach – wyjaśnienia tego wszystkiego mogą być dwa. Albo jest to syndrom odstawienia, dotykający wielu polityków odchodzących z urzędu. Podobne objawy wykazuje chociażby były premier Mateusz Morawiecki, wyskakujący już nie tylko z lodówki, lecz także z odpływu kanalizacji, szafy i pudełka z zapałkami. Albo też jest to konsekwentna realizacja planu pozostania w obiegu, tak aby w odpowiednim momencie być do dyspozycji. Wszak Andrzej Duda dość ostentacyjnie deklarował kilkakrotnie, że „jeśli ojczyzna będzie wymagać", a propozycja będzie godna byłej głowy państwa, jest gotowy podjąć się nowej politycznej roli. Przypomina to bardzo Wałęsowskie „nie chcem, ale muszem". W grę mogą wchodzić marzenie o wskoczeniu na fotel premiera w przyszłym koalicyjnym prawicowym rządzie czy powalczenie o schedę po Jarosławie Kaczyńskim.

To drugie wydaje się mniej prawdopodobne. Za tym pierwszym scenariuszem może natomiast przemawiać fakt, że Andrzej Duda wydaje się świadomie zaostrzać swój przekaz w niektórych sferach, które mogą być ważne dla wyborców Konfederacji. Choć wątpliwe, żeby mógł w ich oczach odzyskać wiarygodność. Może też liczyć, że w przypadku tak trudnej koalicji, jak ta PiS z Konfederacją, jedynym sposobem na wybrnięcie z klinczu dotyczącego obsady stanowiska szefa rządu może być sięgnięcie po kogoś spoza partyjnego układu obu tych ugrupowań. Jednocześnie musiałby jednak zakładać, że w momencie tworzenia takiego rządu na czele PiS nie stałby już Jarosław Kaczyński, bo ten z pewnością nie zgodziłby się po raz drugi postawić na momentami jawnie już krytycznego wobec niego Dudę. Prezes takich nielojalności nie wybacza tak łatwo. No i nie jest wcale pewne, że przyszły rząd będzie oparty na koalicji PiS z Konfederacją – ale to już zupełnie inna opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071

Krajobraz po wielkim szoku



Piotr Semka

Kryzys dronowy pokazał nowe wektory politycznej polaryzacji. Nie ma wątpliwości, że Władimir Putin uważnie czyta raporty analizujące wewnętrzną polską debatę i podziały na scenie politycznej, które wyszły na jaw

Naruszenie granic Polski przez ponad 20 dronów poruszyło Polaków. Jednocześnie zmusiło wszystkie ośrodki polityczne do jasnego zadeklarowania się, jak rozumieją ten atak, kogo uważają za jego sprawcę i jaki mają pomysł na zapewnienie Polsce bezpieczeństwa. Podstawową linią podziału między siłami politycznymi były dwie kwestie: czy Rosja jest odpowiedzialna za ten atak i jak należy wzmocnić bezpieczeństwo Polski – razem, na czele z zachodnimi sojusznikami z USA i największymi państwami Zachodu, czy też na zasadzie daleko posuniętego izolacjonizmu połączonego z postrzeganiem Ukrainy jako kraju Polsce nieprzyjaznego, pragnącego podstępem wciągnąć ją do wojny.

Jeśli pod tym kątem spojrzeć na zachowanie polskich polityków, to po jednej stronie znalazła się rządząca koalicja Platformy, PSL, Polski 2025 i Nowej Lewicy oraz Razem w kryzysowym konsensusie z największą partią opozycyjną PiS oraz ośrodkiem prezydenckim Karola Nawrockiego. W ostrej opozycji do tego konsensusu usytuowała się Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna, która wprost uznała, że nie można orzec jednoznacznego sprawstwa Rosjan i podejrzewać należy prowokację Ukrainy, mającą wciągnąć Polskę do wojny. Gdzieś pośrodku tych dwóch postaw znalazła się Konfederacja, w której widać było wyraźną różnicę pomiędzy postawą Krzysztofa Bosaka skłaniającego się bardziej ku konsensusowi uznającemu zagrożenie ze strony Rosji a postawą Sławomira Mentzena, który akcentował swój dystans wobec sił politycznych określanych przez niego jako „sługi narodu ukraińskiego". Konfederacja była w tej kwestii wyraźnie rozdwojona, co było szczególnie widoczne w wypowiedziach poszczególnych posłów i eurodeputowanych. Jeśli jednak podsumować sondażowe elektoraty obu nurtów, to wyraźne było widać, że w dużym stopniu odpowiadają one podziałom opinii.

„Czy wierzysz, że nasi sojusznicy (np. USA, Niemcy, Francja) pomogą nam w przypadku ataku Rosji na Polskę?" – takie pytanie, już po incydencie dronowym, zadano w badaniu Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu". 67 proc. respondentów uznało, że tak. Nie wierzy w to 33 proc. uczestników sondażu.

Jednocześnie inny sondaż IBRiS dla Radia Zet z 17 września wykazał, że zdecydowana większość Polaków nie ma wątpliwości, że wtargnięcie rosyjskich dronów do naszej przestrzeni powietrznej nie było pomyłką, jak sugerował to prezydent Donald Trump. Z prezydentem USA w tej kwestii nie zgodziło się w sondażu aż 8 na 10 osób (81,7 proc.). Tylko 10,6 proc. uznało sugestię Trumpa, że rosyjski atak mógł być pomyłką, w tym 2,4 proc. uważa, że zdecydowanie ma rację, a 8,2 proc. wybrało odpowiedź „raczej ma rację".

Jakie są praktyczne konsekwencje polityczne wyboru tych generalnych założeń co do charakteru ataku dronowego w wypadku poszczególnych ośrodków politycznych?

PLATFORMA, CZYLI PRÓBA ZŁAPANIA WIATRU W ŻAGLE

Dla ekipy Donalda Tuska kryzys wywołany pojawieniem się rosyjskich dronów

eprasa.pl 0f0a3f5071



FOT. ADOBE STOCK/V2 KREDEK

w polskiej przestrzeni powietrznej był czymś, co w Polsce zwykło się nazywać „politycznym złotem". Incydent dronowy przyszedł w momencie wyjątkowo słabych notowań rządu i wzbudził w czołówce PO nadzieje na tzw. efekt flagi. To znany socjologom mechanizm wzrostu poparcia dla partii władzy w momencie groźnego kryzysu.

I rzeczywiście, Tusk zebrał dobre oceny za zdolność do zawieszenia konfliktu z prezydentem Karolem Nawrockim i PiS oraz na pewien czas z Konfederacją. Sytuacje zagrożenia to dla rządu okazja, by wykazywać twardość, stanowczość i sprawczość, co zawsze robi dobre wrażenie na wyborcach. Na dodatek Tusk utożsamiany z obronną „opcją europejską" mógł pochwalić się szybkimi i zdecydowanymi reakcjami NATO. Sekretarz generalny paktu, Mark Rutte, zapowiedział program „Wschodnia Straż", który zrozumiano jako przemieszczenie części sił wojsk krajów zachodniej Europy na polską ścianę wschodnią. Kontrastowało to z dosyć ostrożnymi wypowiedziami przedstawicieli USA – czy to Donalda Trumpa, czy Marca Rubia, którzy nie wykluczali możliwości rosyjskiej pomyłki.

Jednak te punkty, które Tusk zdobył w pierwszych dwóch dniach kryzysu, nie zrównoważyły prestiżowej wpadki, którą było wyjście na jaw, że na dom we wsi Wyryki na Lubelszczyźnie, który miał zniszczyć rosyjski dron, tak naprawdę spadła rakieta wystrzelona przez polski myśliwiec F-16. Dodatkowo krytykę wywołało też to, że Marcin Bosacki, przedstawiciel Polski na sesji Rady Bezpieczeństwa ONZ, posługiwał się zdjęciem z Wyryk jako dowodem na agresję Rosjan, choć – jak potem ujawniono – prokuratura już na tamtym etapie śledztwa zastrzegała, że kwestia sprawstwa zniszczeń wymaga dalszego badania. Tusk spróbował zgasić pytania o przyczynę tej pomyłki za pomocą ulubionej metody wyrazistej riposty twitterowej, ale to jeszcze wyjaskrawiło wpadkę premiera.

Nie zmienia to faktu, że w najnowszym sondażu United Surveys na zlecenie Wirtualnej Polski Koalicja Obywatelska znów znalazła się na prowadzeniu z wynikiem 32,3 proc., wyprzedzając Prawo i Sprawiedliwość, które uzyskało tylko 30,7 proc. Być może jest to tylko sondaż pokazujący nastroje tuż po ataku, ale jeszcze przed wyjściem na jaw kiksu Donalda Tuska w kwestii katastrofy we wsi Wyryki.

Na konto rządu idzie inna kolejna kontrowersyjna wypowiedź. Chodzi o sugestie Radosława Sikorskiego, że Polska mogłaby uczestniczyć w zestrzeliwaniu dronów jeszcze na terenie Ukrainy. Była to deklaracja nieskonsultowana z prezydentem Karolem Nawrockim i budząca u wielu Polaków wrażenie wejścia do działań na terenie ogarniętej wojną Ukrainy.

Jak można się domyślać, Tusk będzie teraz starał się wykorzystać wyczulenie wyborców na kwestie bezpieczeństwa. Temu służyła jego wizyta 16 września na centralnym poligonie Sił Powietrznych w Ustce, gdzie zapowiedział zakup dla marynarki wojennej nowych okrętów podwodnych.

PREZYDENT – SILNY RYWAL TUSKA

Jeśli coś zepsuło rachuby lidera Platformy na wykorzystanie efektu flagi po ataku dronów, to wyrazista konkurencja ze strony nieźle rozpoczynającego swą kadencję prezydenta Karola Nawrockiego. 13 września Agencja IBRiS na zlecenie Onetu zapytała Polaków, czyje działania międzynarodowe są lepsze dla Polski. Jak się okazało, więcej respondentów wskazało na Karola Nawrockiego z wynikiem 31,4 proc., podczas gdy na rząd wskazało tylko 27,9 proc. respondentów. Grupa 16,1 proc. wywiadowanych orzekła, że zarówno działania prezydenta, jak i rządu na forum międzynarodowym są dobre. Negatywnie oba te ośrodki oceniło 11,3 proc. respondentów.

Karol Nawrocki dokonał bardzo wyraźnego wyboru, odcinając się od sugestii, że atak mógł być pomyłką Rosjan bądź w ogóle prowokacją ze strony Ukrainy.

Karol Nawrocki dokonał bardzo wyraźnego wyboru, odcinając się od sugestii, że atak mógł być pomyłką Rosjan bądź w ogóle prowokacją ze strony Ukrainy. Gospodarz Belwederu bardzo zdecydowanie i jednoznacznie zaznaczył, że za atak dronowy odpowiadają Rosjanie. Kolejne polityczne punkty zdobył w czasie wizyt w Berlinie i Paryżu, gdzie też zaprezentował się jako polityk umiejący budować współpracę militarną Paryża i Berlina w dziele wzmocnienia bezpieczeństwa Polski. W wypadku wizyty w Niemczech posunął się nawet dalej, bo wykazał zainteresowanie niemieckimi projektami, aby kwestie braku reparacji dla Polski za straty drugiej wojny światowej rekompensować wkładem RFN we wzmacnianie potencjału militarnego Rzeczypospolitej.

Po krótkim czasie rozejmu na linii prezydent – rząd rozpoczęła się ponowna wymiana ognia. List Donalda Trumpa przekazany do ambasady RP w Waszyngtonie wyciekł do mediów, zanim trafił do Pałacu Prezydenckiego. Radosław Sikorski nadal konfrontacyjnie łaje prezydenta, a z drugiej strony prezydenccy ministrowie wzywają do dymisji w rządzie w kontekście sprawy udzkodzenia domu w Wyrykach.

Co interesujące, „Gazeta Wyborcza", już po kryzysie dronowym, zaskoczyła swoich czytelników informacjami

eprasa.pl 0f0a3f5071

z kancelarii premiera, które wskazują, że Tusk zaczyna dobrze porozumiewać się z Karolem Nawrockim. Gazeta cytuje jednego ze współpracowników Tuska, który wskazuje: „Kierownik [slangowe określenie Tuska – przyp. P.S.] ceni Karola Nawrockiego bardziej niż Andrzeja Dudę. Poprzedni prezydent podczas rozmów na osobności był zwyczajnie mało elastyczny, grał silnego. Nawrocki jest innym zawodnikiem".

Skąd tak zaskakująca zmiana? Nasuwa się podejrzenie, że Tusk po prostu nauczył się, iż Nawrocki nie pozwoli się lekceważyć i potrafi boleśnie się odwinąć. Na dodatek obecny premier może po prostu uznać fakt, że prezydent naprawdę ma solidne relacje z Donaldem Trumpem i choćby dla bycia dobrze poinformowanym warto zmusić się do pewnej poprawności w relacjach. Temu pozytywnemu przełomowi przeczy jednak kontynuowanie zimnej wojny Platformy przeciwko Sławomirowi Cenckiewiczowi, co w naturalny sposób musi psuć wzajemne relacje. Na razie „Gazeta Wyborcza" sufluje dość karkołomną linię propagandową: „Tusk gotowy jest na partnerstwo z Nawrockim, ale Cenckiewicz w imię osobistych fobii torpeduje ten możliwy układ partnerski".

Nic jednak nie wskazuje na to, by Nawrocki odwrócił się plecami do obecnego szefa BBN. W wypadku PiS wsparcie dla wyrazistej opcji antyrosyjskiej jest całkiem naturalne. Nie zmienia to oczywiście tego, że partia ta wsparła wprowadzenie do ustaw regulujących obecność Ukraińców w Polsce zapisów o prawnym zwalczaniu propagandy i symboliki banderowskiej. PiS mógł w tej kwestii nawet zatriumfować symbolicznie nad Konfederacją, wskazując, że jej lider, Sławomir Mentzen, głosował przeciwko temu zapisowi wbrew wszystkim członkom swojego klubu. W odpowiedzi Menzen zemścił się, wypominając Kaczyńskiemu rzekome wznoszenie banderowskich haseł. Lider Konfederacji zagrał w tej sprawie bardzo nieuczciwie, gdyż chodziło o wizytę Jarosława Kaczyńskiego na tzw. drugim majdanie w grudniu 2013 r., gdzie w obecności prezesa PiS wznoszono hasło „Sława Ukrainie, bohaterom sława", które można kojarzyć z tradycją banderowską, ale w tamtych warunkach było raczej hasłem niepodległościowym.

W przypadku Konfederacji coraz bardziej rzuca się w oczy bardzo umiarkowana linia Krzysztofa Bosaka i coraz wyraźniej izolacjonistyczna tendencja Mentzena. Lider Nowej Nadziei używa określenia „słudzy narodu ukraińskiego", za którego pomocą krytykuje wszystkie partie, które wspierają tezę, że atak był wynikiem działania Rosjan. Mentzen formalnie temu nie zaprzecza, ale swymi wypowiedziami zwraca się ku tej części opinii publicznej, która traktuje Ukrainę jako zagrożenie równe Rosji lub nawet ją przewyższające.

BRAUN Z PACYFĄ?

I wreszcie Konfederacja Korony Polskiej. Jej lider, Grzegorz Braun, od pewnego czasu zaczyna używać określenia „banda pięciorga", pod którym, jak się zdaje, rozumie cztery partie obecnej koalicji oraz Prawo i Sprawiedliwość. Oznacza to, że Braun dzieli już scenę polityczną na obóz, który definiuje jako podżegaczy wojennych i siły polityczne dające się wykorzystywać przez Ukrainę do swoich celów. Na niedzielę 21 września lider Konfederacji zapowiedział wiec pod hasłem „Polska za pokojem".

W przypadku Konfederacji coraz bardziej rzuca się w oczy bardzo umiarkowana linia Krzysztofa Bosaka i coraz wyraźniej izolacjonistyczna tendencja Mentzena

Braun tak zachęca do udziału w tym zgromadzeniu: „Spotkajmy się, aby wspólnie dać wyraz sprzeciwu wciągania Polski w cudze konflikty i aby głośno powiedzieć: chcemy pokoju dla naszej ojczyzny". Braun formalnie nie neguje tego, że Polska może być zagrożona ze strony Rosji. Ale jako antidotum lansuje jedynie ogólnikowy program wzmacniania własnego potencjału militarnego. Jednocześnie zdecydowanie odrzuca współpracę z NATO, z USA czy wreszcie z Ukrainą, szczególnie w kwestii systemów antydronowych.

Niepokój musi budzić to, że lider Konfederacji uznaje każde staranie Polski o pozyskiwanie sojuszników na wypadek konfliktu z Rosją za karygodne prowokowanie Kremla. Przypomina to nieco sposób myślenia zachodnich pacyfistów z lat 60., 70. i 80. XX w., kiedy wyposażanie zachodnich krajów NATO w amerykańskie rakiety i tworzenie baz amerykańskich na zachodzie Europy uznawano za prowokowanie Związku Sowieckiego.

Może być więc paradoksem, że taki jednostronny pacyfizm krytykujący sojusze Polski w obronie przed Rosją może zacząć kontestować pacyfizm z prawej, a nie – jak dotąd bywało – z lewej strony. W tej przedziwnej zamianie ról to konfederaci mogą już niedługo walczyć o pokój za wszelką cenę, a np. partia Razem być odsądzana od czci i wiary jako narzędzie militaryzmu i awanturnictwa.

NOWE LINIE PODZIAŁU

Nie ma wątpliwości, że Władimir Putin uważnie czyta raporty analizujące wewnętrzną polską debatę i podziały na scenie politycznej, które wyszły na jaw po incydencie dronowym. Zależnie od wniosków, które wyciągnie z tych obserwacji władca Rosji, będziemy mieli do czynienia albo z wyciszeniem konfliktów, albo z sytuacją zgoła przeciwną, w której zderzymy się z kolejnym testowaniem polskich zdolności obronnych. Jeśli Rosja nie zdecyduje się na dalsze eskalowanie napięcia, to w polskiej polityce dominować będą wcześniejsze linie podziału, czyli koalicja kontra opozycja złożona z PiS, Konfederacji i ugrupowania Grzegorza Brauna. Jeśli jednak Rosja będzie zwiększała napięcie, to znaczenie zyska nowa linia podziałów – między partiami konsensusu stawiania Rosji oporu w oparciu o Zachód, ale i przy utrzymaniu pomocy dla Ukrainy, a obozem izolacjonizmu. Jego zwolennicy pod hasłem „Tak dla pokoju" będą z jednej strony bagatelizować zagrożenie ze strony Rosji, a z drugiej – podkreślać złe zamiary Ukrainy wobec Polski. Pytanie, czy taka linia podziału nie spowoduje wewnętrznego rozpadu Konfederacji. Na pewno jednak kryzys dronowy pokazał nowe wektory politycznej polaryzacji. Podziały opinii, które wcześniej istniały, ale jeszcze nigdy nie objawiły się w tak jaskrawej formie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 0f0a3f5071



Z Jackiem Hogą, prezesem Fundacji Ad Arma, ekspertem w dziedzinie wojskowości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Mocni w gębie



Służby pracują na miejscu upadku rosyjskiego drona w miejscowości Wohyń
FOT. WOJTEK JARGIŁO/PAP

RYSZARD GROMADZKI: Rząd i naczelne dowództwo Wojska Polskiego uznali, że reakcja na wtargnięcie 21 rosyjskich dronów w polską przestrzeń powietrzną była adekwatna i potwierdziła właściwe współdziałanie organów państwa w obliczu zagrożenia. Czy rzeczywiście? To, że do strącenia dronów użyto kosztownych rakiet wystrzelonych przez myśliwce F-16 i F-35, nie świadczy raczej o dramatycznym braku zdolności naszej armii do ich skutecznego zwalczania?

JACEK HOGA: Jest to na pewno wielki problem, ale nie nazwałbym go skandalem. Uderzenia z użyciem dronów to nowy rodzaj działań wojennych na poziomie strategicznym. Jako państwo, które nie uczestniczy w działaniach wojennych, nie mamy presji na przełamanie barier prawnych i decyzyjnych, żeby uzupełnić nasze zdolności w tym zakresie. W związku z tym pamiętajmy, że to „strzelanie z armat do wróbli" miało miejsce w czasie pokoju i choć nie nieadekwatne, to jednak nie oznacza to koniecznie planów takich działań w czasie wojny. Warto też pamiętać, że nie mamy całkowitej pewności, kto stał za wtargnięciem w polską przestrzeń powietrzną.

Jesienią 2022 r., po tym, jak rakieta zabiła dwóch mężczyzn w Przewodowie na Lubelszczyźnie, przez całe miesiące rządzący i media wmawiali Polakom, że ta tragedia była skutkiem rosyjskiego ataku. Okazało się, że rakieta, która zabiła cywili, została wystrzelona przez Ukraińców. Niedawno w wywiadzie z Bogdanem Rymanowskim przyznał to były prezydent Andrzej Duda, mówiąc, że była to ukraińska prowokacja.

I to prawie skuteczna. Przez pierwsze dwie doby po ataku w Przewodowie w kręgach decyzyjnych państwa polskiego były poważne obawy, że właśnie wchodzimy do wojny. Nie twierdzę, że byli z tego powodu zadowoleni, bo nie byli, ale strach był autentyczny.

Wtargnięcie rosyjskich dronów nad Polskę w nocy z 9 na 10 września może mieć podobne konsekwencje? Histeria wojenna jest z premedytacją podgrzewana. Wystarczy wsłuchać się w wypowiedzi wicepremiera Sikorskiego, który jak mantrę powtarza postulat zestrzeliwania rosyjskich rakiet i dronów nad Ukrainą z terenu państw NATO. To prosta droga do wciągnięcia Polski w wojnę.

Słowa są tanie. Miejmy nadzieję, że są tylko blefem. Na szczęście dziś nie ma dużego prawdopodobieństwa, tak się przynajmniej wydaje, że ten blef zostanie sprawdzony. Natomiast państwo polskie, jako struktura, która powinna być gotowa do wojny, a więc do obrony swojego terytorium, obywateli i porządku prawnego, niestety nie jest.

Mamy system prawny ufundowany przez konstytucję z 1997 r., który obezwładnia zdolności władzy wykonawczej i sztabu generalnego, uniemożliwiające skuteczny proces decyzyjny. Mamy przestarzały sprzęt wojskowy i za małe zapasy amunicji. Obostrzenia formalno-prawne w produkcji zbrojeniowej skutkują ograniczeniem zdolności produkcyjnych. Są one dużo mniejsze niż w okresie PRL, który – mówiąc delikatnie – nie był mistrzem w gospodarce. Jest to efekt wadliwych zapisów ustawy o produkcji i obrocie specjalnym, gdzie koncesjonowane są nie tylko rakiety czy samoloty bojowe, lecz także detektory skażeń chemicznych, symulatory kierowców czołgów albo silniki o mocy 1500 KM dla łodzi motorowych. Krótko mówiąc, państwo de facto uniemożliwia powstanie polskiego przemysłu zbrojeniowego.

Czy to nie kuriozum, że Sejm – zamiast zająć się usunięciem absurdów prawnych, które godzą wprost w bezpieczeństwo Polski – uporczywie proceduje kolejną wersję ustawy o pomocy dla Ukrainy?

To jest skutek, a nie przyczyna. A dokładnie skutek wadliwego systemu formalno-prawnego, który jest „demokracją na sterydach", gdzie rządzi parlament, czyli kilka grup złożonych z trzech–czterech osób, bo reszta posłów jest od naciskania guzika, a nie od myślenia. Tych kilka środowisk tworzy narrację

eprasa.pl 0f0a3f5071

na podstawie słupków sondażowych. W ten sposób trudno skutecznie zarządzać czymkolwiek. Nie widziałem jeszcze fabryki, która kierowałaby się w swoich decyzjach strategicznych nastrojami załogi, czy armii, która byłaby sterowana opiniami szeregowych.

Czy tych kilka środowisk, które trzymają władzę w Polsce, nie próbuje dziś wkręcić nas w niechcianą przez Polaków wojnę?

Myślę, że to tylko konsekwencja, a nie zaplanowany cel, bo nie widzę żadnego środowiska w polskim Sejmie, które rzeczywiście – jak pan to ujął – chciałoby „wkręcić w wojnę" państwo polskie. Ich działania mogą jednak do tego doprowadzić nie poprzez intencje, ale jako skutek. Raczej patrzę na te środowiska jako na grupy, które są całkowicie pozbawione albo w znaczącej mierze pozbawione refleksji strategicznej czy myślenia w dłuższym horyzoncie czasu niż najbliższe wybory.

Czy ludzie rządzący Polską, myślę nie tylko o ekipie Donalda Tuska, lecz także o poprzedniej władzy, mają w pana ocenie świadomość dramatycznego deficytu zdolności obronnych polskiej armii?

To zależy, z kim się rozmawia. Te środowiska złożone są przecież z różnych ludzi. Spotkałem wśród nich osoby, których poglądy zbliżone są do moich. Aczkolwiek uznali, że poglądy nie mogą przeszkodzić im w karierach. Prywatnie robią jednak wszystko, żeby przygotować rodzinę na „czarną godzinę". Na moje pytanie, dlaczego nie powiedzą tego publicznie, że przygotowują zapasy jedzenia, paliwa, opału, działając jak typowi „prepersi", odpowiadają, że byłoby to niezrozumiałe, więc wolą nie mówić nic. Wydaje mi się, że taka postawa jest bardzo nieuczciwa w stosunku do ich wyborców.

Oprócz cyników są ludzie, którzy myślą, że jakoś to będzie, że przecież przez kilkadziesiąt lat z każdego problemu udało się jakoś „wyślizgać" okrągłymi słowami, więc może i tym razem się uda. Ale dzisiejsze czasy nie są już tak przyjazne niekompetentnym politykom, jak lata 90. czy początek XXI w.

Rząd, stronnictwa sejmowe, a także prezydent zareagowali na wtargnięcie rosyjskich dronów w naszą przestrzeń powietrzną buńczuczną retoryką. Czy bardziej na miejscu nie byłyby większa powściągliwość i umiejętna dyplomacja, skoro nie mamy na razie możliwości, żeby się skutecznie bronić nie tylko przed wrogimi dronami?

Myślę, że można zaobserwować trzy rodzaje zachowań wśród państw, tak jak wśród ludzi, bo to oni rządzą państwami. Ci, którzy mają prawdziwe zdolności, są jak chłopiec w podstawówce, który jest najsilniejszy w całym roczniku. Nie musi być wcale agresywny, bo nie musi nikomu udowadniać, że jest najsilniejszy. Ten, który jest najsłabszy i boi się własnego cienia, musi być bardzo krzykliwy i buńczuczny, bo to jedyna rzecz, którą jest w stanie zrobić, by siebie obronić. Natomiast ten, który jest pośrodku, jest taki jak w szkole była większość z nas. Liczy, szacuje i próbuje się dogadywać.

Właśnie takiej postawy brakuje w naszej polityce?

Jeśli spojrzymy na te trzy typy postaw, to czytelnicy łatwo odpowiedzą sobie na pytanie, który z nich przypisać aktualnej administracji państwa polskiego.

Co musiałoby się wydarzyć, żebyśmy w szybkim czasie usunęli deficyty, które dziś uniemożliwiają nam skuteczne reagowanie np. na zmasowany atak dronów?

Są dwie warstwy tego pytania: techniczna i polityczna. Technicznie jest to do zrobienia w ciągu kilku miesięcy. Ze względu na polityczne uwarunkowania w Polsce nie widzę możliwości skutecznego wykonania tego rodzaju działań.

Dlaczego?

Bo musiałby zaistnieć konsensus w sprawach, które są niemile widziane. Na przykład takich, że radary dla celów nisko lecących mają skadrowane etaty obsługi. Tak samo zestawy przeciwlotnicze, których można by użyć do walki z takim celami, nie mają pełnej obsady, jak zresztą wszystkie pozostałe systemy w polskiej armii, które też nie mają pełnej obsady. Jesteśmy armią, która nie szkoli rezerw, a jest mobilizowana na czas wojny. W związku z czym, żeby zmobilizować pododdziały radiolokacyjne, nie będziemy mobilizować tysięcy czy dziesiątek tysięcy ludzi, mobilizacja objęłaby kilkuset ludzi do systemów przeciwlotniczych, 150 czy 200 do radiolokatorów, którzy na co dzień są nauczycielami, kierowcami autobusów czy biznesmenami.

Nagle jednak okaże się, że armia polska, która od kilkunastu lat budowana jest jako zawodowa, nie jest w stanie w czasie pokoju zapewnić nam bezpieczeństwa przed kilkunastoma dronami. Bez mobilizacji rezerw, których nie szkolimy od kilkunastu lat. To kompromitacja całego projektu „zawodowej" armii. Nie ma nikogo, kto odważyłby się zjeść tę żabę w PiS, KO.

Czy w takim razie Polska dysponuje dziś realną obroną przeciwlotniczą?

Mamy zamówione i częściowo odebrane bardzo drogie systemy, które są w stanie punktowo bronić dwóch wybranych miejsc na terenie kraju. Kłopoty systemów przeciwlotniczych biorą się też stąd, że są one kupowane za granicą i są bardzo drogie. Nie rozwijaliśmy własnych zdolności. Są to systemy paradne w tym sensie, że nie są rozwijane na czas pokoju. Proszę pamiętać, że system obrony powietrznej kraju w czasach PRL był gotowy do zestrzelenia intruzów 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Dzisiaj nie mamy takich zdolności. Ich odtworzenie wymaga albo gigantycznych nakładów (co jest nierealne), albo przywrócenia poboru. Ponieważ tylko on da możliwości kadrowe obsadzenia systemów. Jeśli coś ma służyć 24 godziny na dobę siedem dni w tygodniu, to potrzebuje trzech obsług, które będą potrafiły skutecznie obsługiwać te systemy w dłuższym okresie.

Chwalimy się, że jesteśmy prymusem w NATO pod względem wydatków na obronę, a z tego, co pan mówi, wynika, że cofnęliśmy się w porównaniu z czasami PRL, jeśli chodzi o realny potencjał odstraszania. Brzmi to paradoksalnie.

Wręcz absurdalnie. Ale niestety tak. Totalitarne, niewydolne gospodarczo, narzucone siłą półpolskie państwo było skuteczniejsze w zakresie zdolności wojskowych o rząd wielkości niż Rzeczpospolita Trzecia, czy Trzecia i Pół, czy jak to chce liczyć aktualna koalicja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Hoga *– prezes Fundacji Ad Arma, ekspert i doradca w dziedzinie wojskowości.*

eprasa.pl 0f0a3f5071

Rozdziobią nas kruki i drony...



Boxer Skyranger 30 – system obrony powietrznej krótkiego zasięgu do zwalczania dronów, śmigłowców i pocisków manewrujących FOT. RHEINMETALL



Jerzy Karwelis

Sytuacja wojenna na Ukrainie spowodowała, że nikt już tam nie oglądał się na czyjeś grupy nacisków i interesów. Dziś dzięki temu Ukraina jest w czołówce rozwiązań dronowych. Bez tego przegrałaby już dawno wojnę z Rosją. My mamy tę przewagę, że te sprawdzone rozwiązania możemy wprowadzać (jeszcze?) w czasie pokoju

A tak dronowy na Polskę wzbudził wielką dyskusję o przygotowaniu naszego kraju na takie wypadki. Na Ukrainie to codzienność, u nas widać, że właściwie procedury się docierają. Nasza reakcja budzi wątpliwości co do skuteczności (oficjalnie zestrzelono trzy drony na 21) oraz zaangażowania nadmiarowych środków przy neutralizacji dronów. Zestrzeliwanie obiektów za kilka (kilkanaście?) tysięcy dolarów rakietami za kilka milionów nie stanowi żadnego systemu. Jest raczej nadreakcją, a to pokazuje działania bardziej narracyjne niż realne, a już tym bardziej systemowe. To zaś każe postawić zasadnicze pytanie: Co właściwie mamy w obszarze obrony antydronowej w ogóle? Bo jakoś się o tym niewiele mówiło. Ataki F-35 i F-16 to nie opowieść o systemie, tylko opowieść o jednorazowej reakcji. Czyli jak jest naprawdę?

CO MAMY?

Do dronów zabraliśmy się właściwie po rozpoczęciu wojny na Ukrainie (czyli znowu reaktywnie), podpisano w 2022 r. stosowne umowy „o testowaniu" systemu SKYctrl firmy APS z Gdyni. Choć sam system „testował" się z powodzeniem na wojnie na Ukrainie (chwalony tam), to nasze wojsko zaczęło w nim majstrować, „dostosowując system do zmieniających się warunków". Trwało to tak długo, aż zmieniła się władza i projekt praktycznie zastopowano. To znaczy u nas zastopowano, bo dalej działa on z powodzeniem na Ukrainie. Nowa władza zaczęła go testować znowu (trzeci rok), tak długo, aż niemiecki Rheinmetall przedstawił system Skyranger, który jeszcze nie walczył, ale wiadomo, przynajmniej dla chętnych do jego zakupu Polaków, że będzie on lepszy od tego, polskiego, który jest systemem walczącym.

Działania w obszarze obrony antydronowej mają dwie płaszczyzny: wykrywanie dronów i ich eliminację. W tych pierwszych obszarach istnieje wiele propozycji, również autorstwa polskich firm z sektora prywatnego, jednak nie wiadomo, dlaczego taka np. Straż Graniczna ma tak ustawiać warunki techniczne, że faworyzują one podobno firmę RADA Electronic Industries z Izraela. Wynik tych wątpliwości – brak działającego systemu. Rozwiązanie izraelskie ma detektować i niszczyć drony, choć akurat na granicy powinny być to systemy, które zarówno wykrywają ruch ludzki na ziemi, jak i obiekty nisko lecące, tak jak te, które przyleciały do nas ostatnio. System taki od lat oferuje polska Grupa WB, ale zainstalowano go jedynie na granicy z Ukrainą, choć prosiłoby się również o granicę z Białorusią, bo zakopany pod słynnym murem światłowód od czasu do czasu tylko wychwytuje ruch ludzi na powierzchni. Taka AMSTA robi to i na ziemi, i na wysokości. Ale gramy tu na izraelskie rozwiązanie.

Kolejna sprawa to likwidacja namierzonych już dronów. Tu systemy polskiej APS zostały „do testów" zdjęte przez polskie wojsko z wyposażenia, a Polska zadeklarowała zainteresowanie niemieckim systemem Skyranger. Po prostu Niemcy się doczekali. Polski system zwinięty, drony nad Polską i co tu począć? Kłopot polega jednak na tym, że po ten system zgłosiło się już parę krajów – sami Niemcy chcą tego nakupić w liczbie 650 sztuk, a Rheinmetall produkuje je w liczbie 200 jednostek rocznie. A więc – jeśli już – ustawimy się znowu w długiej kolejce.

CO CHCEMY KUPIĆ?

Warto się przyjrzeć, jak wygląda taki niemiecki system. To działko wypluwające 1 tys. sztuk pocisków na minutę, które wygląda jak mały czołg, a więc musi się to rozstawić zawczasu, jakby

eprasa.pl 0f0a3f5071

wiedząc, którędy przeleci dron. System służyć raczej może do obrony obiektów, a nie niszczenia dronów na ich trasach przelotowych. Trzeba dodać, że Ukraińcy załatwiają te sprawy także za pomocą dwuosobowych mobilnych patroli wyposażonych w karabiny z lat 40. i 50., o zestrzeliwaniu dronów za pomocą broni myśliwskiej nie wspominając.

Staje się też ważne pytanie: Jak neutralizować drony? W tłumaczeniu ostatnich ataków dronów przebija się teza, że mogły to być drony zakłócone (pytanie: Przez kogo?) lub takie, nad którymi przejęto kontrolę, tyle że ograniczoną. Jest to najnowszy system ich eliminacji, z tym że ma on kilka mankamentów: po pierwsze – trudno tego dokonać, po drugie – często taka obrona ogranicza się jedynie do zakłócenia sterowania bez jego przejęcia. Wtedy taki dron leci i detonuje poza kontrolą każdej ze stron konfliktu.

Bo podstawowy sposób – kinetyczny – również nastręcza wiele wątpliwości. Trafione kulą czy wiązką elektromagnetyczną drony spaść bowiem mogą na głowy bronionej ludności, w końcu na tyle blisko celu, by jednak coś lub kogoś uszkodzić. Obrona jest więc trudna, choć wybór sposobu kontrataku, tak jak w polskim systemie PIT-RADWAR, może być dokonany przez operatora.

W tym samym czasie polskie prawo wprowadziło znaczne ograniczenia w posługiwaniu się bronią przez obywateli, a więc rozbudowanych systemów nie mamy, a obywatelska obrona przed dronami (szczególnie skuteczna na Ukrainie) jest zablokowana, i to systemowo. Jesteśmy więc w całkiem innym miejscu. Znowu więc będzie tak, że w wyniku sporów, ba – nie sporów, ale ścierania się różnych grup interesów w łonie zakupowym polskiego wojska – wylądujemy bez systemów, bezradnie ustawiając się w kolejce do spóźnionych dostaw lub nawzajem anihilując każdą, choćby nieoptymalną, ale jakąś, decyzję zakupową. To zdaje się być źródłem naszej systemowej bezradności.

CO DZIAŁA?

Mamy sześć systemów „Pilica" do likwidacji nisko lecących celów, które są rozmieszczone w 37. dywizjonie rakietowym obrony powietrznej w Bielicach oraz w 35. dywizjonie rakietowym obrony powietrznej w Skwierzynie. Systemy takie jak „Narew", a już tym bardziej „Wisła" nie bardzo nadają się do walki z dronami – prędzej do likwidacji rakiet dalekiego zasięgu. Mamy też na uzbrojeniu pojazd do likwidacji celów powietrznych Poprad. Tyle.

Polskie prywatne firmy stoją na końcu, bo to przecież konkurencja dla Polskiej Grupy Zbrojeniowej

Widać z tego, że właściwie to nic nie mamy przeciw dronom, gdyż wymienione środki są zbyt nieliczne i wyspowe, ciężko więc nimi nasycić obronę, zwłaszcza wobec nisko lecących dronów, tym bardziej ich rojów. Duże systemy są mało mobilne, a tu trzeba reagować na krótkich dystansach, w niespodziewanych miejscach i czasie. W końcu na Ukrainie mamy przypadki 800 ataków dziennie i nasza skuteczność wykazana ostatnio (15 proc.) może budzić wiele wątpliwości, pomimo tromtadrackich deklaracji państwa.

Przypatrzmy się Ukrainie, obecnie jednej z potęg przemysłu dronowego – zarówno co do ilości, jak i innowacyjności rozwiązań. Ukraińcy wykorzystali z nawiązką czas dany im przez wojnę na lekcję dostosowawczą. Swój system skonstruowali w czasie wojny, praktycznie pod bombami. Jest to wielowarstwowa tkanka obrony, wsparta rodzimą wytwórczością. System ukraiński rodził się w walce, co ma te zalety, że jest oparty na skrajnym pragmatyzmie, sprawdzony w działaniu i daleki od kupowania gotowych (?), drogich i niesprawdzonych systemów z zachodnich półek. Wojna na Ukrainie uczy jednego – nie ma co się opierać na długoletnich projektach systemowych, gdyż te są wdrażane w spowalniającym bagnie połączenia interesów lobby państwowych poganianych przez lobby całkiem prywatnych potęg przemysłu zbrojeniowego. Ukraińcy robią swoje drony wręcz po garażach z elementów prostych i przeznaczonych do czegoś innego, a ich system obrony antydronowej uzupełniany jest „ukraińskim Janosikiem", czyli aplikacją cywilną, dzięki której każdy obywatel może ostrzec innych o nadlatującym samolociku, co daje też szanse zadziałania systemu obrony.

Ta lekcja z Ukrainy zaczęła się od jednego – wojsko rozpoczęło współpracę z firmami prywatnymi z Ukrainy. Nikt tam nie patrzył bokiem na prywaciarza, który ma dobre pomysły i bazę wytwórczą. Wojna spowodowała, że nikt już nie oglądał się na czyjeś grupy nacisków i interesów. Dziś dzięki temu Ukraina jest w czołówce rozwiązań dronowych – bez tego przegrałaby już dawno wojnę z Rosją. My mamy tę przewagę, że te sprawdzone rozwiązania możemy wprowadzać (jeszcze?) w czasie pokoju. Czy to robimy?

CO ROBIĆ?

Sprawy wyglądają kiepsko. Obecnie utrzymywana jest stara zasada, że w polskim wojsku stosuje się pewne stopniowanie: polskie prywatne firmy stoją na końcu, bo to przecież konkurencja dla Frankensteina, czyli Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Tej PGZ zleca się opracowanie systemów podobnych, których projekty są notorycznie niedowożone i wtedy z – bezinteresownej przecież – rozpaczy zleca się zakup „gotowych i przećwiczonych" systemów zagranicznych. O nietransparentności tego procesu można napisać opasłe księgi, bo to i przy pośrednictwie można zarobić, i podlizać się któremuś z ambasadorów. A odejście od takich praktyk wymagałoby wręcz rewolucyjnych zmian mentalnościowych w wojsku.

Należy się obawiać powrotu w stare koleiny. Ciężkich, powolnych programów tworzonych przez molocha Polskiej Grupy Zbrojeniowej albo drogich zakupów z zachodnich półek. Znowu zaczną się korowody wokół warunków przetargowych, układania się z grupami wpływu, co – znowu – będzie stratą czasu, pieniędzy i – w końcu – brakiem jakiegokolwiek wyboru. Jak widać, w tym obszarze działają polskie firmy, które mają dobre rozwiązania, sprawdzane w wojnie na Ukrainie, i nie ma żadnego powodu, by te kluczowe procesy trwały tak długo lub kończyły się nieprzychylnie dla polskiego przemysłu. A najgorzej, że kończą się one stuporem decyzyjnym, kiedy – jak obecnie – nie mamy zintegrowanego systemu, wymyślamy go (albo kupujemy na Zachodzie) od początku, zamiast pojechać na jedną wizytę studialną na Ukrainę i wrócić z praktykowanym rozwiązaniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071

Spalić, zniszczyć, nie oddać



Rafał A. Ziemkiewicz

Jedyna realna perspektywa działań Waldemara Żurka to pogłębienie chaosu do granic ostatecznego paraliżu wymiaru sprawiedliwości



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

W kolejnych posunięciach ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka i deklaracjach składanych przez jego akolitów nie sposób już znaleźć żadnego sensu, choćby najbardziej złowrogiego. Sprawiają oni wrażenie, jakby w obliczu nieuchronnie nadchodzącej klęski zdecydowali się na „wariant Wołodyjowskiego": wysadzą cały system wymiaru sprawiedliwości w powietrze, żeby nie dostał się w ręce „neosędziów" i „pisowców". Interes państwa polskiego czy dobro obywateli, niemogących latami doczekać się pilnie potrzebnych w wielu życiowych sprawach wyroków, zacietrzewionych warchołów w togach nie obchodzi w najmniejszym stopniu.

Istotnym sygnałem, że sędziowski rokosz traci resztki poparcia, nawet wśród „starych sędziów", jest fiasko podjętej przez ministra Żurka próby wymiany „pisowskich" prezesów i wiceprezesów w 25 sądach. Poza jednym wypadkiem stanowczo sprzeciwiły się temu kolegia owych sądów, w których większości bynajmniej nie stanowią „neosędziowie". Zgodnie z prawem oznacza to, że decyzje ministra nie mają żadnej mocy. Ale pan Żurek – działając już raczej właśnie jako „pan" niż jako „minister" Żurek – zareagował ogłoszeniem, że owe kolegia też są „pisowskie" (w jego mowie: „nie gwarantują bezstronności i niezależności") i że je także odwołuje. Prawnicy, którzy zachowali jeszcze rozum, przecierają ze zdumieniem oczy. Wielu zaczyna trzeźwieć i uświadamiać sobie, że reformy PiS i Zbigniewa Ziobry, przeciwko którym tak usilnie protestowali, to przy szaleństwach obecnej ekipy był chór chłopięcy z Wiednia.

Analogicznie zaparł się Żurek w kwestii rzeczników dyscyplinarnych, „powołując" w miejsce urzędujących, bez oglądania się na prawo i kadencje, swoich. A gdy Krajowa Rada Sądownicza odmówiła wpuszczenia Żurkowych „dublerów", ten ogłosił, że swym zarządzeniem zmienia ustawę, która jasno i jednoznacznie określa umocowanie tego urzędu, i od teraz zapleczem organizacyjnym dla rzeczników będzie Sąd Okręgowy dla Warszawy-Pragi, bo tam widocznie Żurek ma dobry układ. W jaki sposób można zmienić zarządzeniem ustawę? Żurka nie ma co o to pytać. Ciekawiej byłoby dowiedzieć się, co zamierza zmienić następnym zarządzeniem – unieważni wybór na prezydenta Karola Nawrockiego, a może wygasi mandaty tych posłów, którzy nie reprezentują „sił demokratycznych"?

PERSONALNE WYJAŁOWIENIE OBOZU RZĄDZĄCEGO

Z przecieków wiadomo, że wspólnie z nowym szefem MSWiA zażądał Żurek od Państwowej Komisji Wyborczej usunięcia ok. 50 proc. komisarzy wyborczych, których również uznali obaj panowie za „niegwarantujących bezstronności", czytaj: „pisowskich". Można być pewnym, że PKW takiej decyzji nie podejmie. Można się też spodziewać, że Żurek ogłosi wówczas, że usuwa ich niniejszym zarządzeniem i ustanawia innych. Albo czyni komisarzami z urzędu przewodniczących regionalnych struktur Koalicji Obywatelskiej. A sądy, które posłuchają swoich kolegiów i nie wpuszczą „prezesów" nominowanych przez ministra, kolejnym zarządzeniem rozwiąże, tworząc jakieś, powiedzmy, „Demokratyczne Trybunały Obywatelskie" z wiernych kadr stowarzyszeń sędziowskich Themis i Iustitia. Inna sprawa, że już i wśród członków tych de facto partyjnych przybudówek PO zaczęły się „zdrady" – wbrew statutom tych stowarzyszeń, nakazującym członkom „realizować uchwały zarządu w orzecznictwie", niektórzy z nich wydawali ostatnio wyroki jawnie kwestionujące oczekiwania władzy. Można się domyślić, że to nimi w pierwszej kolejności zajmie się nowo mianowany „rzecznik dyscyplinarny" z warszawskiej Pragi.

Od dawna nie mieliśmy tak jawnego wymówienia posłuszeństwa prawu. Od, jak sądzę, roku 2007, kiedy to Donald Tusk zapowiadał odwołanie całego mniejszościowego już wtedy, dzięki zmianie sojuszu przez Romana Giertycha, rządu PiS „po jednym ministrze", bez powoływania nowego (żeby ominąć konstytucyjny wymóg konstruktywnego wotum nieufności), i, spodziewając się rozwiązania parlamentu,

eprasa.pl 0f0a3f5071

zwoływał konkurencyjny, „demokratyczny" parlament do gmachu Politechniki Warszawskiej. Wtedy skończyło się na zapowiedziach, a konflikt wygasł po kolejnych, przyśpieszonych wyborach – może dlatego, że PiS nie wpadł na pomysł, by zabezpieczyć się przed ich przegraniem, „wymieniając" komisarzy wyborczych na, powiedzmy, „patriotycznych".

Ale sytuacja PO przed 18 laty była zupełnie inna. PO nigdy wcześniej nie rządziła. Jej ówczesne hasła – zresztą krańcowo odmienne niż to, co realizowała u władzy i co głosi teraz – były popularne, sam Tusk jawił się wielu jako nowa nadzieja, połączenie udeckiej „inteligencki" z liberalnym pragmatyzmem. Dziś większość Polaków, jak dowodzą badania, ma go szczerze dość, trwa wyłącznie dzięki temu, że zniszczył wszystkich potencjalnych kandydatów do sukcesji (fakt, że jako jedynego wymienia się w tym kontekście Radosława Sikorskiego, sam w sobie dobitnie obrazuje personalne wyjałowienie obozu rządzącego), a koalicja, na której się opiera, jest coraz bardziej niespójna. A „rozliczenia", którymi kieruje się Żurek, obchodzą, co też pokazują badania, przysłowiowego psa z kulawą nogą, zwłaszcza w obliczu wojennej niepewności, wzrostu cen i rozczarowania „Europą", z której czerpał siłę cały antypisowski ruch. Zgodnie z zasadą Karola Marksa – w powtórce to, co kiedyś było na poważnie, staje się farsą.

Dość uporczywie powtarzana jest w kuluarach informacja, że Tusk, który w pierwszej chwili gotów był iść za radą Bartłomieja Sienkiewicza i przeprowadzić zamach stanu, nie dopuszczając do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego, przestraszył się i wycofał, gdy dotarło do niego, jak bardzo niepopularny jest w wojsku, policji i służbach, na których taki zamach musiałby się opierać. Jeśli chce się zarządzeniami zmieniać ustawy, nawet samą konstytucję, to trzeba mieć „silnych ludzi", zapowiadanych swego czasu przez Tuska, którzy wymuszą ich wykonanie. Wszystko wskazuje na to, że Tusk, a tym bardziej Żurek już ich nie ma. Ma tylko – jak zapewnia w wywiadach (jeden z nich streszczał w swoim felietonie kilka tygodni temu Paweł Lisicki) – nieskończoną determinację, „odwagę", „wolę walki" oraz gotowość, by „okazać siłę" i „nie ulec". Najdelikatniej mówiąc – skoro

Z dawnych planów cofnięcia czasu, snutych na początku rządów Donalda Tuska i Adama Bodnara, pozostał już tylko ośli upór

to nie wystarczyło do zmuszenia KRS, by oddała Biuro Rzecznika Dyscyplinarnego uzurpatorowi, może też nie wystarczyć do spacyfikowania 25 sądów. Bohater Adama Mickiewicza, uosabiający warcholstwo „polskiej anarchii", mówił „wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie", ale żadnemu warchołowi dawnych czasów, których tradycje kontynuują dziś „demokratyczni" sędziowie, z samym imć Łaszczem (tym, który sobie wyrokami kazał podbić odzienie wierzchnie), nie wpadłby do głowy pomysł tak groteskowy, że wystarczy ogłosić, że się wygrało – i już.

POSTAWIĆ NA SWOIM

Jedyna więc realna perspektywa działań „odważnego" ministra to pogłębienie chaosu do granic ostatecznego paraliżu wymiaru sprawiedliwości. Sądy, które mają po dwóch nieuznających się nawzajem prezesów, nieuznający się nawzajem rzecznicy, sędziowie dowolnie unieważniający wyroki innych, bo wydali je „neosędziowie". Ukoronowaniem bałaganu, jaki mają w głowach rokoszanie, jest to, co zaprezentował w niedawnym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" odchodzący szef Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, Piotr Prusinowski (przypomnijmy: ten, do którego, omijając drogę określoną prawem, wysłał swego czasu przez umyślnego sprawę immunitetów posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika marszałek Sejmu Szymon Hołownia). Prusinowski ogłasza niniejszym, że wraz z jego odejściem izba „przestaje istnieć", ponieważ liczba zasiadających w niej „starych" sędziów spadnie poniżej ustawowego quorum, a pozostali z mocy uchwały trzech „starych" izb zwołanych kiedyś przez Małgorzatę Gersdorf nie są sędziami. Z tej samej przyczyny cały Sąd Najwyższy, zdaniem Prusinowskiego, „umiera". I to bezpotomnie.

Postawa Prusinowskiego czy podobnych mu ortodoksyjnych rokoszan – jak, w samym SN, sędziowie Włodzimierz Wróbel czy Michał Laskowski – jest na swój sposób konsekwentna. Od momentu, gdy ustawy PiS zakwestionowały działanie uzgodnionego przy Okrągłym Stole perpetuum mobile, polegającego na tym, że prezesi sądów wybierają KRS, który wskazuje prezesów sądów (mechanizm charakterystyczny dla komunistycznego „centralizmu demokratycznego", wciąż działający np. w związkach sportowych), „stara" sędziowska sitwa uporczywie stara się cofnąć czas, zgodnie z hasłem „żeby znowu było, jak było". Nie przekonują jej żadne argumenty prawne, nie zniechęcił ich fakt, że jednoznacznie odrzuciły koncept „neosędziów" i wszystkie jego konsekwencje TSUE i Komisja Europejska. Czepiają się każdego skrawka nadziei (TSUE ostatnio zakwestionował Izbę Kontroli Nadzwyczajnej SN, ale z innego powodu – kwestionując konstytucyjność ustawy ją powołującej – choć wyłączne prawo oceny ma tutaj polski Trybunał Konstytucyjny, ale co tam) i zamykając się w „bańce", w której moc prawną niekonstytucyjnym zarządzeniom „demokracji walczącej" daje, zamiast publikacji w Dzienniku Ustaw, ogłoszenie ich w „Gazecie Wyborczej".

Z dawnych planów cofnięcia czasu, snutych na początku rządów Donalda Tuska i Adama Bodnara, pozostał już tylko ośli upór, by za wszelką cenę postawić na swoim. A my „neosędziów", choć jest ich już ponad 4 tys., i „neo-KRS" nie uznamy, i już. „Z Bogiem i choćby mimo Boga" (tzn. z poparciem TSUE czy bez niego). Przykładem jest blokowanie przez Ministerstwo Sprawiedliwości od półtora roku naboru asesorów sądowych – bo w procedurze bierze udział KRS – wskutek którego w sądach, jakby nie dość jeszcze paraliżowało je warcholstwo ministerstwa, Iustitii i Themis, jest już ponad tysiąc wakatów i po prostu nie ma kto procedować spraw. Zresztą po co, skoro i tak na każdym etapie może wyskoczyć jakiś mędrek, który ogłosi, że nie uznaje prawa i procedur, bo są „neo"?

Nie udało się przywrócić władzy sitwy nad sądami? No to ogłaszamy, że sądy „umierają" i żeby ktoś nie sądził, że jest inaczej, dobijamy je groteskowymi zarządzeniami. Mają w nich wygrać „neosędziowie", to lepiej, żeby ich w ogóle nie było. I to samo z całą Polską.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071

Izba przyjęć Polska



FOT. ADOBE STOCK



Radosław Wojtas

Prezydenckie weto nowelizacji ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy sprawiło, że politycy zaczęli otwarcie mówić o problemie turystyki medycznej do Polski. Wreszcie, bo problem, choć dokładnie niezmierzony, jest na tyle powszechny, że – jak mówią sami lekarze – zetknęła się z nim znaczna część środowiska lekarskiego

Czy zjawisko turystyki zdrowotnej z Ukrainy do Polski jest powszechne? To jedno z pierwszych pytań, które zadaję warszawskiej lekarce o specjalizacji chorób wewnętrznych z wieloletnim stażem, pracującej na SOR i w przyszpitalnej poradni. – Trudno będzie panu znaleźć lekarza, który nie zetknąłby się z tym problemem. Jeszcze trudniej będzie panu znaleźć lekarza, który otwarcie i zupełnie szczerze o tym opowie pod nazwiskiem – mówi. Sama również prosi o zachowanie anonimowości.
– Przyjmuję w przychodni przyszpitalnej. Codziennie przyjmuję 25–30 pacjentów, w tym pięciu–siedmiu Ukraińców. Czasem roszczeniowych, czasem napastliwych. I bez mówienia o tym problemie w mediach zdarzają się konfliktowe, nerwowe sytuacje. Nie chcę dolewać oliwy do ognia – wyjaśnia. Dla wygody nadajmy pani doktor imię i nazwisko: Anna Nowak.

Jakub Kosikowski, rzecznik Naczelnej Izby Lekarskiej, rezydent onkologii klinicznej, w rozmowie z „Rzeczpospolitą" także przyznaje, że zjawisko to występuje. I także zauważa, że zetknęło się z nim wielu lekarzy: „Zjawisko »turystyki medycznej« ze strony Ukraińców istnieje, w naszym środowisku każdy z nas się z tym spotkał. Wychodzi to przez przypadek. Na przykład gdy zmieniamy termin i dzwonimy do pacjenta, słyszymy, że »on już przejechał granicę«, albo pojawiają się u nas pacjenci z wynikami PET szpitala na Ukrainie".

Obywatelom Ukrainy ze statusem uchodźcy, także tym niepracującym i nieopłacającym składek w Polsce, dostęp do bezpłatnej opieki zdrowotnej gwarantuje specustawa z marca 2022 r. Po napaści Rosji na Ukrainę i masowych ucieczkach ludności ukraińskiej przed wojną państwo polskie obejmowało uchodźców opieką. Trudno było wówczas wymagać, by uciekinierki – bo przyjeżdżały głównie kobiety, które opuszczały swój kraj często z jednym plecakiem – musiały opłacać składki czy natychmiast znajdować zatrudnienie, aby one i ich dzieci mogły skorzystać z pomocy medycznej w wypadku choroby. Ale czas mijał, a sytuacja się nie zmieniała, niepracujący Ukraińcy nadal korzystali z pełni przywilejów polskiej opieki zdrowotnej, także z zabiegów i terapii wysokospecjalistycznych. To rodziło pole do nadużyć, które politycy dopiero teraz postanowili ograniczyć. Czy skutecznie?

DO POLSKI NA OPERACJĘ

– To miało być rozwiązanie tymczasowe i jako takie się sprawdzało. Ale szybko zauważyliśmy, że nasza gościnność jest zbyt duża oraz naiwna i bywa cynicznie wykorzystywana – mówi dr Nowak. – Zaczęli pojawiać się przewlekle chorzy, także z krajów afrykańskich i Azji, którzy mieli ukraińskie dokumenty, bo np. studiowali na Ukrainie. Chcieli w Polsce kontynuować lub rozpocząć leczenie. Były to terapie wysokospecjalistyczne, głównie onkologiczne, co nie tylko wiązało się z ogromnymi kosztami. Nagłe pojawianie się nowej, dużej grupy chorych pogorszyło dostępność terapii dla polskich pacjentów – dodaje.

Doktor Anna Nowak niejednokrotnie spotkała się z przypadkami turystyki medycznej. Potwierdza to, co powiedział Jakub Kosikowski – że lekarze często odkrywają to przypadkiem, ale bywa i tak, że pacjenci w ogóle się z tym nie kryją. Opowiada kilka historii. Matka z kilkorgiem dzieci mieszkała w Polsce jeszcze przed wojną. Już po 24 lutego 2022 r. sprowadziła do Polski spod Lwowa swoją 80-letnią mamę. W ubiegłym roku Anna Nowak zdiagnozowała u niej wadę zastawki mitralnej serca w zaawansowanym stadium. Kobieta miała już obrzęk płuc. Z gabinetu wyszła ze skierowaniem na konsultację

eprasa.pl 0f0a3f5071

do Narodowego Instytutu Kardiologii. Pacjentka została zoperowana.

– Taka operacja kosztuje na pewno powyżej 100 tys. zł, jeśli nie ponad 200 tys. zł. Po jakimś czasie pacjentka pojawiła się u mnie i mówi, że przyszła się pożegnać i chciałaby, żebym jej wypisała leki na rok, bo ona wyjeżdża na Ukrainę. Zatkało mnie. Mówię, że przecież jest wojna, a ona na to, że tam jej się lepiej żyje. Wypisałam leki na miesiąc i poinformowałam, że po kolejną receptę musi się udać do lekarza na Ukrainie – opowiada Anna Nowak. – Ale to nie koniec tej historii, bo kilka tygodni temu zjawiła się u mnie ponownie. Pytam: „W czym mogę pomóc? Jednak przyjechała pani z Ukrainy?". A ona odpowiada: „Tak, bo teraz muszę sobie zoperować zaćmę i chciałabym prosić o skierowanie do okulisty".

Inna historia. W gabinecie dr Nowak zjawia się Ukrainka po czterdziestce z mamą na wózku inwalidzkim w wieku 70+, którą niedawno ściągnęła do Polski. – Przychodzi przygotowana: z dokumentami, formularzami, kładzie mi je na biurku i oświadcza, żebym wypełniła, bo będzie się starała o orzeczenie o stopniu niepełnosprawności i o nowy wózek dla mamy. Widzę, że kobieta ma przykurcze w stawie kolanowym i w biodrze, co świadczy o tym, że to stary niedowład. Córka pacjentki przyznaje, że jej mama nie chodzi od 18 lat. Kiedy pytam o dokumentację z Ukrainy, odpowiada, że nie ma, bo u nich jest wojna. Wtedy nie wytrzymałam i odpowiedziałam, że ja nie muszę zgadywać, czy mama jest po wypadku, a może po udarze, na co choruje, i nie zamierzam wypisywać dokumentacji, żeby to w Polsce przyznano jej status osoby niepełnosprawnej, bo za tym idą pieniądze z PFRON, wózek inwalidzki i inne świadczenia. Skończyło się złożeniem skargi na mnie – mówi Anna Nowak.

WETO

Z zestawiania przygotowanego przez Ministerstwo Zdrowia dla „Rzeczpospolitej" wynika, że za świadczenia zdrowotne dla osób posiadających w Polsce status uchodźcy z Ukrainy Fundusz Pomocy zapłacił w 2022 r. (od marca) ponad 514 mln zł, rok później – blisko 850 mln zł, a w 2024 r. – ponad 747 mln zł. Rosną koszty świadczeń zdrowotnych dla obywateli Ukrainy, którzy nie posiadają statusu uchodźcy (posiadających ubezpieczenie, w tej grupie są także osoby bezrobotne). Jak podaje „Rz", w ubiegłym roku było to blisko 1,5 mld zł, rok wcześniej – niespełna 1,2 mld zł, w 2022 r. – 705 mln zł. A zatem w ciągu dwóch lat kwota ta wzrosła ponaddwukrotnie. Z danych Zakładu Ubezpieczeń Społecznych za 2024 r. wynika, że składki społeczne i emerytalne płaci w naszym kraju 787 tys. obywateli Ukrainy (zarówno uchodźcy, jak i osoby bez tego statusu).

Przywileje dla uchodźców z Ukrainy, obowiązujące do końca września, miały zostać przedłużone, ale prezydent Karol Nawrocki zdecydował się zawetować nowelizację ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy i przygotować własny projekt. W kwestii zapisów dotyczących ochrony zdrowia argumentował: „Obywatele państwa polskiego są traktowani gorzej niż nasi goście z Ukrainy. Nie ma na to mojej zgody". Prezydencki projekt zakładał likwidację finansowania opieki zdrowotnej dla niepracujących Ukraińców.

W odpowiedzi rząd przygotował jeszcze inny projekt, który pospiesznie przegłosowano w Sejmie. Zachowuje wszystkie świadczenia niepełnoletnich obywateli Ukrainy ze statusem uchodźcy, dla dorosłych – większość, z pewnymi wyłączeniami. Nowelizacja wymienia 11 takich przypadków, m.in.: leczenie stomatologiczne, rehabilitację, zabiegi wszczepiania endoprotez, operacje zaćmy, dostęp do programów lekowych, czyli drogich terapii innowacyjnymi lekami w leczeniu onkologicznym. Ministerstwo Zdrowia obliczyło, że w 2026 r. przyniesie to oszczędności na poziomie 176,2 mln zł.

Ale czy to wyeliminuje patologie? – Projekt rządowy jest błędnie przedstawiany jako ograniczający przywileje dla Ukraińców. W rzeczywistości projekt te przywileje przedłuża, przede wszystkim w zakresie ochrony zdrowia – powiedział wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak w rozmowie z Lidią Lemaniak dla portalu DoRzeczy.pl. – Uchyla on prawo do niektórych świadczeń. Większość utrzymuje i utrzymuje wszystko dla obywateli ukraińskich poniżej 18. roku życia. Uważamy to za szkodliwe. Nie wierzę w żadną możliwość weryfikacji tego, które dziecko jest w Polsce, a które za granicą [...]. Na razie mamy do czynienia z wyłudzeniami na dużą skalę i niezdolnością do odzyskania tych pieniędzy z powrotem. To nie może tak wyglądać. W związku z czym potrzebujemy prostego projektu, który kończy te przywileje, a nie je przedłuża – dodaje.

LEKARZE NA SPECJALNYCH WARUNKACH

A do rozwiązania jest jeszcze jeden problem – alarmują lekarze. Personel medyczny z Ukrainy ma skróconą drogę do podjęcia praktyki w Polsce. Nie muszą oni nostryfikować swoich dyplomów ani potwierdzać swojej wiedzy. Warunkowo mogą leczyć na podstawie zezwolenia z Ministerstwa Zdrowia. – Niejednokrotnie takie osoby nie znają języka polskiego. Wątpliwości budzi też prawdziwość niektórych dyplomów, a kiedy wysyłaliśmy do Ministerstwa Zdrowia zapytanie o to, czy konkretna osoba jest lekarzem, bo przedłożony dyplom budził wątpliwości co do tego, czy jest prawdziwy i czy, przykładowo, nie został kupiony, to otrzymaliśmy odpowiedź na piśmie, że Ministerstwo nie weryfikuje autentyczności przedłożonych dokumentów – mówi „Rz" Jakub Kosikowski. I dodaje, że w tej chwili w Polsce pracuje ok. 500 lekarzy, którzy otrzymali zgodę ministra, lecz okręgowe izby lekarskie odmówiły im rejestracji. Te osoby albo w ogóle nie mówią po polsku, albo są wątpliwości co do tego, czy są one lekarzami. Mimo tego przyjmują pacjentów.

– Pod moim nadzorem pracowała pewna Ukrainka, którą próbowałam czegoś nauczyć. Ze swoją wiedzą z pewnością nie skończyłaby w Polsce medycyny. Niestety, na Ukrainie wciąż wiele można załatwić za pieniądze. Kiedy dowiedziała się, że jako lekarz specjalista może zarabiać więcej, w piątek wyjechała do Lwowa, a w poniedziałek wróciła ze specjalnością z gastrologii – mówi dr Anna Nowak. – Nie piętnujmy ogółu pacjentów, dlatego że niektórzy z nich w nieuczciwy sposób wykorzystują naszą gościnność. Nie piętnujmy ogółu lekarzy z Ukrainy, bo są wśród nich także dobrzy fachowcy. Ale tu chodzi o zdrowie i życie. Wszystkim nam, także lekarzom z Ukrainy, powinno zależeć na tym, żeby w zawodzie były osoby, których kompetencje są na najwyższym poziomie. A zasady przejrzyste i uczciwe. Niezależnie od narodowości – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071

Nowe kryteria patriotyzmu



Andrzej Krzystyniak

Prezydent Andrzej Duda odznaczył Krzyżem Wolności i Solidarności przewodniczącego Ruchu Autonomii Śląska, Jerzego Gorzelika. Człowiek ten określił Polskę mianem „małpy", która „zepsuła zegarek". Wniosek w sprawie odznaczenia złożył IPN, gdy jego prezesem był Karol Nawrocki



Jerzy Gorzelik zaangażował się w działalność opozycyjną w PRL, bo – jak twierdzi – traktował ją jako walkę o autonomię Śląska

FOT. TOMASZ KUBIAK/ARTSERVICE/FORUM

Stosunek państwa polskiego do śląskiego separatyzmu przybierał w ciągu kilkunastu lat różne formy, od wspierania reprezentujących to zjawisko środowisk, zapraszania ich do współrządzenia województwem na szczeblu samorządowym, do prób przepchnięcia gwary śląskiej jako języka przez polski parlament. Przy czym najostrzejszą formą sprzeciwu wobec separatyzmu, jeśli w ogóle takowa zaistniała, była względem niego całkowita bierność bądź też życzliwa neutralność. Trzeba tu też wymienić widoczne wpływy niemieckie: finansowanie różnych fundacji czy też wychowywanie sobie sporej grupy agentów wpływu, głównie na poziomie polityki kulturalnej, służącej negowaniu polskości Śląska czy też obarczaniu Polaków zbrodniami komunistycznymi po 1945 r., a mającej na celu relatywizację niemieckich zbrodni z czasów drugiej wojny światowej. Trzeba jednak przyznać, że polskie państwo całkiem niedawno przekroczyło w swej, delikatnie mówiąc, akceptacji śląskiego separatyzmu kolejną barierę – barierę, za którą pozostaje już tylko granica uznania własnej groteskowości.

Wydarzeniem, które można określić takim mianem, jest przyznanie Krzyża Wolności i Solidarności przewodniczącemu Ruchu Autonomii Śląska, Jerzemu Gorzelikowi. Wspomniane odznaczenie jest nadawane działaczom opozycji antykomunistycznej, którzy w latach 1956–1989 (z wyłączeniem okresu pomiędzy 31 sierpnia 1980 r. a 13 grudnia 1981 r.) prowadzili zagrożoną odpowiedzialnością karną lub represjami działalność na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości i suwerenności. Oczywiście gwoli ścisłości prawdą jest, że wspomniany Jerzy Gorzelik, rok urodzenia 1971, prowadził działalność antykomunistyczną już jako uczeń jednego z katowickich liceów. Przypomnijmy, że kilka lat temu grupa wspomnianych antykomunistów z I Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Katowicach została we wspomnianej szkole uhonorowana przez katowicki oddział IPN pamiątkową tablicą. Opozycyjna antykomunistyczna komórka powstała w katowickim liceum w 1987 r., prowadząc swoją konspiracyjną działalność aż do przemian ustrojo-

eprasa.pl 0f0a3f5071

wych. W grupie uhonorowanych znalazł się również Jerzy Gorzelik.

ZADANIA USTAWOWE IPN

Sam Gorzelik pytany na okoliczność przyznania mu Krzyża Wolności i Solidarności o to, jak ocenia swoją antykomunistyczną przeszłość, stwierdził, że była ona początkiem „walki o przywrócenie Śląskowi przedwojennej autonomii", odebranej po wojnie, jego zdaniem bezprawnie, przez komunistów. Można zauważyć, że już wówczas Gorzelik wyznaczył cel swojej politycznej drogi. Kontynuuje ją aż do dziś, za co też został uhonorowany przez samego prezydenta RP Andrzeja Dudę. Można nawet rzec, że został wyróżniony przez dwóch prezydentów, gdyż z wnioskiem o jego odznaczenie wystąpił ówczesny prezes IPN, Karol Nawrocki. Co z kolei może najbardziej dziwić? Jak poinformował redakcję „Do Rzeczy" zastępca prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, dr hab. Karol Polejowski, realizując zadania ustawowe, IPN odnalazł w zasobie archiwalnym dokumenty dotyczące Jerzego Gorzelika spełniające wymogi art. 15a ust. 1 pkt 1 i 2 ustawy o orderach i odznaczeniach. W związku z powyższym zwrócił się z prośbą do Gorzelika o wyrażenie zgody na przedstawienie przez prezesa IPN prezydentowi RP jego kandydatury do odznaczenia Krzyżem Wolności i Solidarności. Po uzyskaniu zgody oraz dopełnieniu niezbędnych formalności uzasadniony wniosek o nadanie odznaczenia został przekazany do Kancelarii Prezydenta RP. W Kancelarii Prezydenta też nie zgłaszano żadnych obiekcji. Zatem IPN, „realizując ustawowe obowiązki", postanowił odznaczyć Gorzelika Krzyżem Wolności i Solidarności.

Różne jest rozumienie obu stron, nomen omen, medalu. O ile IPN pragnął podziękować Gorzelikowi za jego wkład w walkę z komunizmem w szeregach Młodzieżowego Ruchu Oporu, o tyle on sam interpretuje to jako swoisty początek politycznego boju o przywrócenie Śląskowi autonomii. Trudno mieć w tym wypadku pretensje do odznaczonego, jednak, mimo że prawo w tym wypadku nie zostało w żaden sposób naruszone, można się dziwić instytucji państwa polskiego, którą jest IPN, jak również ówczesnemu prezydentowi, że podejmują tego typu działania. Przewodnicząc autonomistom, Gorzelik wielokrotnie dał wyraz temu, co zawarł w słowach: „Nie czuję się zobowiązany do lojalności wobec tego [polskiego] państwa". To zresztą jedna z najłagodniejszych deklaracji, których użył w stosunku do Polski i Polaków. Państwo polskie określał często w sposób niewybredny czy wręcz wulgarny.

Dlaczego więc nie można było obejść się bez przyznawania KWiS komuś takiemu? Wiele osób pominięto w podobnej procedurze lub też złożony wniosek rozpatrzono negatywnie, odmawiając bez podania przyczyny przyznania KWiS. Jeden z przykładów odmowy został podany do publicznej wiadomości przez rzecznika praw obywatelskich, po złożeniu do niego skargi przez osobę zainteresowaną. Zdziwienie musi budzić to, że z wnioskiem o odznaczenie Gorzelika wystąpił obecny prezydent RP Karol Nawrocki, a wówczas prezes IPN. Jedna z regionalnych gazet na Śląsku skomentowała to w ten sposób: „Przewodniczący RAŚ został odznaczony z nadania dwóch prezydentów z Prawa i Sprawiedliwości". Być może będący wówczas prezesem IPN Karol Nawrocki przebywał właśnie na urlopie, poświęcając się wyborczej kampanii, nie mając pojęcia, że niebawem zostanie odznaczony człowiek, dla którego Polska jest jedynie „małpą", która „zepsuła zegarek".

KIEDY ANTYKOMUNIZM NIE OBOWIĄZUJE

Niedopatrzenie prezydenckie jest wersją pozytywną, możliwe jednak, że prezydent Karol Nawrocki uważa, jak jego byli podwładni składający wniosek, że odznaczenie wspomnianej osobie się należy, a przeszłość trzeba oddzielić od teraźniejszości. Nie jest ważne, co współcześnie dana osoba czyni wobec państwa, które go nagradza, ale kim była w przeszłości, spełniając jednocześnie wyznaczone kryteria prawne. Biada nam, jeśli tak jest naprawdę. Ciekawe również, jaki wobec tego będzie dalszy stosunek prezydenta Nawrockiego do spraw Śląska.

Środowisko byłych opozycjonistów w rozmowach ze mną na wiadomość o przyznaniu Gorzelikowi KWiS reaguje skrajnie różnie, od poparcia, bo „przecież należy się za walkę z komuną", do reakcji wściekłości i niedowierzania. Jeśli naprawdę IPN tak pieczołowicie pragnie odnotować i upamiętnić wszelkie ślady antykomunizmu, nie bacząc na okoliczności, to może równie odważnie zajmie się zdekomunizowaniem przestrzeni publicznej na Śląsku od powojennego aparatczyka wojewody Jerzego Ziętka. Jako ciekawostkę można odnotować, że postać Ziętka nie przeszkadza środowisku śląskich autonomistów, więc w tym przypadku trudno będzie liczyć na to, by IPN spełnił „swój ustawowy obowiązek". Antykomunizm w tym wypadku, jak widać, nie obowiązuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej
POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl 0f0a3f5071



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Przede wszystkim rodzina



FOT. ADOBE STOCK

Choć liczba zawieranych małżeństw spada i rośnie wiek nowożeńców, to wśród przedstawicieli pokolenia Z widać zmianę podejścia – albo życie solo, albo dość szybki ślub. Brak pewności nie jest pożądany

„Proszę określić, jak ważne są w Pana/Pani życiu poniższe wartości" – takie zadanie postawił respondentom CBOS w badaniu pt. „Deklarowane wartości i cele życiowe młodych Polaków". „Wśród najczęściej deklarowanych przez przedstawicieli generacji Y (30–44) i Z (18–29) wartości znalazły się: rodzina, zachowanie dobrego zdrowia, uczciwość, spokój, bezpieczeństwo finansowe, wolność i niezależność oraz zachowanie prywatności. Są one istotne prawie dla każdego, a ponad połowa umieszcza je wśród wartości dla siebie najważniejszych" – analizuje Centrum Badania Opinii Społecznej. Rodzina jest bardzo ważna lub ważna aż dla 92 proc. badanych.

CBOS sprawdził też, na co młodzi ludzie zwracają uwagę, wchodząc w nowy związek. Wyraźnie dominują kwestie kojarzone raczej z konserwatywnymi postawami życiowymi, stanowiące dla wielu bazę do budowania długich relacji. To „dobry charakter partnera (partnerki)" (39 proc.), „poczucie bezpieczeństwa" (37 proc.) oraz „wspólne wartości i poglądy" (34 proc.). Ciekawy wgląd w tryb poznawania się ludzi daje pytanie dotyczące tego, gdzie badany spotkał swojego partnera/partnerkę. Na podium znowu nie ma odpowiedzi oddających „ducha czasu", ale tradycyjny sposób zawiązywania znajomości. Osoby będące w związku najczęściej – w 24 proc. – poznawały swoich partnerów na prywatnych imprezach lub spotkaniach z przyjaciółmi. Drugą najczęstszą odpowiedzią – 17 proc. – było „w szkole lub na studiach", a kolejną – 15 proc. badanych – „w miejscu pracy".

ZA MŁODZI, ZA STARZY

Na jednym z forów dla kobiet padło pytanie o wiek, w którym użytkowniczka wzięła ślub. „W wieku 23 lat wzięłam ślub, znaliśmy się ok. siedmiu lat, a ślub wzięliśmy, ponieważ chcieliśmy ;). Po drugie mieszkaliśmy ze sobą dwa lata przed ślubem, więc to tylko formalność" – pisze jedna. Inna wskazuje: „Oboje mieliśmy po 24 lata, byliśmy ze sobą cztery lata. Ślub wzięliśmy, żeby ułatwić sobie formalności przed wyprowadzeniem się na stałe za granicę, no i z miłości of course". „22 lata ;). Znaliśmy się dwa lata, ale już wiedzieliśmy, że tego chcemy. Jesteśmy szczęśliwym małżeństwem już pięć lat i mamy dwójkę dzieci ;)" – komentuje kolejna.

Na praktyczny powód wskazuje inna z komentujących: „27 lat miałam. Właściwie nie chciałam brać tego ślubu (wiedziałam, że to TEN, ale nie czułam potrzeby), ale chcieliśmy zamieszkać już razem, no i u rodziców, by zamieszkać, był taki warunek, że musimy być po

eprasa.pl 0f0a3f5071

ślubie ;]. I to był główny impuls. Razem byliśmy sześć lat".

Dominują jednak przesłanki „romantyczne": „Ja miałam 24, a mąż 30. Przed ślubem mieszkaliśmy ze sobą jakieś trzy lata. Ślub wzięliśmy, bo stwierdziliśmy, że chcemy być już do końca razem".

Portal noizz.pl przepytał kilka par, które postanowiły wziąć ślub w młodym wieku. Julia i Nikodem mieli zaledwie po 19 lat – ona była na pierwszym roku studiów, a on w ostatniej klasie technikum. – Mam poczucie, że ludzie szukają stabilności, bo dbają o swój dobrostan, w niespokojnym świecie potrzebują stałości. Świat nie nastawia nas pozytywnie, ale małżeństwo to celebracja życia, o to chodzi, żeby spełniać się osobiście – zauważa Nikodem. Jego żona potwierdza i dodaje, że nie żałuje decyzji, bo ma dość „upupiania". – Jesteśmy wiecznie na wszystko za młodzi, a potem przekraczamy trzydziestkę i zaczynamy być za starzy. Ślub to wzięcie odpowiedzialności za własne szczęście – zaznacza. Dziś mają po 22 lata i podkreślają, że są szczęśliwi.

Według badań przeprowadzonych na Uniwersytecie w Utah najlepszym wiekiem na ślub jest okres między 28. a 32. rokiem życia. Wskazano, że wśród małżeństw zawartych przez partnerów w tym wieku znacznie zmniejsza się ryzyko rozwodu w ciągu pierwszych pięciu lat po ślubie

Druga para, Natalia i Wojtek, mieszkają w Gorzowie Wielkopolskim i oboje skończą w tym roku 25 lat. To historia bardzo romantyczna. Zaręczyli się jeszcze przed maturą, a Wojtek jedne z pierwszych zarobionych przez siebie pieniędzy przeznaczył na pierścionek. Natalia żartuje, że jej rodzina była pewna, iż tak szybki krok w dorosłość zapewne spowodowany jest ciążą. Już jako nastolatkowie czuli, że ślub to naturalny krok, bo chcą być razem. Co ważne, oboje mogli przypatrywać się stabilnym małżeństwom swoich rodziców, a to utwierdziło młodych w przekonaniu, że budowanie rodziny ma sens. – Moi rodzice są dla mnie wzorem dobrego małżeństwa, zawsze byli zgodni, wspólnie podejmowali decyzje – mówi Natalia. Małżonkowie oceniają, że młodzi chcą mieć w życiu cel, a zaręczyny taki ważny cel wyznaczają. Dodają też aspekt pragmatyczny – po ślubie łatwiej było starać się o kredyt. Natalia wskazuje też, że dzięki formalizacji związku dostała dostęp do informacji medycznej męża, a to istotne, ponieważ jest on policjantem.

PEWNI SWEJ DECYZJI

Małżeństwo w młodym wieku to zjawisko dość popularne w środowiskach związanych z Kościołem. Młodzieżowe oazy i stowarzyszenia prowadzą szczególną formację w kierunku przygotowania do podjęcia takiej decyzji i przekonywania, że jest to jedna z dróg do zbawienia. Z wypowiedzi osób, które zdecydowały się na ślub przed 30. rokiem życia, utożsamiających się z wartościami chrześcijańskimi, przebija duża świadomość odpowiedzialności, jaka wiąże się z zawarciem takiego związku. – Małżeństwo jako rola społeczna, jako dwoje ludzie odgrywających określoną rolę w społeczeństwie, to jest decyzja [...]. Każdy młody człowiek na przestrzeni życia najpierw musi w sobie podjąć decyzję, że chce być żoną czy mężem. Małżeństwo nie może być efektem myśli, że się zakochałem i zróbmy sobie fajną imprezę, fajny ślub – mówiła w „Studiu Raban" TVP Anna. Jej mąż, Kacper, potwierdził, że decydując się najpierw na zaręczyny, a następnie na ślub, wiedział, iż to najważniejszy krok w życiu. – Decyduję się, że kocham Anię teraz i za 10 lat też będę kochał. Decyzję podejmuję codziennie. Kiedyś żyłem w wolnym związku. Czułem brak. Nie byłem do końca szczęśliwy. Miałem przemyślenie, że żeby być naprawdę szczęśliwym, muszę całkowicie otworzyć się na drugą osobę. Konsekwencją było małżeństwo [...]. Najważniejsza jest pełna świadomość konsekwencji – wskazuje.

W jednym z odcinków programu „Rodzina jest super", realizowanego w okresie rządów PiS ze środków resortu rodziny, wystąpili Ola i Piotr. W czasie kręcenia programu oboje byli przed trzydziestką, a już posiadali dużą rodzinę – troje dzieci. – Faktycznie, na co dzień spotykamy się z takim zdziwieniem ludzi, czy to na pewno są wasze dzieci. Czy jesteście rodzeństwem czy małżeństwem? – śmiała się Aleksandra. Ślub wzięli w wieku 21 i 22 lat. – Większość była takich głosów, żebyśmy się zastanowili, że mamy dużo czasu. Studia nieskończone, pracy na stałe nie ma, mieszkania nie ma. Patrząc czysto po ludzku, nie mieliśmy nic – wspominał Piotr. – Ale mieliśmy taką ufność, że tak dobrze się dogadujemy i oboje wiemy tak bardzo, czego chcemy, że damy radę. Mieliśmy cel. Nikt za nas życia nie przeżyje. To nasz cel, nasze decyzje, więc jeśli mamy być szczęśliwi, nawet jeśli mamy zmierzyć się z trudnościami, to damy radę – opowiada Ola. – Mieliśmy siebie. Chcieliśmy funkcjonować wspólnie, mieć dzieci. Nie ma na co czekać, bo i tak wiemy, że prędzej czy później się pobierzemy, a tytuł magistra nie sprawi, że będziemy lepszymi żoną czy mężem – dodała.

Piotr zaznaczył, że chęć pobrania się nie oznaczała rezygnacji z marzeń typowych dla młodych ludzi. – Żeby mieć fajne mieszkanie, razem gdzieś pojechać czy mieć dobrą pracę. Ale odwróciliśmy te wartości i najpierw rodzina, a później na pewno będzie czas, żeby wyjechać. Że to wszystko przyjdzie z czasem – zauważa. Dziś Piotr jest wziętym fizjoterapeutą, a Aleksandra zajmuje się domem i dziećmi.

NAJLEPSZY WIEK

Według badań przeprowadzonych na Uniwersytecie w Utah najlepszym wiekiem na ślub jest okres między 28. a 32. rokiem życia. Wskazano, że wśród małżeństw zawartych przez partnerów w tym wieku znacznie zmniejsza się ryzyko rozwodu w ciągu pierwszych pięciu lat po ślubie. Badacze podają, że w tym wieku większość osób ma już sprecyzowane życiowe cele i pragnie stabilizacji. Socjolog Nicholas Wolfinger podkreśla, że nie bez znaczenia pozostaje kwestia stabilizacji finansowej. W przypadku małżeństw osób młodszych istnieje – według badania – ryzyko pojawienia się żalu ze strony partnerów, którzy mogą mieć poczucie, że zaprzepaścili młodość lub podjęli pochopną decyzję.

Z kolei osoby starsze mogą mieć problem ze zmianą nawyków oraz dostosowaniem się do potrzeb małżonka, ponieważ przez lata przyzwyczaiły się do życia solo i priorytetyzowania własnych pragnień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071



Loggia pałacu Palazzo Te
FOT. DANIELE PONTIROLI

Kochankowie w labiryncie

Wiesław Chełminiak

Turyści, gnani owczym pędem, tłoczą się w Pompejach, rzymskim Koloseum i na weneckim placu św. Marka. Tymczasem jubileusz 500-lecia obchodzi jedna z najciekawszych włoskich rezydencji – Palazzo Te

Mantua, otoczona ze wszystkich stron jeziorami, świetnie nadawała się na twierdzę. Szczęśliwie zanim do jej bram zapukał bóg wojny Mars, zdążyła zasłynąć jako siedziba muz. Gonzagowie, rządzący miastem przez cztery wieki, otaczali się humanistami, gromadzili starożytne artefakty, patronowali malarzom i poetom. Przez 14 lat mieszkał tu i pracował Andrea Mantegna, młody Rubens właśnie w Mantui zaczął wielką, międzynarodową karierę. Atutem w rywalizacji o miano jednej ze stolic renesansu był fakt, że w okolicy urodził się Wergiliusz. Gonzagowie zbudowali mu pomnik. Zwieńczeniem bibliofilskiej pasji markizów stało się założenie w mieście drukarni. Do myślenia daje jednak to, że pierwszą opublikowaną książką był „Dekameron" Boccaccia.

TALENT ZA KONIA

Jesienią 1524 r. przybył do Mantui Giulio di Piero Pippi de' Iannuzzi, lepiej znany jako Romano. Był pupilem Rafaela, brylował w jego zespole dekorującym Pałac Watykański. Podobały się też neopogańskie w formie i frywolne w treści freski, wykonane na zlecenie bankiera papieży Chigiego w Villa Farnesina. W pracowni mistrza Giulio liznął też nieco wiedzy o architekturze. Po nieoczekiwanej śmierci Rafaela to jemu powierzono dokończenie dzieł, które tamten rozpoczął.

Romano nie bardzo miał ochotę przenieść się do Lombardii. Przekonał go Baldassare Castiglione, arbiter elegantiae i dyplomata w służbie Gonzagów, autor bestsellerowego „Dworzanina". Federico II obiecał artyście królewskie honorarium, dom oraz konia, jeśli tylko zostanie w Mantui. Dwudziestoczteroletni władca i o rok starszy Romano polubili się od razu. Chcieli bowiem tego samego: sławy. Pierwszym zleceniem było upiększenie willi w Marmirolo, dziś już nieistniejącej. Następnym – rozbudowa letniego domku, znajdującego się tuż poza murami miasta, na podmokłej równinie w miejscu zwanym Teieto (w skrócie Te), gdzie pasły się rumaki Gonzagów.

Ojciec markiza był kondotierem i kobieciarzem, pozbawionym intelektualnych ambicji. Matkę, Isabellę z rodu d'Este, nazywano pierwszą damą renesansu. Gościła Ariosta i Leonarda, pragnęła zostać patronką wszystkich cenionych artystów.

eprasa.pl 0f0a3f5071



Z okazji jubileuszu ściągnięto dzieła z najsłynniejszych muzeów. Po lewej: obraz Antonia Allegriego, znanego jako Correggio

FOT. DANIELE PONTIROLI

Współcześni wysławiali ją pod niebiosa, dzisiejszym historykom jawi się osóbką próżną i powierzchowną, mającą blade pojęcie o sztuce. Federico, rozpieszczony przez matkę, zdemoralizowany przez damy z jej dworu, okazał się miernym politykiem. Za jego panowania miniaturowe państwo Gonzagów było satelitą imperium Karola V Habsburga. Chociaż markiz chlubił się tytułem naczelnego wodza wojsk papieskich, gdy doszło co do czego, odmówił walki z armią cesarza. Można go więc uznać za współwinnego Sacco di Roma – splądrowania Rzymu. Bierność poniekąd wynikała z charakteru: Federico był typem kochanka, nie wojownika. Uwolnił się od wpływu matki tylko po to, by trafić pod pantofel jej imienniczki.

„La bella Boschetti" wywodziła się z mantuańskiej elity. Córka wyróżniającego się oficera i Polisseny Castiglione, siostry słynnego humanisty, oczarowała markiza urodą oraz rozumem. Pozbył się jej męża, oskarżając nieboraka o udział w planowanym zamachu stanu. Hrabia Calvisano uciekł do Modeny, gdzie wkrótce padł ofiarą skrytobójców. Cesarz próbował wyswatać władcę Mantui ze swoją podstarzałą krewną. Gonzaga niby się zgodził, ale naciskany przez matkę uderzył w konkury do Margherity, dziedziczki Monferratu. Papież pobłogosławił temu związkowi. Przed ślubem Federico zabezpieczył finansowo faworytę i ich potomstwo. Małżonka zamieszkała w pałacyku nad brzegiem jeziora, który zaprojektował i ozdobił niezastąpiony Romano. Rodziła dzieci, zapewniające ciągłość dynastii, lecz sercem władcy wciąż władała piękna Isabella.

CESARZ BYŁ ZADOWOLONY

Tadż Mahal, figurujący na wszystkich listach „budowli, które trzeba zobaczyć przed śmiercią", nazywany jest świątynią miłości. To określenie jeszcze lepiej pasuje do Palazzo Te. Honory gospodyni pełniła tu „la bella Boschetti". Inwestycję, rozpoczętą pod koniec 1525 r., ukończono dopiero po 10 latach. Utrudnieniami były bagnisty teren oraz nadmiar obowiązków architekta. Tak jak Rafael w Rzymie Romano pełnił w Mantui funkcję ministra budownictwa oraz infrastruktury. Nadzorował miejskie drogi, rzemieślników i artystów zatrudnionych na dworze. Bez jego wiedzy i zgody nie mógł powstać żaden gmach. Nowa Mantua odzwierciedlała ambicje dynastii, podobnie jak rozbuchane święta i festyny.

Wiosną 1530 r. Romano dostał ekstra zlecenie. Miał zorganizować fetę na cześć Karola V, który zjechał do Italii, by pojednać się z papieżem. Uroczystości odbyły się w komnatach i na dziedzińcach Palazzo Te i przyniosły pożądany efekt. Habsburg nadał markizowi tytuł księcia. Giulio mógł czuć się współojcem sukcesu. Jak odnotował nadworny dziejopis, w Komnacie Amora i Psyche cesarz spędził całe pół godziny, podziwiając kunszt ekipy rzymskiego artysty. Potem zjadł tu kolację. Stugębna plotka głosiła, że bogini ze ściennych malowideł ma twarz (a może i ciało) hrabiny Boschetti.

Paradoksalnie, z zewnątrz rezydencja nie sprawia dobrego wrażenia. Monotonna fasada ma się nijak do wnętrz, utrzymanych w wielce fantazyjnym stylu. Ściany oprócz fresków zdobiły arrasy i sztukaterie. O właścicielu przypominały cztery czarne orły z godła Gonzagów tudzież osobiste symbole świeżo upieczonego księcia – salamandra i góra Olimp. Motywem przewodnim były (i są nadal) „Metamorfozy" Owidiusza. Ten epicki utwór, powstały tuż przed wygnaniem autora z Rzymu, portretuje człowieka jako istotę zawieszoną między ulotnością chwili a nieśmiertelną kulturą, sztuką i religią. Antyczna kosmogonia zakładała, że od początku istnienia świata trwa balans między siłami porządku i destrukcji. Z 250 mitów, opowiedzianych przez poetę, Federico i Giulio wybrali te, które najbardziej trafiały im do wyobraźni.

Reformacja i sobór trydencki na jakiś czas zastopowały modę na neopogaństwo. Hedonizm, ukrywający się pod starożytną maską, miał jednak zbyt wielu wyznawców na europejskich dworach, by zniknąć. Zmieniły się jednak kanony piękna i dzieło życia Romano przestało budzić zachwyt. Erudyta Paweł Muratow, zwiedziwszy w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej Mantuę, napisał: „Cały malarski i rzeźbiarski wystrój Palazzo Te ma w sobie coś wyjątkowo sztucznego, jak gdyby był tylko na pokaz. Budowniczy i malarz użył całego swego kunsztu i fantazji, aby wywrzeć na widzu jak największe wrażenie, toteż tyle poświęcił uwagi drobnym, choć misternym szczegółom, że nawet nie pomyślał o całości". Rosjanin ubolewał, że Romano, służąc Gonzagom, zmarnował swój wielki talent.

Osąd i tak łagodny, gdyż pokolenie „zdrajców ideałów renesansu", którzy miast podążać szlakiem wytyczonym przez geniuszy, odważyli się szukać własnej drogi, XIX-wieczna krytyka odsądzała od czci i wiary. Sztuka cinquecenta była zwierciadłem niespokojnych czasów i upadku autorytetów. Nadmiar barw, ruchu i śmiałych skrótów perspektywicznych potomni uznali za objaw złego gustu. Wykształcona publiczność z niesmakiem oglądała plafon w Komnacie Słońca i Księżyca, gdzie artysta namalował rydwan Apolla w taki sposób, że zadzierając głowę, można podziwiać jedynie końskie zady i kopyta tudzież nagie pośladki woźnicy.

Łatwo wyobrazić sobie miny ludzi, którzy przyszli oglądać wielką sztukę, tymczasem na ścianach ujrzeli sceny gorszących bachanalii, podobizny ulubionych rumaków Gonzagi oraz chaotyczny kataklizm w Komnacie Gigantów. Fresk, dedykowany cesarzowi, utożsamionemu z Jowiszem, zaprowadzającym „pokój poprzez siłę" w stuleciach XVI i XVII, uchodził za majstersztyk. Kojarzył się z późniejszym o kilka lat „Sądem ostatecznym" Michała Anioła. Na olbrzymów walą się kolumny i sterty kamieni, z iluzjonistycznej pseudokopuły dzieło zniszczenia kontemplują olimpijscy bogowie. Bawiący w Mantui Dickens wyszydził malowidło,

eprasa.pl 0f0a3f5071

określając je mianem „apoplektycznego spektaklu".

Jeszcze niedawno najsłynniejsza sala Palazzo Te była upstrzona autografami turystów. Usunięto je podczas gruntownej renowacji, razem z „poprawkami" niegdysiejszych konserwatorów. Manieryzm doczekał się rehabilitacji. Ba! Historycy odkryli jego podobieństwo do sztuki nowoczesnej.

ZMIERZCH PÓŁBOGÓW

Książę Federico żył 40 lat. Zmarł na syfilis, niespełna rok po zgonie matki, z której cienia nigdy do końca nie wyszedł. Romano znalazł wspólny język z regentem, kard. Ercole Gonzagą, największym w Italii bibliofilem i znawcą literatury antycznej. Ten, zorientowawszy się, jak bardzo minister artysta zmienił oblicze miasta, miał powiedzieć, że Romano może czuć się właścicielem Mantui bardziej niż on sam. W 1546 r. były uczeń Rafaela postanowił wrócić do Rzymu. Obiecano mu stanowisko głównego architekta budowy bazyliki św. Piotra. Śmierć była jednak szybsza.

Twórca Palazzo Te został pochowany w kościele San Barnaba. Grób zniszczono w XVIII w., podczas przebudowy świątyni. Przetrwała natomiast willa, którą ulubieniec Gonzagów zbudował dla siebie w centrum miasta. Niestety, fantazyjną fasadę, ozdobioną kolorowymi stiukami, unowocześnił jeden z późniejszych właścicieli. Casa Romano jest dowodem na to, jak w czasie odrodzenia podniósł się status społeczny artysty.

Gdy Federico skonał, Isabella Boschetti wyszła za mąż za hrabiego Filippa Tornielliego, kondotiera w cesarskiej służbie. Jego też przeżyła. Alessandro, syn faworyty i księcia, dał się poznać jako żołnierz i dyplomata. Dobrze żył z przyrodnim rodzeństwem. Córka Emilia też nie miała problemu ze znalezieniem dobrze urodzonego męża. Boschetti doczekała się wnuków, którzy zrobili karierę w armii i Kościele. Jeden z nich został kardynałem. W 1560 r., gdy kostucha otworzyła drzwi do mieszkania byłej faworyty, Mantua wciąż była ważnym punktem na kulturalnej mapie Włoch. Kolejne pokolenie Gonzagów prokurowało nowe skandale.

Na książęcym dworze spędził swoje młode lata Monteverdi, nazywany ojcem opery. Wnuk Federica, książę Vincenzo, dobudował do Sekretnego Ogrodu sztuczną grotę. Natchnienia dostarczał już nie Owidiusz, lecz „Orlando szalony" Tassa. Nad lombardzkim państewkiem zbierały się jednak ciemne chmury. Aneksja Monferratu wplątała Gonzagów w konflikty z Sabaudią, a potem w wojny francusko-habsburskie. W 1630 r. cesarscy żołdacy splądrowali Mantuę tak dokładnie, że gospodarze po powrocie do Palazzo Ducale (w którym znajduje się ponoć pół tysiąca pomieszczeń) zastali tylko gołe ściany.



Obraz Jacopa Zucchiego „Kupidyn i psyche" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dynastia Gonzagów wygasła na początku XVIII wieku. Palazzo Te został zdegradowany do roli koszar. Ogrody wykarczowano, zniknął bukszpanowy labirynt, w którym zapewne błądziły duchy dawnych kochanków. Przetrwał jedynie monument upamiętniający pieska księcia Federica. W 1797 r. Mantuę zajęły wojska Napoleona. Po długim oblężeniu Austriacy odzyskali twierdzę, wcielając w szeregi wziętych do niewoli polskich legionistów. Ten dramatyczny epizod wykorzystał Żeromski w „Popiołach".

PIĄTY ŻYWIOŁ

Zdewastowane i zmilitaryzowane miasto rzadko odwiedzali turyści. Odstraszały ich osławione „mantuańskie błota" i malaryczny mikroklimat. Renowacja siedzib książęcych przerastała możliwości zjednoczonego państwa włoskiego. Właścicielem Palazzo Te zostało miasto, co powstrzymało proces degradacji, ale wnętrza zaczęły odzyskiwać dawny blask dopiero pod koniec XX w. Jubileusz dostarczył pretekstu do zorganizowania wystawy „Od chaosu do kosmosu", która miała przekonać ostatnich wątpiących, że miłosne gniazdko Gonzagi jest „dziełem sztuki totalnej" (można ją było oglądać do 29 czerwca).

Eksponaty, ściągnięte z okazji jubileuszu z najsłynniejszych europejskich muzeów dialogują z odrestaurowanymi freskami. Pierwsze pomieszczenie za kasą biletową nieco na wyrost nazwano Salą Tycjana. Mistrz z Wenecji z reguły nie portretował kolegów po fachu, ale dla Giulia Romano zrobił wyjątek. Obraz tułał się po świecie, był m.in. własnością dyktatora Filipin, Marcosa. W 1996 r. włoski rząd kupił go specjalnie dla Palazzo Te. Obok wisi wierna reprodukcja wizerunku Federica głaszczącego psa. Oryginał znajduje się w Prado.

W Komnacie Słońca i Księżyca umieszczono egzemplarz dzieła „Tutti li libri de Ovidio Metamorphoseos", wypożyczony z rzymskiej Biblioteki Narodowej. W XVI w. ten egzemplarz znajdował się w bibliotece Gonzagów. Romano korzystał z niego, przygotowując cykl fresków w Mantui. Z Luwru i wiedeńskiej Albertiny sprowadzono rysunki, które stworzył na te same tematy. W Komnacie Koni, największej w pałacu, można podziwiać hiszpańskie kopie płócien z cyklu „Miłostki Jowisza", który Gonzaga zamówił u Correggia z okazji wizyty cesarza. W tej samej sali wystawiono „Minerwę i Arachne" pędzla Tintoretta (na co dzień we florenckiej Galerii Uffizi). Utalentowana tkaczka rzuciła wyzwanie bogom i za karę została zamieniona w pająka.

W Komnacie Amora i Psyche płótno Jacopa Zucchiego z rzymskiej Galerii Borghese wytrzymuje porównanie z freskami Romano. Komnata Orłów, której sklepienie zdobi plafon „Upadek Faetona", wzbogaciła się o „Porwanie Prozerpiny" Rubensa, sprowadzone z paryskiego Petit Palais. Ekspozycję zamyka obraz Nicolasa Poussina „Triumf Owidiusza", zbyt idylliczny, zważywszy na poglądy poety. Autor „Metamorfoz" porównywał miłość do groźnego żywiołu. Francuski malarz na pierwszym planie umieścił parę amorków grających w piłkę kulą ziemską. Dla świty odpoczywającej Wenus świat ludzi – niewolników uczuć – jest igraszką.

Do jubileuszowych obchodów swoje pięć groszy dorzucą również artyści współcześni. Pod koniec roku Palazzo Te stanie się tłem dla immersyjnej instalacji. „Projekt, inspirowany koncepcją labiryntu Gonzagów, przekształci ogród w scenograficzną ścieżkę luster, iluzji i trompe-l'œil, angażując publiczność w zmysłowe i konceptualne doświadczenie, które podważa percepcję rzeczywistości" – obiecują Włosi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071

Tomaszek, ach, Tomaszek



Moment wręczania kwiatów w ekranizacji „Nocy i dni”
FOT. POLFILM/EAST NEWS



Krzysztof Masłoń

Na kluczową scenę ciągnącej się niczym telewizyjny „Klan” ramoty pod całkowicie zniechęcającym do lektury tytułem „Noce i dnie” natrafiamy już na samym początku tego tasiemca. Otóż młodej bohaterce powieścidła spodobały się kwitnące na zarośniętej rzece nenufary, do których nie było jednak dostępu. Barbara, bo tak dziewczęciu było na imię, wyraziła żal z tego powodu, a wtedy jeden z towarzyszących jej mężczyzn, niewiele myśląc, a już najmniej o swoim ubraniu, wszedł do wody, zanurzył się w niej po ramiona, pozrywał kwiaty i całe ich naręcze wręczył pannicy. Nie był to wcale, jak moglibyśmy się spodziewać, początek pięknej przyjaźni ani tym bardziej miłości. Barbara wyszła za mąż za Bogumiła i stała się Niechcicową, pan Toliboski też założył rodzinę i choć mieszkali niedaleko siebie, mogli jedynie wspominać z sentymentem tamten epizod, który wszakże okazać się miał tak istotny, że z zekranizowanych, a jakże, „Nocy i dni” widzowie zapamiętali jedynie moment wręczania kwiatów przez Karola Strasburgera Jadwidze Barańskiej. Ten pierwszy tak się wrył w zbiorową pamięć narodu, że w nagrodę zabawia nas do dziś w „Familiadzie”.

Barbara, jako się rzekło, wybrała Bogumiła czy też zdecydowała się za niego wyjść. W gruncie rzeczy dlatego, że ten zwrócił uwagę na nią, jako że zainteresowała go „panienka w staniczku w zygzak”. Gdybyż choć chodziła w samym biustonoszu, ale gdzież tam. Erotyki w tym liczącym sobie półtora tysiąca stron tasiemcu jest zresztą jak na lekarstwo, bo Barbarę na ogół bolała głowa i była zmęczona. Z czasem coraz rzadziej wspominała nenufary, jakże kontrastujące z burakami, którymi na co dzień zajmował się jej małżonek. Przyznawała wprawdzie, że mogła być pewna jego uczuć, ale też i tego, że ważniejsze od niej były dla niego te i inne rośliny okopowe. Przy tym nieznośnie mieszał w szklance herbatę, brzęcząc tak, że nie szło wytrzymać.

Generalnie miała pretensje do Bogumiła, że zmusza ją i dzieci do życia na wsi, a „przecież każdy choć trochę inteligentny człowiek ciągnie do miasta […]. To tylko wy, Niechcice, trzymacie się ziemi jak pijany płotu”. Przekonała się jednak, że nie ma sensu dyskutować z człowiekiem, który „bardzo lubił ćwikłę ze sztuką mięsa, a także śledzie marynowane z cienko do nich krajanym kwaszonym ogórkiem”. Paliła więc papierosy i się zżymała.

Z krewnymi, z którymi pomieszkiwali, lekko nie mieli. Mamusia Barbary głównie kichała po zażyciu tabaki, a wuj Bogumiła uciekał do lasu i wtedy go szukano, co było zajęciem uciążliwym. Żeby utrzymać go w domu, najlepiej było dać mu znać, że we wsi Moskal stoi, a wtedy chował się do szafy albo pod łóżko. Żołnierz wyklęty się znalazł, pseudonim powstańczy Alzheimer czy jakoś podobnie.

Z trojga dzieci Niechciców na pierwszy rzut oka najbardziej udana wydaje się starsza córka, Agnieszka, którą autorka „Nocy i dni” wyposażyła podobno we własne cechy, dzieląc się z nią życiorysem. W każdym razie przemądrzała jest nad wyraz, fascynuje się kooperatywami i – szerzej – ruchem socjalistycznym, dystansuje się od Kościoła, tocząc z księdzem dysputy teologiczne, sama znajduje sobie męża, no, udaje kobietę wyemancypowaną, o co jednak łatwiej było w Szwajcarii niż w ojczyźnie, gdzie na okrągło jedni śpiewają „Boże, coś Polskę”, a drudzy „Na barykady ludu roboczy”. Czyli nic nowego.

Agnieszce ciąży wychowanie, martwi ją rodzeństwo (mąż jej z rezygnacją stwierdza, że „połowa Polski… a może całego świata składa się z takich Emilek i Tomaszków”) i ma świadomość tego, co jej ojciec ujął celnie w zdaniu: „Ja się paryskimi perfumami nie perfumuję, tylko gnojem śmierdzę, bo się w gnoju grzebię”.

Odnośnie do Tomaszka, to chłopiec ten spostponowany został przez pisarkę. Barbara przyznawała wprawdzie, „że jest on lekkomyślny. Ale żadne z moich dzieci nie jest takie dobre, takie serdeczne jak on”. Pewne negatywne cechy charakteru odziedziczył zaś, jej zdaniem, po mamce. Sam zatem nie był niczemu winny, a że miał szeroki gest i pociąg do kielicha i hazardu, to, cóż, nie brakowało mu fantazji, przy czym zwróćmy uwagę, że ciążył ku ludowi i, jakże słusznie wytykał zadzierającej nosa matce, „oni mnie więcej lubią niż was wszystkich”. A już jeśli chodzi o jego wyglądającą na chorobliwą skłonność do kłamstwa, to od czasu sławnego wystąpienia posła Witka każde dziecko w Polsce wie, że „cóż szkodzi obiecać”, a ludzi, którzy słowa prawdy nie powiedzieli, nie brak i wśród prezesów, i premierów. Czego więc czepiać się Tomaszka, jedynej, jak się zdaje, postaci z „Nocy i dni” wywołującej wśród potencjalnych młodocianych czytelników żywsze reakcje?

W powieści nie brak oczywiście tematyki żydowskiej, bo i o kim Polacy zwykli pisać, jak nie o Żydach. Maria Dąbrowska, która popełniła „Noce i dnie”, swoje antysemickie poglądy ujawniła w „Dziennikach”, ale i w pozornie wolnej od nich historii Niechciców przemyciła absolutnie niestosowne uwagi i refleksje, jak ta, którą popisuje się Barbara: „[…] ilu ich było szpiegami, choćby w powstaniu. Ja nie mam nic przeciw Żydom, i nawet nie mówię, że to przez jakąś podłość. Ale tak – oni czują się obcy. Z żadnym społeczeństwem nie są obyczajami związani, to im to wszystko jedno. Dla nich to takie samo faktorstwo, jak każde inne”.

Tej samej Barbarze udaje się wprawdzie celnie spostrzec, że „niektóre rzeczy i w katechizmie, i w Starym Testamencie są wprost niestosowne dla dzieci. Pozostaje kuć to na pamięć – ale nie wiem, czy Bóg może wymagać, żeby dzieci się tego w taki sposób uczyły”, niemniej jednak dla tego jednego zdania trudno wymagać, by naszą nowoczesną młodzież w nowoczesnej szkole zarządzanej przez nowoczesną „ministrę” przymuszać do czytania tysiąca wierszy o sadzeniu grochu. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071



Do pewnego momentu „Zamach na papieża" to nasz swojski odpowiednik „Dnia szakala" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jak Franz strzelał do papieża



Piotr Gociek

Władysław Pasikowski nakręcił swój najlepszy film od wielu lat – i zarazem najbardziej idiotyczny

Franz nie nazywa się w tym filmie Franz, tylko Bruno, i nie jest esbekiem, tylko żołnierzem, i to takim z wojskowego wywiadu. Ale też gra go Bogusław Linda, a za kamerą znów stoi Władysław Pasikowski – to podobno ich ostatni wspólny film. Ciągnie się za filmem „Zamach na papieża" słynny cytat z „Psów" („To pewnie taka prawda jak to, że Franz miał strzelać do papieża"), inni przypominają początek „Psów 2", kiedy to w monologu o wyrywaniu chwastów i niejakim Ziębie Karolu pojawiają się słowa: „Jak to, Karolku, niczego się nie boisz? Bo ja w Boga wierzę. A w papieża? To on mówi, że jakby go na długość ręki dopuścili, to by zaj….. Ojca Świętego...".

SPECYFICZNY OGLĄD ŚWIATA

Ktoś powie: to wszystko dla grepsu, Pasikowski dałby się pokroić za dobry dialog, zresztą nikt w polskim kinie nie pisze ich tak jak on. Ale można się też zastanowić: A może Pasikowski ma jakiś problem z wiarą, Panem Bogiem i w związku z tym także ze zwierzchnikiem Kościoła katolickiego? Jedno nie wyklucza drugiego. Pozwolę sobie postawić tezę następującą: ma Pasikowski ogromny problem z pytaniami: „Dlaczego Bóg pozwala na zło?" oraz „Dlaczego złych ludzi jest tak wielu, a tak rzadko zostają ukarani?". Myślę, że właśnie to oraz specyficzny rodzaj męskiego, fatalistycznego kina, na którym się wychował, tworzą razem specyficzny ogląd świata Pasikowskiego.

Jest to świat, w którym dobra niemal nie ma (manifestuje się czasem jedynie w najprostszej biologicznej relacji: wszak ojciec naprawdę kocha syna w „Operacji Samum"), zło istnieje natomiast we wszelkich postaciach i odcieniach. Czy to egzystencjalizm, czy panświnizm, trzeba by osobny esej o tym napisać, dużo częściej formułuje się w przypadku Pasikowskiego pytanie, czy jest nihilistą czy moralistą. I znów: jedno nie wyklucza drugiego. Patrycja Babicka w eseju dla pisma „Pleograf" (1/2022) określa „Psy" mianem „społecznego moralitetu". A opisując antybohatera najgłośniejszego filmu Pasikowskiego, sięga po celną definicję Michała Januszewskiego, który pisał: „Antybohater nie jest po prostu pozbawionym wszelkich zasad łajdakiem czy nikczemnikiem. Jako człowiek świadomy i samoświadomy antybohater odkrywa iluzyjność czy fikcjonalność porządku społecznego, obnaża jego niestabilność, nietrwałość i zakłamanie. Jest nihilistą – owszem. Ale właśnie z tego powodu jest również – moralistą".

Myślę, że jesteśmy na dobrym tropie i czas w związku z tym przejść do „Zamachu na papieża". Bruno, emerytowany as snajperski o niewiarygodnie długiej i owocnej karierze, dowiaduje się, że ma

eprasa.pl 0f0a3f5071

raka. Aby dożyć swoich dni w spokoju, najmuje jedyną postać kobiecą, jaką Pasikowski potrafi napisać, czyli dziwkę o złotym sercu. Marysia (Karolina Gruszka) vel Bianka (pseudo zawodowe) porzuca więc chwilowo hotel Victoria i jedzie z Brunem w podkarpacką dzicz, gdzie w samotnej chacie Bruno ma pić, łowić ryby oraz nie czuć się samotny (dzięki Biance).

W tym samym czasie w Moskwie zapada decyzja: trzeba zabić papieża Polaka, ale tak, żeby nie dało się wytropić sprawcy ani mocodawców. Zadanie otrzymują Polacy, którzy wykorzystują palestyńskiego terrorystę Abu Dawuda, żeby poprzez Bułgarów nająć Turka, który zastrzeli Jana Pawła II. Chodzi jednak o to, żeby zaraz po tym, jak na placu św. Piotra padną strzały, ktoś z oddali załatwił zamachowca. Tym kimś ma być Bruno, który po pierwsze, jest jednym z pięciu najlepszych strzelców świata, a po drugie, umiera na raka, więc problem z dochowaniem tajemnicy rozwiąże się sam za parę tygodni. Na zachętę Bruno ma dostać mnóstwo pieniędzy i pozwolenie na wyjazd do RFN, gdzie mieszka jego córka.

Pasikowski, pisząc ten spiskowy thriller, zręcznie połączył fikcję z faktami, na ekranie pojawiają się postacie historyczne: Breżniew czy Andropow. Abu Dawud to też postać z realu: lider grupy Czarny Wrzesień, odpowiedzialnej za zamach na izraelskich sportowców podczas igrzysk w Monachium. Zresztą w sierpniu 1981 r. tenże Abu Dawud został postrzelony właśnie w Warszawie, w hotelu Victoria. Do pewnego momentu „Zamach na papieża" to nasz swojski odpowiednik „Dnia szakala", zresztą Pasikowski bezpośrednio nawiązuje do Forsytha, kiedy każe Brunowi ćwiczyć celność na arbuzie i własnoręcznie przygotowywać pociski.

TRZY HISTORIE W JEDNYM

Problemy zaczynają się, gdy odkrywamy, że „Zamach na papieża" to w istocie trzy historie w jednym. Najpierw opowieść o spisku na życie Jana Pawła II. Potem – o polskiej ludności ze wsi, która jest ciemna, antysemicka i okrutna: ten dzieci zabija, inny dzieci krzywdzi, a wszyscy wołają „goń Żyda", no i piją do upadłego. Trzeci wątek to opowieść o wstrętnych księżach pedofilach i równie wstrętnych biskupach, którzy pedofilów kryją. W tym gronie widzi Pasikowski także biskupa Rzymu. Znakomicie nakręcony film (jest tu tempo, są świetne zdjęcia, jest kapitalna muzyka Daniela Blooma) staje się wraz z upływem kolejnych minut coraz bardziej idiotyczny, bo mamy wierzyć i w to, że Franz, przepraszam, Boguś, przepraszam, Bruno, ma osobistą kosę z Janem Pawłem II, i w to, że osobiście zastrzelił Bieruta w Moskwie.

Jednocześnie widać, że to pożegnanie z duetem Linda-Pasikowski to autopastisz. Zestaw ulubionych motywów z poprzednich filmów. Albo może po prostu fan service? Jest więc scena przed komisją, jak w „Psach", ale teraz to Linda zasiada w komisji, i nie chodzi o weryfikację esbeków, tylko wydawanie kart wędkarskich. Stodoła płonie jak w „Pokłosiu", komora antypodsłuchowa wyjęta jest z „Operacji Samum", kobieta Franza, znaczy przepraszam, Bruna, szybko zaczyna „miauczeć" dla innego. Ale przecież od samego początku widać było, że ten nasz nadwiślański Tarantino podobnie jak ten oryginalny, z Ameryki, uszyty jest z cytatów, nawiązań, inspiracji innymi filmami. „Zamach na papieża" to 110 proc. Pasikowskiego w Pasikowskim, wszystko to pod hasłem „na pohybel czarnym i czerwonym".

Pora wrócić do zasad rządzących filmowym światem Pasikowskiego. Skoro nie ma w nim dobra, tylko samo zło, to jak właściwie mamy dokonywać gradacji moralnej? Odpowiedź wywiedziona jest z ukochanych przez Pasikowskiego filmów Jeana-Pierre'a Melville'a, z kina noir: jedyne, co się liczy, to męska przyjaźń i lojalność. Złamanie tego zaufania to zdrada najgorsza. Wszyscy przedstawiciele jakichkolwiek hierarchii – wojsko, policja, esbecja, partia, kościół, szkoła, gang (podsumowuję całe uniwersum Pasikowskiego) – to źródło krzywdy i opresji. W „Zamachu na papieża" najlepsze moim zdaniem jest to, że bez złudzeń pokazuje komunistyczne państwo i jego służby. No i to, że przypomina: prawdziwy mężczyzna musi działać, gdy krzywdzą niewinnych. Ale zaraz, kto jest u Pasikowskiego prawdziwym mężczyzną?

W tym świecie wszyscy są suki.synami, a pozytywnym bohaterem będzie jedynie ten, który okaże się suki.synem najmniejszym. Jak Franz albo Bruno. Mają swoje za skórą, ale w odpowiednim momencie kierują broń przeciw krzywdzicielom. „W imię zasad" – cytując Franza Maurera. Jakich zasad? Własnych, bo te inne, rodzinne, społeczne, instytucjonalne, kościelne ich nie obowiązują. Żyją wedle własnego kodeksu. Pozwolę sobie na zaskakujące porównanie: Amos, jeden z bohaterów serialu SF „The Expanse", objaśnia w pewnym momencie swoje widzenie świata. Są na nim jedynie trzy kategorie ludzi: ci, którzy są suki.synami, ci, za którymi podążasz, i ci, których trzeba chronić. Dopowiem: suki.synów trzeba oczywiście odstrzelić, „wyrwać chwasty", odwołując się do innego słynnego cytatu z Pasikowskiego.

NA DOBRE I NA ZŁE

No tak, tylko że serialowy Amos był socjopatą pozbawionym głębszych uczuć. A Pasikowski? Może po prostu jest 66-letnim nastolatkiem, a może za dużo się naczytał francuskich egzystencjalistów i literatury absurdu. W co wierzy Pasikowski? Oprócz męskiej przyjaźni? „Jeśli w nic się nie wierzy, jeśli nic nie ma sensu i jeśli nie możemy uznać żadnej wartości, wszystko jest możliwe i żadna rzecz nie ma znaczenia" – pisał Albert Camus w „Człowieku zbuntowanym".

Chętnie bym o tym wszystkim z reżyserem „Zamachu na papieża" porozmawiał, bo ciekawi mnie bardzo, z czego poskładał swoje widzenie świata, jednak Pasikowski znany jest z unikania wywiadów (czemu też się nie dziwię, bo zbyt często zadawano mu głupie pytania). Żałuję, bo zarówno on, jak i Bogusław Linda są w takim momencie swojego życia i kariery, że byłoby dobrze zgodzić się na długie i szczere „notacje mistrzów" (odwołuję się do cyklu nagrań dokonywanych przez Stowarzyszenie Filmowców Polskich dla celów archiwalnych). Zostaną więc do analizy filmy – na dobre i na złe, na pohybel czarnym i czerwonym, ku uciesze widzów, ale czasem i ku ich zażenowaniu. Ot, po prostu, kino Pasikowskiego.



REŻ. WŁADYSŁAW PASIKOWSKI „ZAMACH NA PAPIEŻA" POLSKA 2025

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071



FOT. THE LEGACY COLLECTION/PHOTOSHOT/PAP



PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Sundance Kid nie żyje

Spoglądałam na Roberta Redforda podczas lekcji i myślałam: będzie gwiazdą filmową. Było to w czwartej klasie" – wspominała Jill Robinson, wieloletnia przyjaciółka aktora. Utalentowany, charyzmatyczny, pracowity, przeszedł wszystkie szczeble kariery – od ogonów w telewizji do statusu ikony Hollywood. Wielka gwiazda, ale na ekranie nie był bohaterem, lecz antybohaterem. Nie dajmy się zwieść jego uśmiechowi i urodzie, rozkwit kariery Redforda to druga połowa lat 60. i lata 70. XX w., kiedy królowała kontrkultura, kwestionowano wszystko, każdy buntownik z definicji był dobry, a każda władza – z definicji zła. John Wayne wyparty został przez Dustina Hoffmana czy Ala Pacino. No i Redforda, rzecz jasna.

Choć zagrał w wielu filmach, to tak naprawdę jego wizerunek i renomę ukształtowały filmy nakręcone w ciągu 10 lat – od „Boso w parku" (1967) do „Wszystkich ludzi prezydenta" (1976). Pomiędzy tymi tytułami zabłysnął w filmach „Butch Cassidy i Sundance Kid", „Jeremiah Johnson", „Żądło", „Wielki Gatsby", „Trzy dni kondora". Potem też grywał często, ale wybijające się kreacje stworzył jeszcze tylko w „Więźniu Brubakerze" i „Pożegnaniu z Afryką". Pochłaniały go inne pasje: prowadzenie gigantycznego rancza, rozkręcanie festiwalu kina niezależnego Sundance, reżyseria. Już za reżyserski debiut z 1980 r., film „Zwykli ludzie", dostał Oscara. Późniejszy o cztery lata „Quiz Show" pozostaje jednym z najlepszych filmów dekady.

Choć był symbolem tzw. Nowego Hollywood, czyli rewolucji, która wyniosła do sławy takich twórców jak Coppola, Bogdanovich, Scorsese czy Pollack, to jednocześnie ocalił coś, co charakterystyczne było dla Hollywood poprzedniej ery: coś, co za oceanem nazywają „star power". W ostatnich dekadach grywał w filmach nieistotnych, z jednym wyjątkiem: stworzył wielką kreację w dramacie „Wszystko stracone" (2013). Pożegnał się z widzami w dobrym stylu uroczym filmem „Gentleman z rewolwerem" (2018). Staromodny lewicowy liberał hollywoodzki: politycznych przeciwników ostro krytykował, ale nie obrażał. Zamiast występować na politycznych konwencjach, wolał działać w cieniu, za to skutecznie. Na sprawy, w które wierzył, nie szczędził pieniędzy. Zmarł 16 września, niespełna miesiąc po 89. urodzinach. ©℗

GRA TYGODNIA: „HELL IS US"

Dobrze wykreowany, ponury świat ogarnięty konfliktem, w którym jednostka próbuje realizować najważniejsze dla niej zadanie (odnalezienie rodziców), a przy tym nie może uciec od konieczności opowiedzenia się po jednej ze stron. Prowadzenie śledztwa i odkrywanie tego świata może dawać satysfakcję, choć naiwność manifestu politycznego twórców, którym w istocie jest ten tytuł, rozczarowuje. Podobnie jak gameplay – jest drętwo, przeciwnicy nie popisują się nadmierną inteligencją, a walka jest kiepsko zbalansowana i nie sprawia przyjemności. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★☆☆☆

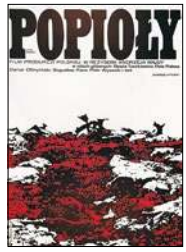
Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Rogue Factor; Nacon*

eprasa.pl 0f0a3f5071

Niech żyje cesarz!

CANAL+



★★★☆☆☆

REŻ. ANDRZEJ WAJDA
„POPIOŁY”
POLSKA 1965

wyst. Daniel Olbrychski, Bogusław Kierc, Piotr Wysocki

Ogary poszły w las… Wróć! Polacy poszli za Napoleonem, a ten ich haniebnie wykorzystał. Sześćdziesiąt lat po premierze obcowanie z ekranizacją „Popiołów” dostarcza tzw. wrażeń mieszanych. Mistrz Wajda batalistyki nie czuł, co jest poważnym felerem, gdy chce się opowiedzieć o wojnie. Film uratował Olbrychski. Jego bohater to szałaput, egoista i kobieciarz, ale bije od niego energia, którą można by oświetlić strategiczny przesmyk suwalski. Czy zatrudnienie gwiazd pokroju Cybulskiego zmieniłoby kulawy epos w arcydzieło? Myślę, że wątpię. Skomplikowana struktura oryginału, będącego po części historycznym esejem z aluzjami do realiów z początku wieku XX, przerosła adaptatorów. Dla Żeromskiego epoka szwoleżerów była ważnym etapem tworzenia się nowoczesnego narodu, dla Wajdy jedynie odskocznią do rozprawy z romantyzmem – zwłaszcza politycznym.

Każdy z trzech bohaterów ma chwile nadziei, zwątpienia i rozpaczy, lecz tylko jeden – magnat intelektualista – jest człowiekiem dojrzałym. „Popioły”, podobnie jak „Kos”, są dziełem tendencyjnym – prochłopskim i antysarmackim, zgodnym z linią partii. Dezawuowanie legendy Napoleona wypada uznać za powielenie propagandowej tezy, że Zachód zawsze nas oszukiwał i jeśli tylko będzie miał okazję, to zrobi to znowu.

Jak na tamte czasy była to superprodukcja, choć pieniędzy nie wystarczyło na taśmę kolorową, a kostiumy trzeba było pożyczać od Wielkiego Brata (Siergiej Bondarczuk właśnie nakręcił „Wojnę i pokój”).

Po premierze w prasie rozgorzała debata o „bohaterszczyźnie”, de facto będąca sporem między dwiema frakcjami PZPR. Reżyser podpadł „patriotom”, lecz włos mu z głowy nie spadł. W kinach film zgromadził trzymilionową publiczność, wysłano go na festiwal w Cannes.

Nie da się ukryć: Wajda napluł na mundur polskiego żołnierza, który z francuskiego rozkazu masakrował Murzynów na Santo Domingo i Hiszpanów w Saragossie. Bonapartystów znad Wisły spotkała zasłużona kara w mroźnym rosyjskim piekle, o czym Żeromski nie napisał. Tylko kogo to dziś obchodzi? Emocje wzbudza co najwyżej koń, z rozkazu Mistrza strącony w hiszpańsko-bułgarską przepaść. W najnowszych edycjach „Popiołów” tej sceny już nie ma. ©℗

Wiesław Chełminiak

ZŁE MIASTO

HBO max

Eloise, świeżo upieczona studentka, ma hyzia na punkcie mody i muzyki z epoki Beatlesów. Przybyła nad Tamizę z przekonaniem, że złapała Pana Boga za nogi, jednak takich jak ona są tu tysiące. Jeden fałszywy ruch i sen o sławie staje się koszmarem. Dziewczyna, spłoszona hedonistyczną aurą panującą w akademiku, wynajmuje pokój w domu nawiedzanym przez duchy swingującego Londynu. Pomysł, by akcja toczyła się na dwóch płaszczyznach czasowych, uszlachetnił fabułę, która nadzwyczaj oryginalna nie jest. Widać np., że scenarzystom bardzo podoba się „Wstręt” Polańskiego. Horror Wrighta negliżuje (pokutujący również w naszej popkulturze) mit bezgrzesznych lat 60. Przy okazji – to ostatni film, w którym wystąpili Diana Rigg i Terence Stamp, aktorzy, którzy właśnie w owej dekadzie złudzeń wypłynęli na szerokie wody. ©℗



★★★★☆☆

REŻ. EDGAR WRIGHT
„OSTATNIEJ NOCY W SOHO”
WIELKA BRYTANIA 2021

wyst. Thomasin McKenzie, Anya Taylor-Joy, Matt Smith



RADOSŁAW WOJTAS

GDZIE?
Warszawa, Świątynia Opatrzności Bożej (plener)
KIEDY?
do 31 października

DO ZOBACZENIA

Prymas i rotmistrz. Portret podwójny

Stefan Wyszyński i Witold Pilecki. Co ich łączy? Urodzili się w tym samym – 1901 – roku. Obaj służyli Polsce, pierwszy wybrał sutannę, drugi – mundur. Obaj byli prześladowani i więzieni, a rtmotmistrz zapłacił cenę najwyższą. Tym dwóm wielkim Polakom poświęcona jest wystawa plenerowa „Pilecki–Wyszyński. Portret podwójny” prezentowana przed Świątynią Opatrzności Bożej w Warszawie.



FOT. WWW.VATICANNEWS.VA

Jej pomysłodawcą jest Piotr Dmitrowicz, dyrektor Mt 5,14 | Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego. „Naszym bohaterom nigdy nie było dane się spotkać, ale gdyby tak się stało, to wyobrażam sobie, że rozmowa mogłaby pójść w kierunku tego, o czym swego czasu mówił Stefan Wyszyński: »O cóż idzie? Idzie o człowieka! O lepszego człowieka, o dobrego człowieka, o takiego człowieka, który byłby świadom odpowiedzialności za własne życie, za życie swojej rodziny i całego narodu«. Myślę, że nasi bohaterowie, rotmistrz i prymas, temu właśnie poświęcili całe swoje życie” – podkreśla Piotr Dmitrowicz. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Kolumbiada

Generacja ta nazwana została pokoleniem Kolumbów. Trafnie, choć zżymano się na to miano – najpierw dlatego, że przydawało ono wyjątkowości tym, których zaledwie parę lat wcześniej wyzywano od zaplutych karłów reakcji, później zaś nie chciano się pogodzić z faktem, że nazwa, która przylgnęła do AK-owskiej młodzieży, wzięła się z powieści Romana Bratnego „Kolumbowie. Rocznik 20". Powieść ta, mająca swoją premierę w 1957 r., cieszyła się wprawdzie obłędnym wręcz powodzeniem, z czasem jednak osoba autora zaczęła uwierać – krytykę literacką i nie tylko ją.

„Ja wybieram jako zasadnicze i nadrzędne – powiada prof. Maciej Urbanowski w wydanej właśnie książce o poezji Kolumbów – określenie pokolenie wojenne. Epitet »wojenne« uściśla, iż mowa o generacji, dla której II wojna była kluczowym przeżyciem pokoleniowym. Wojna to także zasadniczy problem intelektualny i egzystencjalny tej generacji, główny temat jej twórczości, ale to również czas, w którym powstają jej najważniejsze lub pierwsze dzieła".

W 1944 r. w konspiracyjnych „Sprawach Narodu" anonimowy autor stwierdził: „Pokolenie młodych wchodzi już w życie – bo jest wojna. Byłoby pokoleniem dzieci, gdyby wojny nie było". Jak to pisał Baczyński? „Do palców przymarzły struny / z cienkiego krzyku roślin. / Tak się dorasta do trumny, / jakeśmy w czasie dorośli".

Ta poezja przebyła długą i wyboistą drogę do czytelników, w dużej mierze była bowiem niepoprawna. Na przykład w „Wymarszu uderzenia" Andrzej Trzebiński pisał: „Słowiańska ziemia miękka poniesie nas na bój – / Imperium, gdy powstanie, to tylko z naszej krwi!". Bardzo nie spodobało się to takim tuzom komunistycznej humanistyki jak Stefan Żołkiewski, który doszukał się w tej piosence (bo była to żołnierska piosenka, nie wiersz) „akcentów faszystowskiego imperializmu", wypominając autorowi jego związki ze „skrajnie prawicowym", „faszystowskim" miesięcznikiem „Sztuka i Naród" oraz powiązanie personalne z dawną Falangą. Z kolei Tadeusz Gajcy w manifeście „Już nie potrzebujemy", rozprawiając się ze Skamandrem, nie tylko wypomniał, że zrodził się on w kabarecie, co miało przesądzić o jego losie, ale wywodził również, że „poezja dwudziestolecia była w ¾ twórczością psychicznie obcą tej ziemi i duszy człowieka z tej ziemi".

Dość było tego, by poeci „Sztuki i Narodu" zostali wyklęci. Stalinizm dawno już mieliśmy za sobą, a utwory takiego Andrzeja Trzebińskiego wciąż obłożone były anatemą. Jego tom poetycki „Aby podnieść różę" – o czym przypomina prof. Urbanowski – ukazał się dopiero w 1970 r., a jego proza („Kwiaty z drzew zakazanych") dwa lata później.

A przecież – czytamy w „Poezji pokolenia wojennego" prof. Urbanowskiego – „Pytania, jakie poeci pokolenia wojennego zadawali sobie i jakie zadają nam, były fundamentalne. Dotyczyły kwestii etycznych, egzystencjalnych, historiozoficznych, religijnych wreszcie. Pytano o zło i szukano dobra w nocnym świecie wojny. Zastanawiano się nad ciemną stroną człowieka i konsekwencjami, jakie powoduje zadawanie bólu i śmierci. Uczono się historii, starając się dojrzeć sens dziejów w spełniającej się na ich oczach apokalipsie. Szukano Boga w rzeczywistości zdającej się zaprzeczać Jego istnieniu".

Książka Macieja Urbanowskiego wzbogacona została o obszerny aneks z manifestami Trzebińskiego, Zdzisława Stroińskiego, Gajcego, Wacława Bojarskiego, Stolarka i Bratnego, a także z wyborem wierszy, nie tylko twórców tak oczywistych w tym miejscu jak Krzysztof Kamil Baczyński czy Tadeusz Borowski, lecz także – co niejednego zadziwi – Karola Wojtyły, jak również coraz bardziej popularnego Józefa Szczepańskiego, Józefy Radzymińskiej, Lesława M. Bartelskiego, a i znanego głównie z tekstów piosenek Kazimierza Winklera czy Stanisława Ziembickiego. Warto tu zauważyć, że poezja pokolenia wojennego nie jest wcale obszarem zamkniętym i rozpoznanym od początku do końca. Dość powiedzieć, że dopiero pięć lat temu wydane zostały wiersze Wojciecha Mencla zastrzelonego w Powstaniu Warszawskim przez niemieckiego snajpera. W listopadzie 1943 r. pisał: „Nikt mi dotychczas nie powiedział, że piosenka żołnierska / determinuje śmierć. / Ale mi również nikt ni dowiedzie, że śmierć jest tylko czy aż / obrachunkiem z sobą, podaniem ręki temu, który przyjdzie. / I nastrojowym misterium".

I zapewniał poeta:

Będę szukał. Nie kwiatu paproci, który kwitnie w dzień
Twych imienin, nie mnie, bo znajdę
Siebie zawsze w Tobie,
najczęściej gdy sama tego nie wiesz,
nie Ciebie, bo byłaś
i musisz być nie tylko kolumbiadą
moich snów. ©℗



★★★★★★

MACIEJ URBANOWSKI „POEZJA POKOLENIA WOJENNEGO. ESEJ MONOGRAFICZNY" WYDAWNICTWO INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ, WARSZAWA 2025

eprasa.pl 0f0a3f5071



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

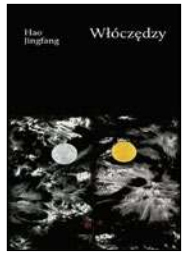
Między światami

Znamy tę autorkę ze świetnego opowiadania „Składany Pekin", teraz Hao Jingfang przedstawia się polskiemu czytelnikowi obszerną powieścią „Włóczędzy". Jest to fantastyka staromodna w najlepszym znaczeniu tego słowa, jak staromodne są powieści Wellsa, Lema czy Heinleina. I jest to także przede wszystkim literatura idei, przy której dekodowaniu przydadzą się traktaty politologiczne i podręczniki chińskiej filozofii.

Nie znaczy to, że jest to lektura trudna: po prostu autorka niespecjalnie zainteresowana jest konstruowaniem karkołomnych fabuł. Bohaterowie służą jej jako pomoc w komponowaniu dialogów na rozmaite tematy, a jest o czym dyskutować. W przyszłości nakreślonej prze Hao Jingfang widzimy kolonizowanego Marsa (akcja toczy się 200 lat w przyszłość), gdzie istnieje społeczeństwo kolektywistyczne, bezwzględnie kontrolowane, można rzec: orwellowskie – i jest to społeczeństwo chińskich kolonistów. Na Ziemi natomiast króluje ostatnia faza turbokapitalizmu – niby wolność jednostki jest dobrem absolutnym, ale w rzeczywistości reklama, wielki biznes i media rządzą wszystkim.

Aluzja jest czytelna, ale nie tylko o aluzje tu chodzi. W krótkim wstępie do książki pisarka deklaruje, że jest to „opowieść o upadku ostatniej utopii". Nie precyzuje jednak, który z konkurujących ze sobą porządków za taką uważa (konkurencja jest ostra: aby Mars ocalił niepodległość, potrzebna była międzyplanetarna wojna). Być może zawoalowaną podpowiedzią jest metafora z posłowia, gdy pisarka określa się jako „strażniczka ruin". Niby chodzi o docenienie dorobku poprzednich pokoleń, ale… Czy przypadkiem autorka żyjąca i pracująca w komunistycznych Chinach nie chce nam w ten sposób czegoś aluzyjnie dopowiedzieć? Wprost pisać nie może, nie chcąc dołączyć do długiej listy twórców chińskich, którzy są w ojczyźnie zakazani lub mocno cenzurowani.

„Włóczędzy" to także bildungsroman, wydarzenia oglądamy oczami grupy nastolatków, którzy po spędzeniu pięciu lat na Ziemi (w ramach odnawianej wymiany kulturalnej i społecznej) powracają na Marsa z głowami mocno przemeblowanymi. Jest to też powieść korespondująca bez wątpienia ze słynnymi „Wydziedziczonymi" Ursuli K. Le Guin, których bohater nie znalazł szczęścia ani w komunizmie, ani w kapitalizmie. Nie aż tak dobra, ale warta uwagi. ©℗

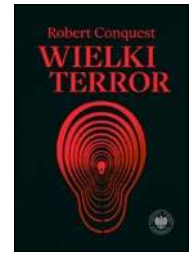


★★★★★★

HAO JINGFANG „WŁÓCZĘDZY" PIW 2025

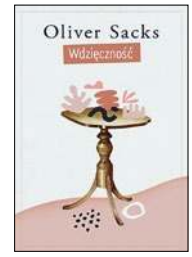
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Przejrzane, uzupełnione wydanie książki brytyjskiego sowietologa, uznawanej za najlepsze istniejące opracowanie na temat stalinowskiej wielkiej czystki. IPN pokazuje opanowanym przez PO instytucjom, co to jest misja publiczna.



ROBERT CONQUEST „WIELKI TERROR" IPN

Zmarły w 2015 r. neurolog, badacz i autor bestsellerów („Przebudzenia", „Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem") oraz hymnu ku czci życia w czterech pożegnalnych esejach opublikowanych już po śmierci autora.



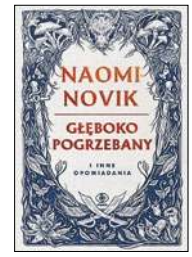
OLIVER SACKS „WDZIĘCZNOŚĆ" ZYSK I S-KA

Emocje, błędy poznawcze, błędy pamięci, neurony lustrzane, uwodzicielskie narracje: tak wpadamy w pułapkę samooszukiwania. Każdy może podjąć błędną decyzję, ale zbyt często się tak dzieje – pisze hiszpański psycholog.



MANUEL MARTÍN-LOECHES „PO CO NAM INTELIGENCJA?" ZNAK

Jako autorka krótkiej formy przedstawia się Polka z pochodzenia uważana za jedną z mistrzyń fantasy (m.in. cykl „Temeraire" czy słowiańskie fantazje „Wybrana" i „Moc srebra"). Zgrabny miks gatunków z dodatkiem humoru. ***Piotr Gociek***

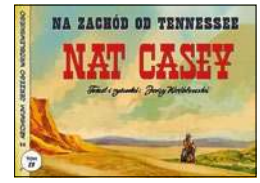


NAOMI NOVIK „GŁĘBOKO POGRZEBANY" REBIS

KOMIKS TYGODNIA:

ZAKOCHANY W WESTERNIE

To już 23. tom serii „Z archiwum Jerzego Wróblewskiego". Najbardziej płodny twórca komiksów w PRL znany był głównie z zeszytów „Kapitan Żbik" i albumów historycznych oraz przygodowych, jednak jego wielką miłością był western. Nie tylko komediowy, jak „Binio Bill". Komiks „Na zachód od Tennessee" ukazywał się oryginalnie na łamach „Dziennika Wieczornego" w 1966 r.



JERZY WRÓBLEWSKI, „NA ZACHÓD OD TENNESSEE", ONGRYS 2025

Piotr Gociek

eprasa.pl 0f0a3f5071

Koniec Zielonej Utopii w USA





Mariusz Jagóra

Co jeszcze potrzeba, żeby unijni biurokraci porzucili swoje utopijne, choć z pewnością opłacalne dla interesariuszy Zielonego Ładu wizje?

W marcu 2025 r. sekretarz energii USA, Christopher Wright, powołał niezależną grupę zadaniową, której celem było opracowanie raportu, dotyczącego tych kwestii związanych z nauką o klimacie, które są istotne przy kształtowaniu polityki energetycznej.

W skład grupy zadaniowej (Climate Working Group) weszli wybitni naukowcy, jak John Christy – ekspert nauk o atmosferze i Ziemi, klimatolog stanu Alabama, współtwórca (z Royem Spencerem) pierwszej satelitarnej techniki monitorowania globalnych, specjalizujący się w pomiarach temperatury powierzchni i atrybucji zmian klimatu; Judith Curry – emerytowana profesor School of Earth and Atmospheric Sciences w Georgia Institute of Technology, ekspertka w dziedzinie modelowania klimatu i ekstremalnych zjawisk pogodowych, współpracująca z IPCC (Międzyrządowy Zespół do spraw Zmian Klimatu ONZ) jako autorka i recenzentka; czy Steven Koonin, specjalista w dziedzinie fizyki obliczeniowej i nauk o klimacie, autor książek i publikacji kwestionujących uproszczenia w modelach klimatycznych.

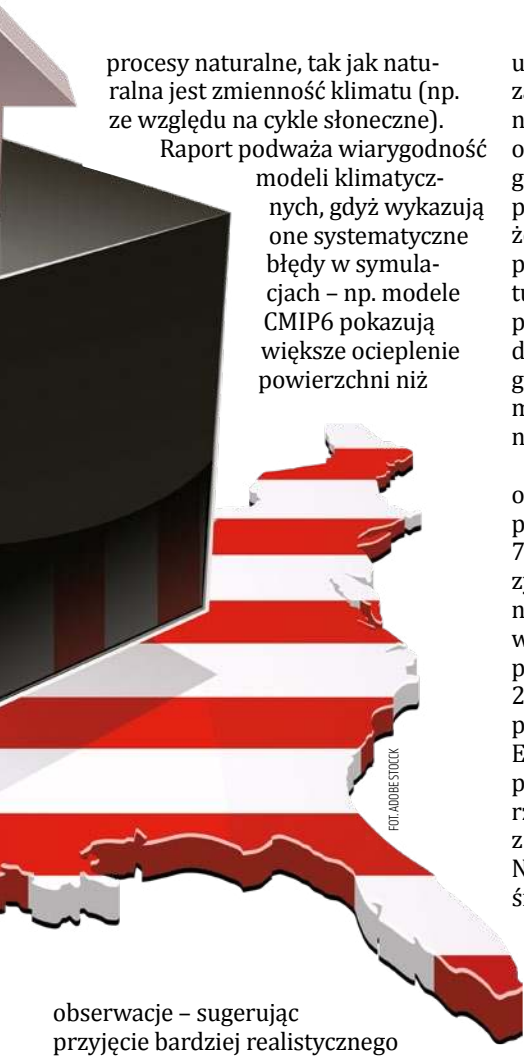
Zadaniem zespołu było przeanalizowanie wpływu emisji gazów cieplarnianych na klimat, ze szczególnym uwzględnieniem dowodów naukowych kwestionujących dominujące, alarmistyczne narracje klimatyczne. Główne cele grupy obejmowały ocenę naukowych danych związanych z wpływem CO_2 i innych gazów cieplarnianych na klimat, ekstremalne zjawiska pogodowe, ekosystemy i społeczeństwo oraz krytyczną analizę modeli klimatycznych ze względu na występujące drastyczne rozbieżności z obserwacjami. Wszystko po to, żeby dostarczyć Departamentowi Energii zaleceń dla polityki energetycznej, opartych na rzetelnych danych naukowych, z naciskiem na adaptację i innowacje zamiast drastycznych redukcji emisji.

BŁĘDNE ZAŁOŻENIA

Wynikiem prac jest opublikowany 23 lipca 2025 r. przez Departament Energii USA (DOE) „Krytyczny przegląd wpływu emisji gazów cieplarnianych na klimat Stanów Zjednoczonych", który analizuje wpływ emisji gazów, skupiając się na wątpliwościach naukowych, zagrożeniach i korzyściach CO_2 oraz rozbieżności między modelami klimatycznymi a obserwacjami. W raporcie podkreślono, że dwutlenek węgla nie mieści się w definicji „kryterialnych zanieczyszczeń powietrza" w rozumieniu ustawy o czystym powietrzu (Clean Air Act z 1970 r.), bo nie wpływa negatywnie na lokalną jakość powietrza, nie jest toksyczny dla ludzi w stężeniach atmosferycznych i nie stanowi bezpośredniego zagrożenia dla zdrowia, nie spełnia więc kryteriów zanieczyszczeń regulowanych przez Agencję Ochrony Środowiska. CO_2 stymuluje fotosyntezę i poprawia efektywność użycia wody przez rośliny, co prowadzi do globalnego „zazielenienia" Ziemi, a korzyści obejmują wyższe plony rolne i większą odporność na suszę.

Ludzkie emisje CO_2 co prawda mają jakiś wpływ na bilans radiacyjny atmosfery, ale modele IPCC przesadzają z prognozami emisji i stężeń – emisja antropogeniczna to zaledwie od 3 do 5 proc., a 95–97 proc. emisji CO_2 to

eprasa.pl 0f0a3f5071



FOT. ADOBESTOCK

procesy naturalne, tak jak naturalna jest zmienność klimatu (np. ze względu na cykle słoneczne).

Raport podważa wiarygodność modeli klimatycznych, gdyż wykazują one systematyczne błędy w symulacjach – np. modele CMIP6 pokazują większe ocieplenie powierzchni niż obserwacje – sugerując przyjęcie bardziej realistycznego podejścia do polityki klimatycznej, opartego na danych obserwacyjnych. Naukowcy dowodzą, że przykłady ekstremalnej pogody (huragany, ekstremalne temperatury, powodzie, susze, pożary), które przedstawiane są jako dowód na antropogeniczne zmiany klimatu, nie wykazują „statystycznie istotnych trendów długoterminowych" – w USA fale upałów były najsilniejsze w latach 30. XX w., a ekstremalne opady i powodzie są zmienne, ale nie rosną. Tak, szkody spowodowane przez burze znacznie wzrosły w ostatnich dziesięcioleciach, ale dzieje się tak tylko dlatego, że obecnie istnieje znacznie więcej infrastruktury, którą burze mogą zniszczyć. Nie wynika to z gorszych warunków pogodowych.

Wkrótce po opublikowaniu raportu Ministerstwa Energetyki amerykańska rządowa Agencja Ochrony Środowiska (EPA) wystosowała oficjalną propozycję uchylenia ustaleń z 2009 r. o istnieniu zagrożenia ze strony gazów cieplarnianych (tzw. Endangerment Finding) oraz zniesienia standardów emisji gazów cieplarnianych dla pojazdów. EPA proponuje wycofanie się z „konsensusu", że gazy cieplarniane zagrażają zdrowiu publicznemu i dobrobytowi, argumentując jednocześnie, że Ustawa o czystym powietrzu nie upoważnia rządu USA do wprowadzania regulacji w zakresie globalnych zmian klimatycznych, a wspomniana analiza z 2009 r. jest po prostu nieracjonalna.

Endangerment Finding (Ustalenie o zagrożeniu) to dokument wydany przez Agencję Ochrony Środowiska 7 grudnia 2009 r. za administracji prezydenta Baracka Obamy, który miał dać naukową i prawną podstawę do wprowadzenia regulacji emisji gazów cieplarnianych w USA na podstawie sekcji 202(a) ustawy Clean Air Act. Podstawą prawną był pozew, złożony przeciwko EPA, jeszcze za prezydentury Busha, przez koalicję złożoną z 12 stanów (zarządzanych głównie przez demokratów, z Massachusetts na czele), miast (np. Nowy Jork) oraz lewicowych organizacji środowiskowych (np. Sierra Club czy Natural Resources Defense Council, finansowanych przez kontrybutorów Zielonego Ładu – Rockefeller Brothers Fund, Walton Family Foundation czy MacArthur Foundation). Powodowie argumentowali, że wzrost poziomu mórz spowodowany globalnym ociepleniem zagraża ich terytoriom (np. prowadzi do erozji wybrzeży w Massachusetts) i że EPA ma obowiązek działać. Spór rozstrzygnęła decyzja Sądu Najwyższego (5:4 na korzyść powodów), w której nakazano agencji uznanie gazów cieplarnianych jako potencjalnego zanieczyszczenia i zobowiązano do wydania ustaleń czy emisje z pojazdów zagrażają zdrowiu i dobrobytowi. W 2009 r., za administracji prezydenta Obamy, EPA publikuje te ustalenia pod nazwą Endangerment Finding i potwierdza istnienie zagrożenia ze strony gazów cieplarnianych, co otworzyło drogę do regulacji emisji z pojazdów, elektrowni (np. Clean Power Plan) i innych źródeł. Ustanowiono precedens, że agencje federalne mogą regulować gazy cieplarniane bez legislacji Kongresu, i de facto rozpoczęto erę zielonej polityki klimatycznej USA.

Dlaczego teraz EPA uważa, że analiza z 2009 r. była nieracjonalna? W nowych zaleceniach agencja wskazuje na liczne problemy prawne i naukowe. Sekcja 202(a) Ustawy o czystym powietrzu nie upoważnia EPA do regulowania emisji gazów cieplarnianych w kontekście globalnych zmian klimatycznych, a Kongres nigdy nie udzielił EPA jasnego upoważnienia do regulacji klimatu na skalę narodową. Najnowsze dane podważają właściwie wszystkie założenia naukowe raportu z 2009 r., np. projekcje temperatur pokazują optymistyczne scenariusze, a nie pesymistyczne, jak te z raportu Międzyrządowego Zespołu do spraw Zmian Klimatu AR4. Rzeczywiste dane pokazują stabilizację temperatur w USA od lat 30. XX w., a nie ich wzrost. Nie notuje się wzrostu ekstremalnych zjawisk pogodowych (huragany, powodzie, pożary) w porównaniu z historycznymi maksimami.

Jeden z ekspertów grupy roboczej, Roy Spencer, zauważył, że nawet sam Międzyrządowy Zespół do spraw Zmian Klimatu stwierdza w Raporcie AR6 (2021–2023), że poza efektami związanymi z temperaturą (np. fale upałów) nie ma wystarczających dowodów na przypisanie zmian większości ekstremalnych zjawisk pogodowych (huragany, susze, powodzie, pożary) emisjom gazów pochodzących ze spalania paliw kopalnych. Modele klimatyczne były oparte na błędnych założeniach – nie spełniły się żadne z prognozowanych zmian. Na przykład modele przewidywały spadek pokrywy śnieżnej w półkuli północnej, a dane z Rutgers University Snow Lab pokazują trend wzrostu lub stabilności.

Nie nastąpiła też zapowiadana śmierć raf koralowych z powodu zakwaszenia oceanów – uszkodzenia raf tropikalnych spowodowane ociepleniem oceanów i niewielkim obniżeniem pH nie są tak poważnym problemem, jak początkowo się obawiano. W ciągu ostatnich 10 lat żywa część Wielkiej Rafy Koralowej doświadczyła nieoczekiwanego, powszechnego wzrostu. Przypisywanie wszystkich negatywnych skutków antropogenicznym gazom cieplarnianym bez uwzględnienia czynników naturalnych jest uproszczeniem, a wręcz oszustwem, które ma olbrzymie przełożenia na

eprasa.pl 0f0a3f5071

wzrost wydatków i obniżenie stopy życia społeczeństw.

KARMIENIE STRACHEM

Badania pokazują, że ludzie karmieni strachem i propagandą klimatystów wierzą, że „ekstremalne warunki pogodowe", których zawsze doświadczali, jak burze i huragany, są teraz wynikiem antropogenicznych zmian klimatycznych. Zmiany klimatyczne to dla wielu graczy wielki biznes. Jesteśmy notorycznie wprowadzeni w błąd przez grupy interesów, które czerpią korzyści finansowe z przekonywania obywateli, że znajdujemy się w kryzysie klimatycznym. Należy do nich armia naukowców zajmujących się klimatem, których kariera zależy obecnie od stałego finansowania ze strony rządów. Należą do nich organizacje ekologiczne wspierane przez zbiórki funduszy i dużych darczyńców „filantropijnych" – firmy produkujące, instalujące i konserwujące urządzenia do wytwarzania energii wiatrowej i słonecznej. Należą do nich także dziennikarze, którzy bardziej zainteresowani są utopijną wizją ratowania „płonącej planety" niż dochodzeniem do prawdy.

Przesadzone prognozy modeli klimatycznych umożliwiły rządom wielu krajów przyjęcie ekstremalnych celów „zero emisji netto", zakładających stopniowe eliminowanie emisji CO_2 do 2050 r. (co jest zasadniczo niemożliwe, ponieważ świat nadal opiera się na paliwach kopalnych jako dominującym źródle energii, a energia odnawialna nie jest stabilna). CO_2 stanowi 0,04 proc. atmosfery ziemskiej, z czego olbrzymia większość (do 97 proc.) jest pochodzenia naturalnego – sama Ziemia emituje prawie całe CO_2 do swojej atmosfery.

Polityka Net Zero Unii Europejskiej, będąca kluczowym elementem Europejskiego Zielonego Ładu, ma na celu redukcję emisji gazów cieplarnianych o 55 proc. do 2030 r. i o 90 proc. do 2040 r., aż do osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r., czyli do zrównoważenia emisji z pochłanianiem – naturalnym – przez lasy, gleby i mokradła lub sztucznym, przez wprowadzenie nowych technologii wychwytywania węgla jak CCS (Carbon Capture and Storage) lub CCUS (Carbon Capture, Utilization and Storage). Mędrcy unijni zdecydowali, że należy zwiększyć potencjał naturalnego pochłaniania CO_2 przez „przywracanie" ziemi

W latach 2008–2023 PKB UE wzrosło o 13,5 proc., a USA o 87 proc. Wzrost PKB w 2025 r. szacowany jest na 1,1 proc. dla UE i 0,9 proc. dla strefy euro i jest ograniczony przez wysokie ceny energii, fragmentację rynku i wolne tempo innowacji

naturze, ograniczając areał rolny za pomocą regulacji, pokus finansowych i śrubowania wymogów środowiskowych, które mają na celu „zachęcanie" rolników do zmiany użytkowania gruntów. Regulacje obejmują obowiązek ugorowania i zalesiania ziemi rolnej – Ustawa o przywracaniu natury wymaga przywrócenia 20 proc. lądów i mórz UE naturze do 2030 r., w tym doprowadzenie 30 proc. siedlisk w złym stanie (np. mokradeł, rzek) do dobrego stanu. Renaturalizacja mokradeł i rzek może wpływać na pola uprawne w pobliżu, szczególnie tam, gdzie stosuje się melioracje.

Zeroemisyjność wymaga transformacji wielu sektorów gospodarki: dekarbonizacja energetyki zakłada zwiększenie udziału odnawialnych źródeł energii do 42,5 proc. (z ambicją 45 proc.) w miksie energetycznym do 2030 r. (obecnie to jest 24,5 proc. końcowego zużycia energii brutto), wprowadzane są normy, aby nowe samochody osobowe i dostawcze były zeroemisyjne od 2035 r. (np. pojazdy elektryczne lub wodorowe), wprowadza się regulacje, żeby zwiększyć „efektywność energetyczną budynków, poprzez obowiązkowe renowacje budynków i modernizację systemów grzewczych", dla których także wprowadza się system ETS2 (Emissions Trading System 2) – rozszerzenie unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji (EU ETS), wprowadzone w ramach pakietu „Fit for 55", co do tej pory dotyczyło energetyki, przemysłu i lotnictwa, a obecnie obejmie również emisje CO_2 z sektora budynków i transportu drogowego.

KOSZTOWNA UTOPIA

Z jakimi kosztami ma się ta utopijna wizja wiązać? Międzynarodowa Agencja Energetyczna (IEA) w raporcie z 2021 r. dotyczącym ścieżki do osiągnięcia Net Zero do 2050 r. podkreśla, że droga ta będzie wymagała globalnych inwestycji w czystą energię na poziomie ok. 4 bln dol. rocznie do 2030 r. Christine Lagarde, prezydent Europejskiego Banku Centralnego (EBC), jest jeszcze bardziej pesymistyczna w swoich obliczeniach, szacując globalnie wydatki do 11,7 bln dol. rocznie do 2035 r. Ale jest to koszt, który Christina gotowa jest nałożyć na podatników.

Raport DOE z lipca 2025 r. kwestionuje konieczność agresywnej redukcji emisji, argumentując, że działania USA mają „niewykrywalnie mały" wpływ na globalny klimat (np. redukcja emisji z pojazdów o 20 proc. do 2030 r. obniżyłaby temperaturę o zaledwie 0,03 st. C do 2100 r.). DOE unika demonizowania CO_2, gdyż jest on niezbędnym „nawozem" dla roślin (przyczyniającym się do wzrostu plonów rolniczych), i sugeruje, że koszty regulacji mogą przewyższać korzyści. Unia zaś brnie w utopię, stawiając coraz to bardziej „ambitne" cele, nadal promując szybką dekarbonizację i wprowadzając w życie nierealne regulacje.

Jacques Delors, przewodniczący Komisji Europejskiej w latach 1985–1995, zapowiadał, że do 2010 r. Unia Europejska przegoni USA pod względem PKB. Raport Banku Światowego z kwietnia 2025 r. pokazuje inną rzeczywistość: w latach 2008–2023 PKB UE wzrosło o 13,5 proc., a USA o 87 proc. Zgodnie z danymi Międzynarodowego Funduszu Walutowego z kwietnia 2025 r. szacunkowe PKB nominalne UE wynosi 19,99 bln dol., a USA 30,51 bln dol., co czyni je największą gospodarką świata. Według prognozy Komisji Europejskiej wzrost PKB w 2025 r. szacowany jest na 1,1 proc. dla UE i 0,9 proc. dla strefy euro i jest ograniczony przez wysokie ceny energii, fragmentację rynku i wolne tempo innowacji, co wskazał raport Draghiego. Według amerykańskiego Biura Analiz Ekonomicznych wzrost PKB w drugim kwartale 2025 r. w USA wyniósł 3 proc. w ujęciu rocznym, dzięki większej elastyczności gospodarczej, innowacjom i niższym kosztom energii.

Czego jeszcze potrzeba, żeby unijni biurokraci porzucili swoje utopijne, choć z pewnością opłacalne dla interesariuszy Zielonego Ładu wizje? © ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071

Co upadło w Wyrykach?



Marcin Bosacki na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ
FOT. YOUTUBE/ONZ



Dariusz Wieromiejczyk

Zaskakującym odkryciem podzieliła się z czytelnikami „Rzeczpospolita". Okazuje się, że do zniszczenia domu w miejscowości Wyryki przyczynić się miała, bezpośrednio, rakieta wystrzelona z polskiego myśliwca F-16. „To była rakieta powietrze-powietrze AIM-120 AMRAAM z naszego F-16, która w trakcie lotu miała dysfunkcję układu naprowadzania i nie zadziałała. Na szczęście nie uzbroiła się i nie wybuchła, ponieważ zabezpieczenia zapalnika zadziałały" – twierdzi cytowane przez „Rzeczpospolitą" źródło. Jest to wiadomość zaskakująca, gdyż stoi w niejakiej sprzeczności z informacjami podawanymi dotychczas przez polski rząd. W czasie zwołanego niedawno posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ w odmiennym świetle przedstawiał to wydarzenie polski wiceminister spraw zagranicznych, Marcin Bosacki. Pokazał on nawet w trakcie swojego wystąpienia zdjęcie zniszczonego budynku. „Drony to instrumenty terroru, które już zrujnowały tak wiele domów, tak wiele istnień ludzkich w Ukrainie i nie tylko. A dwa dni temu obrały sobie za cel polskie domy. To właśnie zdjęcie ze wschodu Polski, z wioski Wyryki" – grzmiał na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ minister Bosacki. Oskarżył przy tym Rosję o „neoorwellowskie" kłamstwa, których dopuszcza się ona przy każdej sposobności.

„Na ten moment nie mogę wiążąco powiedzieć, co spadło na dom w Wyrykach, jest to przedmiotem śledztwa, czekamy na opinię biegłych – odpowiedziała na pytania „Rz" prok. Agnieszka Kępka, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Lublinie. Ta sama prokuratura w wydanym przez siebie komunikacie wydaje się nieśmiało zaprzeczać słowom ministra Bosackiego. „Obiekt nie został na chwilę obecną zidentyfikowany ani jako dron, ani jako jego fragmenty" – stwierdzili polscy śledczy. Położony w województwie lubelskim Emilcin może się pochwalić jedynym w Polsce pomnikiem dedykowanym UFO, więc „niezidentyfikowane obiekty latające" nie są na Lubelszczyźnie szczególną nowością.

Jeżeli informacje, do których dotarła „Rzeczpospolita", okażą się prawdziwe, to do sypialni państwa Wesołowskich w Wyrykach wleciała rakieta typu powietrze-powietrze, której prędkość przekraczać potrafi 4000 km/h. Ma ona zasięg ok. 70 km i kosztuje, w zależności od wersji, od 2 do 4 mln dol. za sztukę. Rakiety te zadebiutowały bojowo na wojnie w Iraku, w roku 1992, oraz w 1994 r. nad byłą Jugosławią. Polskie lotnictwo wojskowe ma ich ok. 500, zakupionych za sumę ponad miliarda dolarów.

O ile winowajcą zniszczeń w podlubelskiej wiosce był rzeczywiście niewypał rakiety AIM 120 AMRAAM, o tyle powinien się on zachować w stosunkowo dobrym stanie. Dlaczego rozpoznanie własnego sprzętu zajęło polskim ekspertom ponad tydzień? Jeszcze dziwniejszy jest fakt, że o rzeczywistym pochodzeniu „niezidentyfikowanego obiektu latającego" z Wyryk nie poinformowano ani opinii publicznej, ani najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych w osobie prezydenta RP. Zniszczony dach budynku w Wyrykach pokazywano w tym czasie wielokrotnie, we wszystkich serwisach informacyjnych. Dopiero po publikacji „Rzeczpospolitej" odezwał się na platformie X premier Donald Tusk, zapowiadając udzielenie stosownych informacji „po zakończeniu postępowania". Wiadomość zakończył słowami: „Łapy precz od polskich żołnierzy". Napisał to polityk, który polską prezydencję w Radzie Unii Europejskiej uczcił, organizując w Berlinie pokaz filmu „Zielona granica". Czyżby bolały premiera zmęczone kinowymi oklaskami dłonie?

Zachowanie ekipy rządzącej w tej sprawie przywodzi niestety na myśl działania jej poprzedników. Tragiczna katastrofa w Przewodowie, kiedy dwóch polskich obywateli zabiła ukraińska rakieta ziemia-powietrze, długo opisywana była jako rezultat uderzenia „rakiety wyprodukowanej w Rosji". Ówczesny minister spraw zagranicznych Zbigniew Rau wezwał wtedy do ministerstwa ambasadora Rosji „z żądaniem niezwłocznego przekazania szczegółowych wyjaśnień" w tej sprawie. Jak ustalił niemal natychmiast po katastrofie korespondent Polsat News, Mateusz Lachowski, w Przewodowie spaść miał rosyjski pocisk manewrujący Ch-101. Pytany o źródła swej informacji, podał dwa: „Jedno to osoba spoza Ukrainy i Polski, wykładowca, który zajmuje się wojskowością, a drugie to osoba związana z MON Ukrainy". Dopiero po wielu dniach okazało się, że rewelacje propagowane wówczas przez media brutalnie mijały się z prawdą.

Indagowany w sprawie rosyjskich dronów tak łatwo naruszających polską przestrzeń powietrzną prominentny niegdyś polityk PiS, Michał Dworczyk, stwierdził, że nie czas teraz na szukanie winnych, bo „każdy ma swoje za uszami". Dał on tym samym wyraz zaskakującej solidarności obu największych partii naszej sceny politycznej i łączącej je, w kwestii zamiatania błędów pod dywan, wspólnocie interesów. Bardziej dosadną diagnozę wystawił naszej klasie politycznej socjolog Marcin Palade. „Rosja nie musi się starać w działaniach dezinformacyjnych. Wystarczy, że widzi, jak wysoki odsetek sprawujących wysokie urzędy w Polsce jest na granicy niepełnosprawności umysłowej". Zdaniem Michała Dworczyka rządzący polską politycy „mają swoje za uszami", według Marcina Palade nie noszą oni pomiędzy uszami niczego pożytecznego. Obie powyższe opinie nie muszą się niestety wykluczać. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071

Polska jak RFN po 1961 r.?



FOT. ADOBE STOCK



Lech Mażewski

Sytuacja po incydencie z pojawieniem się nad Polską 10 września rosyjskich dronów może nieco przypominać napięcia związane z budową muru berlińskiego w połowie 1961 r. Wtedy i dziś zachowanie Stanów Zjednoczonych wobec swojego protegowanego mogło budzić wątpliwości. Czy Warszawa byłaby w stanie wyciągnąć takie same wnioski z incydentu z bezzałogowcami, jak Bonn po powstaniu muru w Berlinie?

W nocy z 12 na 13 sierpnia 1961 r. rozpoczęła się budowa muru w Berlinie; stolica zjednoczonych przez kanclerza Ottona von Bismarcka Niemiec uległa podziałowi aż do 9 listopada 1989 r. Prezydent John F. Kennedy wysłał trasą tranzytową do Berlina dodatkowo 1,5 tys. żołnierzy. Do groźnego wydarzenia doszło 27 października 1961 r., kiedy to przy Checkpoint Charlie na linii granicznej stanęły amerykańskie i sowieckie czołgi. Było wiadomo, że stronami konfliktu w sprawie muru berlińskiego nie są RFN i NRD, ale USA i ZSRS. Następnego dnia czołgi wróciły do swoich miejsc stacjonowania.
W czerwcu 1963 r. miasto odwiedził Kennedy, ale do powiedzenia miał jedynie słynne: „Ich bin ein Berliner".
W trakcie wizyty kanclerza Ludwiga Erharda w Paryżu 11 czerwca 1964 r. prezydent Francji Charles de Gaulle złożył propozycję natychmiastowego użycia francuskiej broni atomowej w przypadku ewentualnego konfliktu o Berlin lub ataku ZSRS na RFN.

Incydent przy Checkpoint Charlie obserwował ze swojego gabinetu nadburmistrz Berlina Willy Brandt, który zrozumiał, że Stany Zjednoczone nie zaryzykują wojny ze Związkiem Sowieckim w sprawie muru. To było wszystko, co mogli i chcieli zrobić Amerykanie dla Niemiec. Kwestia ułożenia stosunków między oboma państwami niemieckimi, a tym bardziej ich zjednoczenia nie była na agendzie polityki Waszyngtonu. Tym musieli się zająć sami Niemcy, rozumiejąc, że klucz do rozwiązania ich problemów znajduje się na Kremlu. W efekcie pod koniec lat 60. ubiegłego wieku rodzi się Ostpolitik, która doprowadzi w latach 1990–1991 do wchłonięcia NRD przez RFN. Propozycji de Gaulle'a nie chciano nawet rozważyć, bo zgodę na unicestwienie własnego kraju i narodu trudno nazwać polityką, byłby to raczej

eprasa.pl 0f0a3f5071

rodzaj zbiorowego samobójstwa w imię walki z ZSRS.

WOBEC NATO I USA

W zestrzeliwaniu rosyjskich dronów udział wzięły nie tylko polskie samoloty, lecz także należące do państw członków NATO. To oczywiście dobrze świadczy o spójności sojuszu północnoatlantyckiego, ale nie najlepiej o polskiej armii, która samodzielnie nie była w stanie unieszkodliwić kilkunastu obcych bezzałogowców.

Po pewnym milczeniu głos zabrał prezydent Donald Trump, oznajmiając, że naruszenie polskiej przestrzeni powietrznej mogło być wynikiem pomyłki, i dodał, że „jest niezadowolony z całej sytuacji". Jest to rozczarowujące dla dużej części Polaków. W rozmowie z prezydentem Karolem Nawrockim zapewne padły podobne stwierdzenia, bo na platformie X mogliśmy przeczytać jedynie: „Dzisiejsze rozmowy potwierdziły jedność sojuszniczą". Ośrodek prezydencki oczekiwał czegoś zupełnie innego, o czym mogą świadczyć wypowiedzi szefa BBN Sławomira Cenckiewicza w Rymanowski Live. Mówił on tam, że Stany Zjednoczone są w stanie wygrać wojnę z każdym, z kim chcą. A co z Wietnamem, Irakiem, Afganistanem, a ostatnio z Huti na Morzu Czerwonym?

Tym razem amerykański prezydent nie wysłał dodatkowego kontyngentu wojska. Nic też nie zapowiada, aby czołgi USA pojawiły się na granicy polsko-rosyjskiej w dawnych Prusach Wschodnich. Z czego wynika to odmienne zachowanie? Stany Zjednoczone przestają być hegemonem globu, pozostając jednym z kilku czołowych mocarstw. W tej sytuacji Waszyngton musi na nowo określić swój interes w polityce międzynarodowej. Z pewnością nastąpi powrót do doktryny Jamesa Monroe'a, zapewniającej USA dominację w zachodniej hemisferze. Przejawem tego może być fakt, że żadne państwo latynoskie nie było obecne na szczycie w Tiencin w ChRL z okazji XXV rocznicy powstania Szanghajskiej Organizacji Współpracy. Ponadto Stany Zjednoczone chciałyby uczestniczyć w eksploatacji bogactw naturalnych Syberii i Arktyki, a to zakłada dobre stosunki na linii Waszyngton – Moskwa. W efekcie mamy do czynienia z procesem wycofywania się USA z Europy i być może także z Azji, powstawaniem triady USA-Chiny-Rosja, w przyszłości z udziałem Indii, przy zachowaniu możliwości walki przez Waszyngton z pretendentem do hegemonii w Euroazji. Polska musi to uwzględnić w swojej polityce, jeśli nie chce podzielić losu Ukrainy.

INNE MOŻLIWOŚCI

Wielu powie, że Polska ma inne możliwości w polityce zagranicznej niż postawienie na USA. Powstaje przecież układ Niemcy-Francja-Wielka Brytania, ale dla nas byłoby tu przewidziane wystawienie armii pomocniczej i chyba nic więcej. Zwolennicy sojuszu polsko-ukraińskiego muszą mieć na uwadze, że oznacza to możliwość wojny z Rosją, bez pewności pomocy ze strony Europy, bo banderowsko-postępowy Kijów jest bliższy Berlinowi czy Paryżowi niż konserwatywna Warszawa. I wreszcie osławiony pas północ-południe: od koła podbiegunowego do Morza Czarnego. Brzmi to atrakcyjnie, tyle że interesy państw skandynawskich, Rumunii i Turcji są rozbieżne. Po upadku globalnej hegemonii Stany Zjednoczone byłyby zainteresowane współpracą z państwami skandynawskimi (Norwegia, Szwecja, Finlandia, Dania i Islandia), bo wspólnie mogłyby kontrolować wyjście z Oceanu Arktycznego na północny Atlantyk. Nie są do tego potrzebne ani państwa bałtyckie, ani Polska.

Z kolei Turcja bardziej zainteresowana jest Bliskim Wschodem (i czekającą ją konfrontacją z Izraelem) oraz Azją Centralną, a nie Europą i Rosją. Natomiast Rumunia może zachować się tak, jak w czasie obu wojen światowych: z kim innym zaczynała i z kim innym kończyła swój udział w konflikcie.

Z całą pewnością nie należy wzywać do ogłoszenia neutralności. Warto pamiętać, że neutralna w okresie wojny siedmioletniej (1756–1763) Rzeczpospolita była terenem dewastujących nas, nieustannych przemarszów obcych wojsk, przed czym nie byliśmy w stanie się obronić. Dlaczego tym razem miałoby być inaczej?

POWTÓRKA SCENARIUSZA Z RFN?

Członkostwo w NATO i Unii Europejskiej ma oczywiście swoje znaczenie dla Polski i nie należy tego podważać. W sytuacji tracenia przez Stany Zjednoczone pozycji globalnego hegemona na Półwyspie Europejskim może powstać pustka, ale bez sprawnej armii nie uratujemy się przed możliwym chaosem. Nawet gdyby Amerykanie wycofali swoje wojska lądowe z Europy, to trzeba zabiegać o dostęp do danych z ich zwiadu satelitarnego oraz o wsparcie lotnicze, oferując w zamian działania prowadzące do stabilizacji sytuacji na Wschodzie. Ponadto konieczne byłoby sformułowanie polskiej Ostpolitik, aby rozmawiać z Moskwą, unikając pośrednictwa państw trzecich, bo to się zawsze kończy źle. Polska Ostpolitik byłaby suwerenną decyzją Warszawy podjętą bez oglądania się na reakcje sojuszników, od których stawalibyśmy się w ten sposób bardziej niezależni.

Jeśli spojrzymy na przypadek RFN, to od momentu uświadomienia sobie przez Brandta konieczności sformułowania Ostpolitik (co nastąpiło w efekcie braku adekwatnej reakcji USA na budowę muru berlińskiego) do chwili podjęcia konkretnych działań (z czym mieliśmy do czynienia po tym, jak został on kanclerzem w 1969 r.) minęła prawie cała dekada. W Polsce nie byłoby inaczej. Z pewnością tyle potrzeba by było lat, żeby Nawrocki uświadomił sobie, co jest rzeczywistym celem jego prezydentury. To wcale nie jest dużo czasu, jeśli mamy na uwadze dość powszechną dominację antyrosyjskiego patriotyzmu w polskim życiu publicznym w ostatnich trzech stuleciach.

Dziś żadna polska Ostpolitik nie jest możliwa, bo przede wszystkim nie wiemy, czego oczekujemy od Rosji, w przeciwieństwie do RFN, które chciało wchłonięcia NRD, co ostatecznie nazwano zjednoczeniem Niemiec. Paradoksalnie umożliwiły im to ostatni sekretarz generalny KC KPZS Michaił Gorbaczow oraz brak sprzeciwu Polski w tej sprawie. Gdybyśmy jednak już wiedzieli, o co nam chodzi na Wschodzie, to przystępując do rozmów, musimy to czynić z pozycji chociaż relatywnej siły. Te drony, które zostały ostatnio strącone, powinny zatem zostać zniszczone wyłącznie przez Polaków i wtedy moglibyśmy wyrazić zgodę na propozycję Moskwy w sprawie podjęcia rozmów. Inaczej będzie tylko pogardliwe lekceważenie ze strony Rosji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071



Jarosław Lindenberg

Wysiedlić

Aby „zmienić lokalizację" ambasady rosyjskiej w Warszawie, nie wystarczy przegłosować uchwałę i zobowiązać rząd do jej realizacji. Potrzebny jest jeszcze mały drobiazg: zgoda Federacji Rosyjskiej, a i tak wiązałoby się to z koniecznością zapłacenia temu państwu kwoty, której by ono zażądało za działkę i budynek

Prezes Jarosław Kaczyński zapowiedział szybkie wniesienie przez Klub Poselski PiS projektu uchwały Sejmu, aby zmienić lokalizację ambasady Federacji Rosyjskiej w Warszawie. Konkretnie, jak to ujął przewodniczący tego klubu i były minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak, chodzi o uchwałę „zobowiązującą rząd to tego, aby zmienić lokalizację ambasady rosyjskiej z powodów osłony kontrwywiadowczej. Szczególnie budynek MON musi mieć taką osłonę". Natomiast autor wspomnianego projektu, wiceprzewodniczący klubu i były wiceminister obrony narodowej Marcin Ociepa, wspominając agresję sowiecką z 17 września 1939 r., powiedział: „W wyniku tej agresji Rosjanie zdecydowali się na umiejscowienie w tym miejscu ambasady, jako de facto pałacu namiestnikowskiego, który ma górować nad Warszawą i urzędami państwowymi […]. Warto w końcu doprowadzić do tego, żeby ta ambasada stamtąd zniknęła".

Dlaczego akurat dzisiaj, po 36 latach od upadku komunizmu i po ośmiu latach nieprzerwanych rządów PiS, „nadszedł ten moment", tego już ani autor projektu, ani jego były szef, ani nawet szef obecny nie wyjaśnili. W każdym razie ja muszę wyjaśnić posłowi Ociepie, który pochodzi z Opola, więc zapewne topografię stolicy zna słabo, że z tym górowaniem nad Warszawą to niezupełnie trafił. Ambasada rosyjska znajduje się w dole ul. Belwederskiej, czyli u podnóża skarpy warszawskiej. Nad nią, rzeczywiście, góruje budynek Ministerstwa Obrony Narodowej przy ul. Klonowej, przy czym dla ścisłości dodam, że jest to jedna z kilku lokalizacji tego resortu i wcale nie najważniejsza, ponieważ główna siedziba mieści się w al. Niepodległości. Naprzeciwko ambasady, po drugiej stronie Belwederskiej, znajduje się (od czasów komunistycznych) rządowy kompleks Parkowa, gdzie dawniej zatrzymywały się oficjalne delegacje wysokiego szczebla odwiedzające nasz kraj. A w pewnym oddaleniu, nad tym kompleksem i nad skarpą parku Łazienkowskiego, góruje Belweder.

KTO WYMAGA OSŁONY KONTRWYWIADOWCZEJ

Z tą „osłoną kontrwywiadowczą" to też niezupełnie jest tak, jak to minister Błaszczak przedstawił. Otóż jako były dyplomata z ponad 30-letnim stażem i kilkukrotny ambasador RP podzielę się z panem ministrem pewnym doświadczeniem zawodowym: tak się składa, że z reguły to obce ambasady, zwłaszcza w krajach niekoniecznie przyjaznych (np. nasza ambasada w Moskwie), były, są i będą obiektem intensywnej inwigilacji ze strony miejscowych służb specjalnych, które wykorzystują do tego celu najrozmaitsze urządzenia techniczne oraz zwerbowanych (jeśli się da) pracowników danej placówki. To misje dyplomatyczne wymagają zatem osłony kontrwywiadowczej przed penetracją z zewnątrz. W budynkach ambasad o szczególnym znaczeniu tworzy się np. specjalne „strefy ciszy", czyli sale o charakterze „termosu", skutecznie izolowane od jakichkolwiek wpływów zewnętrznych, gdzie dyplomaci (i nie tylko) mogą wymieniać informacje wrażliwe. Podobnie zabezpieczone są pomieszczenia, w których wytwarza się dokumenty szyfrowane. Trochę dziwne wydaje się więc, że akurat w naszej pięknej stolicy mamy sytuację odwrotną, ale, oczywiście, wyjątki się zdarzają. Jednak aż ciśnie się na usta pytanie: Dlaczego przez te 36 lat nie przyszło nikomu do głowy, by z budynku MON przy ul. Klonowej usunąć wszystkie biura wytwarzające informacje wrażliwe, a w zamian wyposażyć te pomieszczenia w najnowsze urządzenia do inwigilacji placówki rosyjskiej? Nie interesuje nas, co tam się mówi i pisze?

Chciałbym też zapytać wszystkich inicjatorów uchwały i tych, którzy za nią zagłosują: Jak sobie wyobrażacie jej realizację, czyli w jaki sposób, konkretnie, rząd miałby „zmienić lokalizację" obcej placówki dyplomatycznej? Dla uściślenia dodam, że zarówno działka, na której stoi ambasada rosyjska, jak i sam budynek są własnością Federacji Rosyjskiej (jako następcy prawnego ZSRS). Jeśli ktoś nie wierzy, to niech sobie sprawdzi w księgach wieczystych. Obecnie rządząca koalicja udowodniła, że przy pomocy uchwał sejmowych może zmieniać obowiązujące ustawy, unieważniać orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego, ale jeśli chodzi o wysiedlenie właściciela z jego nieruchomości, to tego jeszcze nie spróbowała. Tym bardziej że nie chodzi o zwykłego Kowalskiego, lecz o potężnego, niebezpiecznego i nie do końca przewidywalnego sąsiada, którego raczej nie należałoby drażnić bezprawnymi działaniami, godzącymi w jego prestiż międzynarodowy.

Wprawdzie „uśmiechnięta koalicja" może pochwalić się już pewnymi sukcesami w dziedzinie bezprawnego przejmowania obiektów publicznych, np. siedziby TVP czy Prokuratury Krajowej, ale w przypadku obcej ambasady sprawa jest bardziej skomplikowana. Placówki dyplomatyczne i ich wyposażenia (niezależnie od statusu własności samej nieruchomości) znajdują się pod szczególną ochroną prawa międzynarodowego. Zacytuję tu odpowiednie postanowienia konwencji wiedeńskiej o stosunkach dyplomatycznych z 1961 r. (zarówno Polska, jak i Rosja są jej stronami):

eprasa.pl 0f0a3f5071

Ruskich na Księżyc!

Art. 22

• *Pomieszczenia misji są nietykalne. Funkcjonariusze państwa przyjmującego nie mogą do nich wkraczać, chyba że uzyskają na to zgodę szefa misji.*

• *Państwo przyjmujące ma szczególny obowiązek przedsięwzięcia wszelkich stosownych kroków dla ochrony pomieszczeń misji przed jakimkolwiek wtargnięciem lub szkodą oraz zapobieżenia jakiemukolwiek zakłóceniu spokoju misji lub uchybieniu jej godności.*

• *Pomieszczenia misji, ich urządzenia i inne przedmioty, które się w nich znajdują, oraz środki transportu misji nie podlegają rewizji, rekwizycji, zajęciu lub egzekucji.*

I dodam jeszcze, że zgodnie z art. 45 tej konwencji „państwo przyjmujące obowiązane jest, nawet w wypadku konfliktu zbrojnego, szanować i ochraniać pomieszczenia misji wraz z jej mieniem i archiwami".

BĘDĄ RETORSJE ROSJI

Krótko mówiąc, aby „zmienić lokalizację" ambasady rosyjskiej w Warszawie, nie wystarczy przegłosować uchwałę i zobowiązać rząd do jej realizacji. Potrzebny jest jeszcze mały drobiazg: zgoda Federacji Rosyjskiej, a i tak wiązałoby się to z koniecznością zapłacenia temu państwu kwoty, której by ono zażądało za działkę i budynek. Biorąc pod uwagę lokalizację ambasady oraz powierzchnię całego terenu, można sobie wyobrazić, że byłaby to suma astronomiczna. Może zatem taniej wyjdzie, jeżeli rząd znajdzie nową siedzibę dla biur MON, które mieszczą się przy ul. Klonowej, a zamiast nich wprowadzi tam instytucję, która nie będzie interesująca z punktu widzenia rosyjskiego wywiadu?

To jest jednak czysta hipoteza, gdyż można założyć z prawdopodobieństwem graniczącym z absolutną pewnością, że ani obecne, ani przyszłe władze rosyjskie nie zgodzą się na zmianę siedziby tej placówki dyplomatycznej. A dlaczego niby miałyby się zgodzić? Czy my byśmy się zgodzili na ich miejscu? Oczywiście jakiś mędrzec podpowie, że przecież są sposoby, żeby pracę ambasady tak utrudnić, iż sami dyplomaci rosyjscy zaczęliby marzyć o przeprowadzce. A to jakieś roboty drogowe bez końca przy ul. Belwederskiej wzdłuż wspomnianego budynku, a to jakieś nieustanne awarie mediów czy zakłócenia łączności… Tyle tylko, że w dyplomacji ściśle obowiązuje zasada wzajemności, która czasem oznacza po prostu stosowanie retorsji. Jeśli zatem chcemy doprowadzić do paraliżu pracy naszej placówki dyplomatycznej w Moskwie, to proszę bardzo. Pamiętajmy przy tym, że Federacja Rosyjska ową zasadę wzajemności egzekwuje zawsze, a przy tym bywa, że w bardzo specyficzny sposób. Warto np. przypomnieć, że kiedy kilkanaście lat temu jacyś chuligani pobili w Warszawie kilkoro dzieci rosyjskich uczęszczających do szkoły przy ambasadzie, to w Moskwie „nieznani sprawcy" pobili naszych dyplomatów. Takich przypadków było więcej, i to nie tylko w stosunku do dyplomatów polskich. Czy zatem znajdzie się polityk, który zaryzykuje bezpieczeństwo naszej placówki w Moskwie i jej personelu w imię swoich ambicji?

Wymienieni na początku trzej inicjatorzy omawianej uchwały mają nadzieją, że zostanie ona przyjęta jednogłośnie, „ponad bieżącymi podziałami politycznymi", lub przynajmniej poprze ją sejmowa większość. Być może się tak stanie. Zobaczymy. Od czasu agresji Rosji na Ukrainę wszystkie siły polityczne w naszym kraju, od prawicy do lewicy, skutecznie rywalizują o złoty medal w dziedzinie rusofobii. Tyle tylko, że w tej inicjatywie jest ukryta pewna pułapka, dość sprytnie – trzeba przyznać – zastawiona przez PiS na „uśmiechniętą (krzywo) koalicję". Jeśli bowiem koalicja razem z opozycją zagłosuje za uchwałą, to rząd będzie musiał ją realizować. Czyli będzie musiał wykonać zadanie z góry niewykonalne. I tak np. wyobraźmy sobie, że minister Radosław Sikorski pisze (ach, jak on potrafi pisać!) do ministra Siergieja Ławrowa, żeby Rosjanie sobie poszukali innej lokalizacji dla swojej ambasady i zniknęli z Belwederskiej, najlepiej od razu. I teraz wyobraźmy sobie, co Ławrow (znany z dosadności oraz ostrego języka) mu odpowie. Będzie śmiechu co niemiara, i to nie tylko w Polsce. A premier Donald Tusk odnotuje kolejny sukces swojego rządu na arenie międzynarodowej. Jeśli zaś koalicja zagłosuje przeciwko projektowi, to PiS ochoczo nazwie tych, którzy odrzucili uchwałę „rosyjskimi skarpetkami" czy jakoś podobnie…

Dlaczego przez 36 lat III Rzeczypospolitej nie przyszło nikomu do głowy, by budynek MON przy ul. Klonowej wyposażyć w najnowsze urządzenia do inwigilacji placówki rosyjskiej?

Dlaczego jednak poprzestać tylko na uchwale o przeniesieniu ambasady? Przecież można przegłosować uchwałę zobowiązującą rząd do „zmiany lokalizacji" całej Federacji Rosyjskiej. Przenieść ją na drugą półkulę albo na Księżyc! Pozbędziemy się w ten sposób kłopotów z Ruskimi raz na zawsze. Bo po co łamać sobie głowę, jak prowadzić mądrą, a przy tym skuteczną polityką wschodnią?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem filozofii. W latach 1980–1990 był nauczycielem akademickim, a w latach 1990–2023 pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, głównie na stanowiskach kierowniczych. Sprawował funkcję ambasadora RP na Łotwie, w Bułgarii oraz w Bośni i Hercegowinie. Zakończył karierę zawodową w randze podsekretarza stanu.

eprasa.pl 0f0a3f5071

Dawid kontra Goliat



Filip Memches

Soros pokładał w Orbánie nadzieję. Wspierał więc jego ugrupowanie pieniędzmi. Dla lidera Fideszu priorytetem była jednak zawsze suwerenność polityczna i osobista



Viktor Orbán podczas konferencji prasowej w Brukseli, 19 grudnia 2024 r.
FOT. AA/ABACA/EAST NEWS

Węgry to ludnościowo i terytorialnie nieduże państwo, ale działalność ich wieloletniego premiera, Viktora Orbána, wzbudza w Europie gorące emocje polityczne. Chodzi również o spory tego polityka z amerykańskim multimiliarderem George'em Sorosem. Węgierski politolog Gábor G. Fodor uważa, że w sporach tych ogniskują się wewnętrzne konflikty Zachodu. Dlaczego tak jest, wyjaśnia w swojej książce „Orbán kontra Soros" (na Węgrzech wydanej w roku 2024).

Fodor nie kryje swojego politycznego zaangażowania. To dyrektor strategiczny think tanku Instytut XX Wieku w Budapeszcie. Instytucja ta jest związana z obozem władzy na Węgrzech. Tak więc z tym, co napisał Fodor, warto się zapoznać, choć trzeba to czytać krytycznie i ostrożnie.

STRASZENIE STARYMI DEMONAMI

Książka zaczyna się od przypomnienia tego, jak w roku 2017 Węgry zostały pokryte i oblepione billboardami przedstawiającymi starszego pana z napisem: „Nie pozwólmy, by Soros śmiał się ostatni!". Było to preludium do kampanii przed wyborami parlamentarnymi, które odbyły się w tym kraju w roku 2018. Soros poparł w nich „demokratyczną" opozycję. O akcji billboardowej głośno było poza Węgrami. Lewicowe i liberalne media w tym kraju i poza nim podniosły krzyk, że to przejaw odradzającego się na Węgrzech antysemityzmu. Ponadto postponowanie Sorosa było porównywane do seansów nienawiści wobec Emmanuela Goldsteina w powieści George'a Orwella „Rok 1984".

Liczący dziś 95 lat George Soros jest bowiem Amerykaninem żydowskiego pochodzenia. Ale zanim został obywatelem USA, był Węgrem, który jako zaledwie 17-latek w drugiej połowie lat 40. udał się na Zachód. Fodor twierdzi, że tak dokładnie to nie wiadomo, jak się przyszły inwestor giełdowy wzbogacił. W każdym razie zaczynał w bankowości. Wspinał się po kolejnych szczeblach kariery, by zostać potentatem finansowym.

Gdy w ósmej dekadzie XX w. „socjalizm gulaszowy" chylił się ku upadkowi, Soros zainteresował się sytuacją w swojej ojczyźnie. Węgrzy mieli dość spadającego poziomu życia. A ich zbiorową wyobraźnię rozpalały coraz bardziej zachodnie wzorce konsumpcyjne.

W połowie lat 80. Soros podjął inicjatywy mające na celu budowę na Węgrzech „społeczeństwa otwartego". To kluczowe pojęcie w koncepcji Karla Poppera. Ten austriacki filozof mieszkał w Wielkiej Brytanii i Soros w młodości uczęszczał na jego wykłady. Myśl Poppera można streścić następująco: „społeczeństwo otwarte" to takie, w którym występuje prymat praw jednostki nad interesami zbiorowości.

Z początku Soros ruszył z programem stypendialnym. I tu, według Fodora, mamy do czynienia z kolejną nierozwikłaną zagadką: Jak to możliwe, że sprawujący na Węgrzech władzę dyktatorską komuniści zgodzili się na aktywność fundacji powołanej przez biznesmena kojarzonego z elitami politycznymi Zachodu?

Tak oto dochodzimy do ważnej sprawy: u zmierzchu lat 80. zaczęły się w węgierskiej polityce kształtować nowe podziały. Komuniści już planowali się przedzierzgnąć w „demokratycznych" socjalistów. Soros zaś był zdania, że komunizm staje się bezpowrotną przeszłością i nad Dunajem pojawiły się nowe zagrożenia, ponieważ zostały obudzone stare demony: nacjonalizm, rasizm, antysemityzm, faszyzm (cokolwiek te terminy znaczą). Czytając o tym z polskiej perspektywy, aż ciśnie się na usta pytanie: Skąd my to znamy?

Ideologiczny przekaz Sorosa był skierowany do węgierskiej inteligencji. Natomiast węgierski lud nie zawracał sobie głowy takimi sprawami. Jego trzeba było kupić bajką o szlachetnym filantropie. Opiera się ona zresztą na prawdzie. Filantropia Sorosa to fakt. Służy mu ona jako wizerunkowa zbroja. Trudno bowiem zadawać ciosy komuś, kto słynie z tego, że pomaga ludziom. Nawet jeśli jest to

eprasa.pl 0f0a3f5071

jednocześnie spekulant giełdowy, który doprowadzał do turbulencji walutowych bijących po kieszeniach zwykłych zjadaczy chleba.

W roku 1990 na Węgrzech odbyły się pierwsze wolne wybory parlamentarne. Wygrała je konserwatywno-chadecka formacja Węgierskie Forum Demokratyczne (MFD), która zaczynała swoją działalność w roku 1987 jako niezależny ruch społeczny. To ona utworzyła rząd z dwiema mniejszymi partiami. Na jego czele stanął József Antall, lider MFD. Soros chciał dla realizacji swoich planów go pozyskać, lecz ten się mu oparł. Oponentami Węgierskiego Forum Demokratycznego w nowej układance byli dawni komuniści, ale nie tylko. Dołączyli do nich politycy Związku Wolnych Demokratów (SzDSz) – wywodzącego się ze środowisk dysydenckich ugrupowania liberalnego. W roku 1994, w kolejnych wyborach, te dwie siły polityczne uzyskały razem większość w parlamencie i dzięki temu mogły stworzyć wspólny rząd. Cieszyły się one poparciem Sorosa, ponieważ ich kurs wpisywał się w jego agendę światopoglądową, choć – jak uważa Fodor – i z nimi ciężko mu się robiło interesy. Na Węgrzech udało się wtedy osiągnąć coś, o co w warunkach polskich apelowano na łamach „Gazety Wyborczej". Chodziło o zawarcie porozumienia między dawnymi komunistami a tą częścią byłych antykomunistycznych dysydentów, która opowiadała się za progresywnymi zmianami w duchu przesłania Sorosa – przeciw prawicy.

Viktor Orbán nie odgrywał jeszcze wtedy w węgierskiej polityce tej roli, która mu przypadła później. Był liderem Fideszu. Ta, wówczas liberalna, formacja młodego pokolenia, w odróżnieniu od SzDSz, nie chciała paktować z dawnymi komunistami. Po raz pierwszy Orbán dał mocno o sobie znać publicznie w roku 1989 w Budapeszcie. Świeżo upieczony prawnik wystąpił z odezwą do władz sowieckich, aby wycofały z jego kraju swoje wojska. Działo się to podczas symbolicznego pogrzebu Imre Nagya – premiera Węgier, który w roku 1956 postawił się Związkowi Sowieckiemu i został za to zamordowany przez wiernych Kremlowi węgierskich komunistów.

Soros pokładał w Orbánie nadzieję. Liczył na to, że przywódca Fideszu, w odróżnieniu od Antalla, pójdzie tą samą drogą, co „demokratyczni" socjaliści i SzDSz. Dlatego na Orbána i jego ugrupowanie łożył pieniądze. Ale dla lidera Fideszu priorytetem była zawsze suwerenność – nie tylko w sensie politycznym, lecz także osobistym. Dlatego można powiedzieć, że to, co mu Soros dawał, brał, ale nie kwitował. Oddalanie się zaś Orbána od swojego mecenasa pokrywało się z ewolucją polityczną węgierskiego polityka, która oznaczała odejście od liberalizmu.

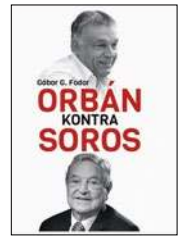
POLAK, WĘGIER – ŻYWOTY RÓWNOLEGŁE

Tu warto poczynić dygresję: przykładanie ogromnej wagi do suwerenności politycznej i osobistej poniekąd różni Orbána od starszego od niego tylko o sześć lat Donalda Tuska. Obydwaj politycy długo byli razem w jednej międzynarodowej rodzinie politycznej – Europejskiej Partii Ludowej (EPP). Niegdyś Tusk podejmował próby zbudowania formacji liberalnej, która wyzbyta etosu progresywnej inteligencji byłaby bliska przeciętnym Polakom i niezależna od warszawsko-krakowskich salonów (z tego powodu przecież przyszły szef polskiego rządu politycznie rozszedł się z Bronisławem Geremkiem i w roku 2000 opuścił Unię Wolności). Gdyby w roku 2005 Platforma Obywatelska zawarła trwałą koalicję z Prawem i Sprawiedliwością, to ów byt miałby szansę się stać – przy wszystkich zastrzeżeniach dotyczących specyfiki nadwiślańskiej polityki – polskim odpowiednikiem Fideszu. Tusk jednak – inaczej niż Orbán – wybrał poklask ze strony zagranicy. Poszedł tą drogą, którą politykom z Europy Środkowej i Wschodniej wskazuje George Soros. W efekcie Orbán opuścił EPP, a Tusk w niej pozostał. Był to sprawdzian na prowadzenie suwerennej polityki. Zdał go Węgier.

Gábor G. Fodor, kreśląc obraz walki politycznej Orbána z Sorosem, porównuje ją do pojedynku Dawida z Goliatem. Ten nierówny pojedynek to zarazem rywalizacja o rząd dusz na Węgrzech. Fodor przedstawia ją jako konflikt patrioty z kosmopolitą, konserwatysty z progresistą: kiedy Soros chce Węgrom narzucić swoje stanowisko w takich kwestiach, jak imigracja czy genderyzm, Orbán twardo się temu sprzeciwia.

Zdaniem Fodora, antagonizująca ich polaryzacja jest także widoczna w tym, jak podchodzą oni do rosyjskiej „specoperacji wojskowej". Autor książki upatruje w Sorosie wojennego jastrzębia, któremu zależy na tym, żeby Ukraina znalazła się w strefie wpływów Zachodu, bo wtedy amerykański biznesmen będzie mógł w tym państwie wdrażać swoje projekty. Natomiast Orbána Fodor portretuje jako gołębia pokoju. A winą za wojnę obarcza Zachód, twierdzi, że Rosja została do ataku sprowokowana, ponieważ podjęto kroki w kierunku wciągnięcia Ukrainy do NATO. Tym samym Fodor zdejmuje z Kremla ciężar odpowiedzialności za wywołanie wojny.

Rzecz jasna, te wywody węgierskiego politologa wpisują się w propagandę Władimira Putina. I na tym można byłoby poprzestać, gdyby nie jedno „ale". Orbán często ze zrozumiałych względów jest w Europie oskarżany o sprzyjanie Putinowi – m.in. dlatego że optuje za tym, żeby Ukraina dla zawarcia pokoju z Rosją poczyniła na jej rzecz ustępstwa. I oczywiście Kremlowi w to graj. Tyle że zarazem polityka wschodnia premiera Węgier świadczy o tym, że wykazuje się on niezależnością i samodzielnością. Można postawić tezę, że to głównie z tej przyczyny dostaje mu się od polityków z mainstreamu Unii Europejskiej. Chcieliby oni, żeby zachowywał się on wobec nich ulegle. Tak więc działania Orbána wobec Rosji i Ukrainy to tylko pretekst do tego, żeby w niego bić, bo sedno sprawy stanowi jego polityczna i osobista suwerenność.



GÁBOR G. FODOR „ORBÁN KONTRA SOROS. TRZY ROZDZIAŁY O CZTERECH DEKADACH WALKI ORBÁNA I SOROSA" WYDAWNICTWO VON BOROWIECKY, RADZYMIN-WARSZAWA 2025

Na koniec warto odnieść się do żydowskich korzeni Sorosa. Fodor sugeruje, że w oczach Orbána nie mają one znaczenia, ponieważ dla niego amerykański inwestor giełdowy jest przede wszystkim Węgrem. Skądinąd szef węgierskiego rządu różni się z Sorosem, również jeśli chodzi o stosunek do Izraela. O ile bowiem nacjonalistyczna polityka tego państwa wzbudza w Orbánie szacunek, o tyle w Sorosie – awersję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071

Bóg i konstytucja



Paweł Chmielewski

Prezydent Karol Nawrocki chce zmienić konstytucję. To potrzebne z wielu powodów, m.in. ze względu na zbyt słabe odniesienie do Boga w ustawie zasadniczej z roku 1997



FOT. PIOTR NOWAK/PAP

O swoich nadziejach w tym względzie Karol Nawrocki mówił jeszcze w czasie kampanii wyborczej, a po zaprzysiężeniu zadeklarował konkrety. Jesienią tego roku rozpoczyna pracę specjalna rada, która ma zająć się projektem nowej konstytucji. Jako właściwy czas dla jej przyjęcia wskazał rok 2030. Chciałby m.in. zmienić ustrój na bliższy prezydenckiemu i wprowadzić wiele istotnych zmian w funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości. Problemy ostatnich niemal 30 lat, zintensyfikowane po roku 2010, bezspornie dowodzą konieczności wprowadzenia istotnych modyfikacji, z czym zgodzi się chyba nie tylko prawica. Dyskusje o szczegółowych rozwiązaniach będą toczyć się najpewniej bardzo długo, i to z wielką intensywnością. Chciałbym zwrócić uwagę na niezwykle istotny element, o którym jak dotąd jeszcze się nie rozmawia, a który bez cienia wątpliwości będzie mocno rozgrzewać opinię publiczną. Chodzi o miejsce Pana Boga w zasadniczej ustawie Polaków.

DOKUMENT AGNOSTYCZNY

W konstytucji PRL z 1952 r. o Bogu nie było ani słowa. Materialistyczny system sowiecki funkcjonował w paradygmacie doczesnym – nie uznawał istnienia żadnej transcendencji. Po 1989 r. było dość oczywiste, że w nowym najwyższym akcie prawnym to musi się zmienić. Przyjęto jednak rozwiązanie kompromisowe, które w gruncie rzeczy sprowadza Boga do sfery prywatnej. „My, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i niepodzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł…”. Z tego ujęcia wynika bardzo jasno, że „nad narodem” jako takim – a w konsekwencji również nad państwem – Bóg bynajmniej nie panuje, tylko jakaś część mieszkańców Rzeczypospolitej – prywatnie – w Niego wierzy i od Niego wyprowadza prawidła życia. Inni robią, jak im się podoba. W dalszych artykułach czytamy, że naród ustanawia konstytucję „w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem lub przed własnym sumieniem”, co jest zastosowaniem dokładnie tej samej relatywistycznej zasady prywatyzującej Boga.

W ustawie zasadniczej nie ma nawet dobitnego odwołania do chrześcijaństwa. Mamy być jedynie „wdzięczni naszym przodkom… za kulturę zakorzenioną w chrześcijańskim dziedzictwie Narodu i ogólnoludzkich wartościach”. Chrześcijaństwo nie jest zatem żadnym faktycznym wyznacznikiem dla prawa, a jedynie jakimś pośrednim elementem współkształtującym polskość, na równi z enigmatycznymi „wartościami ogólnoludzkimi”. Wszystko to nie sprawia może, że Rzeczpospolita jest republiką laicką, jak choćby Francja, ale nie pozwala też na jasną definicję Polski jako kraju katolickiego czy po prostu teistycznego – a zatem takiego, w którym istnienie Boga i Jego praw jest poza dyskusją. Konstytucja z 1997 r. jest dokumentem w sumie agnostycznym: może Bóg jest, a może Go wcale nie ma.

„BOŻE, BŁOGOSŁAW WĘGRÓW”

Ten ustrojowy agnostycyzm nie jest wcale powszechnym demokratycznym modelem. W pewnym sensie bardziej nakierowana na Boga jest nawet niemiecka ustawa zasadnicza. Zaczyna się słowami: „Mając świadomość swojej odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi, […] Naród Niemiecki mocą swojej władzy ustrojodawczej…”. Nie ma zatem u Niemców konstytucyjnej wątpliwości co do istnienia Boga – Bóg zostaje podany jako fakt. Jeszcze lepiej wyra-

eprasa.pl 0f0a3f5071

zili to Węgrzy w konstytucji przyjętej w 2011 r. Pierwsze słowa ich ustawy zasadniczej brzmią: „Boże, błogosław Węgrów". Madziarzy piszą też o swojej odpowiedzialności „przed Bogiem i ludźmi", wyrażają „uznanie" dla „roli chrześcijaństwa w przetrwaniu narodu" i są „dumni" z uczynienia Węgier „częścią chrześcijańskiej Europy" przez Świętego Króla Stefana.

Z kolei konstytucja Irlandii obowiązująca od 1937 r. zaczyna się słowami: „W imię Trójcy Przenajświętszej, od Której pochodzi wszelka władza i do Której muszą być skierowane – jako cel ostateczny – wszelkie ludzkie uczynki i działania państwowe", a następnie uznaje też obowiązki Irlandczyków „wobec naszego Świętego Pana, Jezusa Chrystusa". Swoją drogą, dziś nie czują się już związani nawet własną konstytucją, ale historia upadku kulturowego Irlandii to zupełnie osobna sprawa.

Przykładów na jasną obecność Boga w konstytucjach można byłoby wskazywać jeszcze więcej, ale najlepiej będzie sięgnąć do polskiej tradycji. Byłoby dobrze, gdybyśmy przygotowując się do przyjęcia nowej ustawy zasadniczej, oparli się przede wszystkim na własnym dorobku kulturowym, a nie patrzyli tylko na inne wzorce. Model, którym powinniśmy się kierować, jest w tym ujęciu dość jednoznaczny. Konstytucja 3 maja zostaje uchwalona „w imię Boga w Trójcy Świętej Jedynego", a ponadto definiuje „wiarę świętą rzymską katolicką" jako „religię narodową panującą". Konstytucja marcowa z 1921 r. rozpoczyna się słowami: „W imię Boga Wszechmogącego". Mniej wyrazista jest pod tym względem konstytucja kwietniowa – notabene z racji na silną pozycję prezydenta pewnie szczególnie interesująca dla Karola Nawrockiego, jednak nawet ten dokument definiuje odpowiedzialność głowy państwa właśnie „wobec Boga" oraz zobowiązuje go do złożenia przysięgi Bogu w Trójcy Jedynemu, odwołując się też do Męki Jezusa Chrystusa.

ŻONGLERKA DEFINICJAMI

Wielu ludziom te rozważania mogą się wydawać jałowe albo nawet niebezpieczne. Jałowe, bo – twierdzi się – Bóg to kwestia przebrzmiała, w gruncie rzeczy bez znaczenia dla życia narodowego. Niebezpieczne, bo podstawą powinien być dla wszystkich liberalny relatywizm, a nie odwołania do religii, którą nie wszyscy przecież wyznają. Oba zarzuty są głęboko nietrafne. Po pierwsze, obecność Boga w konstytucji ma niebagatelne znaczenie. Wystarczy spojrzeć na ostre spory, które rozdzierają dziś polskie życie polityczne. W ostatnich miesiącach nieustannie kłócimy się o kształt edukacji: Czy państwo może prezentować w szkołach treści wyraźnie niezgodne z chrześcijaństwem, np. genderową wizję seksualności? Czy wolno dyskryminować lekcje religii, np. zmniejszając arbitralnie liczbę godzin lekcyjnych albo pozwalając na łączenie kilku klas w jedną grupę? Gdyby polska konstytucja dobitniej odnosiła się do Boga i katolickiego dziedzictwa, takie próby, nawet jeżeli nadal możliwe, byłyby dalece trudniejsze. Spornymi kwestiami pozostają też ochrona życia dzieci poczętych czy charakter małżeństwa. Wprawdzie konstytucja gwarantuje każdemu prawo do życia, a małżeństwo obejmuje szczególną ochroną. Nie jest to jednak wystarczające, skoro współcześnie zaciera się często znaczenia wielu podstawowych słów. Niby wiadomo, co to znaczy „życie ludzkie" albo „małżeństwo", ale część lewicy, powołując się na sekularną etykę, odmawia niektórym ludziom człowieczeństwa, a terminem „małżeństwo" chce opisywać również jakieś dziwaczne konfiguracje związków. Osadzenie tych pojęć w konstytucji powinno być ściślej związane z katolicyzmem (nie chrześcijaństwem; właśnie z katolicyzmem) – tak by nie pozostawiać większego pola do sofistycznej żonglerki definicjami.

W silniejszym otwarciu konstytucji na obecność Boga nie ma nic niebezpiecznego ani nietolerancyjnego

Pamiętajmy też o nowych technologiach, które stawiają pod znakiem zapytania godność ludzką – procedura in vitro, surogacja, sztuczna inteligencja. Żeby polskie prawo w skuteczny sposób mogło chronić tę godność, potrzebne jest jej dookreślenie. Obecnie sprawa jest otwarta: konstytucja pozwala wywodzić wartości „od Boga" albo „z innych źródeł", co oznacza zarazem wszystko i nic. Każdy może więc definiować godność ludzką, jak mu się uwidzi. Gdyby ustawę zasadniczą silniej umocować w kulturze katolickiej, argumentacja na rzecz bezwzględnej ochrony tej godności, rozumianej bez żadnych zawężeń, byłaby znacznie łatwiejsza.

W silniejszym otwarciu konstytucji na obecność Boga nie ma też nic niebezpiecznego ani nietolerancyjnego, co powinno być oczywistością nawet dla polskich liberałów czy części bardziej racjonalnej lewicy. Polska tradycja katolicka cechuje się dużą ustępliwością względem niewierzących. Część integrystycznych katolików uważa nawet, że zbyt wielką, ale to kwestia odrębna i dziś raczej bezprzedmiotowa – historyczna tolerancja innowierców w Polsce jest faktem. Nie ma zatem praktycznej możliwości, by nawet jednoznaczne i dobitne związanie nowej konstytucji z aksjologią katolicką stało się źródłem jakichkolwiek problemów czy trudności dla niewierzących. Przeciwnie. Może przynieść im wyłącznie pożytek, a to z przyczyn, o których pisałem wyżej – zagrożenia dla uszanowania życia ludzkiego są dziś coraz poważniejsze. Owszem, jest całkiem jasne, że wyraziste zakotwiczenie wiary w Boga w konstytucji może wpłynąć na ograniczenie swobody uśmiercania dzieci albo uchwalania przywilejów dla tzw. mniejszości seksualnych. Sądzę jednak, że w obliczu bezprecedensowej katastrofy demograficznej możemy jako Polacy zgodzić się, iż poszerzanie prawa do aborcji czy zawierania związków jednopłciowych nie powinno być dziś narodowym priorytetem.

Ci, którzy będą decydować o kształcie projektu nowej konstytucji, powinni z pełnym przekonaniem opowiedzieć się na rzecz zapisów stawiających nasz naród „wobec" Boga i katolickiego porządku moralnego. Nie francuski laicyzm czy amerykański liberalizm, ale polska tradycja cywilizacyjna powinna być dla nas wiecznie zobowiązującym modelem budowania życia politycznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

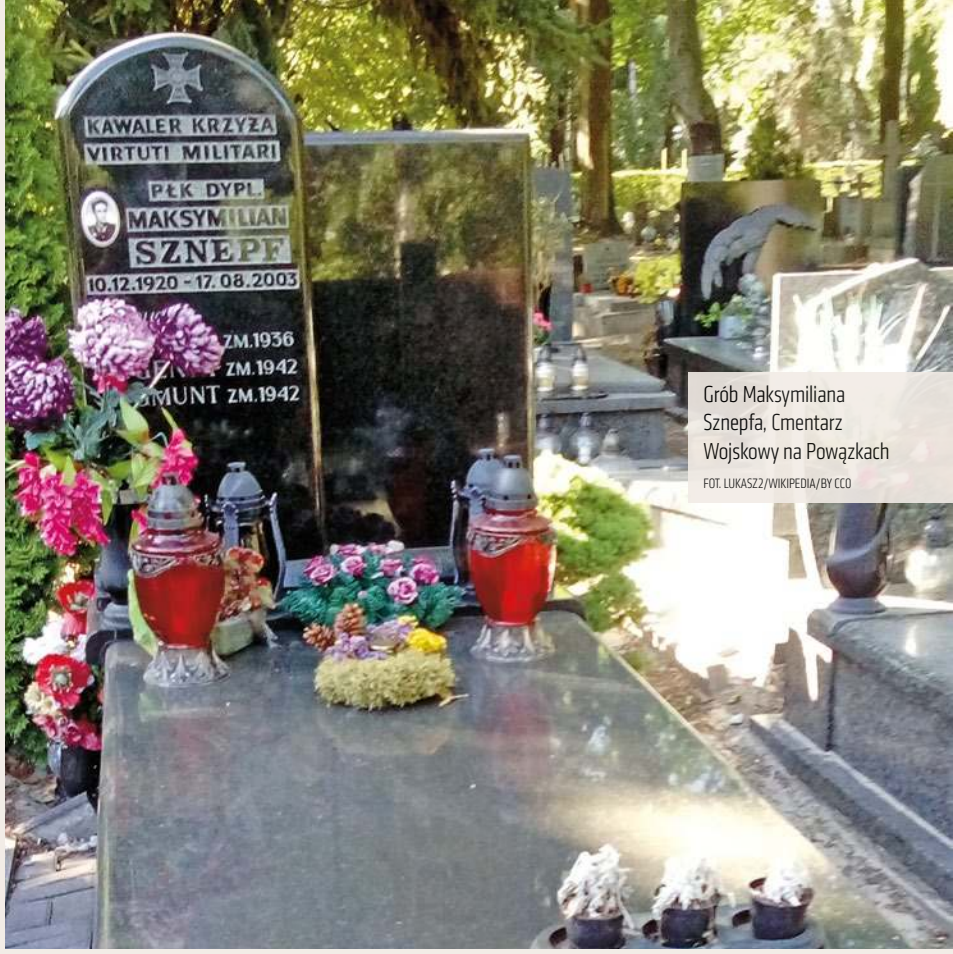
Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 0f0a3f5071



Maciej Korkuć

Musimy pamiętać, że odbieranie komunistycznych nadań byłoby równoznaczne z uznaniem – w imieniu wolnej Polski – ich prawnej skuteczności



Grób Maksymiliana Sznepfa, Cmentarz Wojskowy na Powązkach

FOT. ŁUKASZ2/WIKIPEDIA/BY CCO

Zawłaszczone Virtuti Militari

Na grobie Maksymiliana Sznepfa z czarnego granitu jest umieszczony wielki napis „Kawaler Krzyża Virtuti Militari". Wyżej jest wypiaskowany niby-wizerunek tego orderu. Dopiero pod tym stopień z LWP, imię i nazwisko, fotografia i daty. Nie będę wchodził tutaj w detale medialnej połajanki między Krzysztofem Stanowskim a Dorotą Wysocką-Schnepf, tytułowaną przez niego „arcykapłanką propagandy". Sama zainteresowana, pudrując biografię swojego teścia, sięgnęła po ten argument: Sznepf był „Kawalerem Krzyża Virtuti Militari".

Ważniejsze jest pytanie: Czy Sznepf naprawdę był Kawalerem Krzyża Virtuti Militari, najważniejszego orderu wojennego nadawanego w imieniu odrodzonej w 1918 r. Rzeczypospolitej Polskiej? Nie. Bo nikt z uprawnionych przez organy niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej mu takiego orderu nie przyznał. Natomiast coś tam mu przyznali komuniści. Tylko co?

I tutaj dotykamy podstawowego problemu, w odniesieniu do którego III Rzeczpospolita nie odrobiła (jeszcze) lekcji. Nigdy nie zajęto się bowiem problemem wyraźnego oddzielenia zaszczytnych nadań Virtuti Militari, Orderu Odrodzenia Polski, Krzyża Walecznych, które zostały dokonane przez uprawnione ciała powołane w imieniu Niepodległej Polski (w okresie międzywojennym i potem – w czasie wojny na uchodźstwie i w podziemiu), od tych, które były pod tymi samymi nazwami wręczane przez ludzi Józefa Stalina, sowieckie i komunistyczne struktury działające z nadania Moskwy.

Owszem, komuniści, którym Stalin stworzył alternatywne państwo, dał władzę nad Polakami i ochronę sowieckich bagnetów, mieli swoje bandyckie prawo ustanawiać własne odznaczenia, pozorując ich „zaszczytny" charakter. Posiadali swój „Krzyż Grunwaldu" ustanawiany kilkakrotnie, za każdym razem jakby go jeszcze nie było, chociaż już był nadawany. Później mieli własny Order Budowniczych Polski Ludowej itp. Ich sprawa.

Jednak problem się nieco gmatwa ludziom tam, gdzie sięgnęli bezprawnie, ale celowo po nazwy prawdziwych polskich orderów i odznaczeń. Tych znanych z wolnej Polski i z walk o niepodległość. A przecież prawa do nadawania orderów i odznaczeń w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej – tej, której odrodzenie w 1918 r. świętujemy każdego 11 listopada – nie mieli. Takich upoważnień ludzie Bolesława Bieruta nie uzyskali ani od prawowitych władz RP, ani też od społeczeństwa, które nigdy nie usankcjonowało władzy komunistów, bo ci do żadnych wolnych wyborów przed 1989 r. nie dopuścili. Podobnie ci sami komuniści mogliby nadawać Legię Honorową zamiast Francji czy Medal of Honor zamiast USA. Nigdy nie uzyskali takich upoważnień.

To ważne. Bo ja z kolegami również mogę ogłosić, że nadajemy mojemu sąsiadowi „Krzyż Virtuti Militari". Czy Polska zaliczy sąsiada do grona Kawalerów tego orderu? Albo gdyby Władimir Putin stwierdził, że jeden z jego generałów, np. Siergiej Szojgu, będzie od dzisiaj

eprasa.pl 0f0a3f5071

nadawał „Krzyż Virtuti Militari", to też byśmy tak „odznaczonych" dołączyli do grona Kawalerów najważniejszego polskiego odznaczenia wojennego?

CYRK SOWIECKI

A przecież dokładnie taki był początek komunistycznych, bezprawnych nadań tego orderu w ZSRS. Zaczęło się bowiem od propagandowego cyrku Zygmunta Berlinga. Zdrajca, dezerter, zdegradowany były podpułkownik WP, mianowany przez Stalina generałem, zapewne za zgodą Sowietów sam sobie „przyznał prawo" nadawania „Virtuti Militari". Piszę tę nazwę w cudzysłowie, bo przecież sowiecki generał, a tym bardziej polski zdrajca, nie miał prawa do nadawania prawdziwego Virtuti Militari.

Ale był pod skrzydłami Stalina. Potrzeba propagandowa była, więc i „Virtuti Militari", i „Krzyż Walecznych" (cudzysłowy wciąż zasadne) Berling zaczął nadawać. Oto po bitwie pod Lenino, 11 listopada (a jakże!) 1943 r. ogłosił rozkaz nr 3, w którym samozwańczo uczynił samego siebie dysponentem tych odznaczeń. Szesnastu podkomendnym „nadał" krzyże srebrne „Orderu Virtuti Militari" a czterdziestu sześciu – „Krzyż Walecznych".

Rzeczpospolita Polska, prezydent Władysław Raczkiewicz ani Naczelny Wódz nie byli pytani o zgodę, nie mogli nic zrobić. Związek Sowiecki zerwał stosunki międzypaństwowe z Polską. I Moskwa robiła, co chciała.

Po lipcu 1944 r. nastała nowa sytuacja. Komuniści otrzymali od Stalina marionetkową administrację nad częścią ziem polskich pod szyldem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Berling już był odsunięty w cień innego człowieka Stalina – również zdegradowanego oficera WP Michała Żymierskiego. W czasie, kiedy władze Rzeczypospolitej Polskiej szarpały się o nasze prawa do niepodległości, PKWN, uznany zasadniczo jedynie przez Moskwę, pozorował działalność niezależnej władzy „powołanej przez Krajową Radę Narodową".

Jeszcze w 1944 r. dostrzeżono potrzebę uporządkowania spraw orderów i odznaczeń, które komuniści wręczali wcześniej – tak po prostu. 22 grudnia 1944 r. ogłoszono dekret PKWN „o orderach, odznaczeniach oraz medalach", a także – dzień później – dekret PKWN „o trybie nadawania orderów, odznaczeń wojskowych oraz medali".

Komuniści sięgnęli bezprawnie, ale celowo po nazwy prawdziwych polskich orderów i odznaczeń

Dekret z 22 grudnia 1944 r. określił zestaw orderów i odznaczeń aktualnych w nowym, budowanym przez komunistów państwie. W jego myśl PKWN przywłaszczał sobie „prawo" nadawania „Virtuti Militari", „Orderu Orła Białego", „Orderu Odrodzenia Polski", „Krzyża Walecznych", „Krzyża Zasługi" (cudzysłowy zasadne). Do nich dodawał jeszcze dwa swoje (Krzyż Grunwaldu i medal „Zasłużonym na Polu Chwały") – to ich sprawa. Co ciekawe, ogłosili, że Krzyż Grunwaldu jest równy temu ich „Virtuti Militari". W ogóle kompetencje nadawania najwyższych odznaczeń przypisali „Prezydium Krajowej Rady Narodowej". Edward Osóbka i Żymierski mogli składać wnioski w tej sprawie.

W dekrecie PKWN ogłosił, że z dniem wejścia w życie tych przepisów „tracą moc obowiązującą" przepisy ustaw Rzeczypospolitej Polskiej „sprzeczne z tym dekretem". Kto im dał takie prawo? Stalin. Innego źródła tej władzy nie było.

Takie „ordery" i „odznaczenia" nadawali komuniści w 1945 r. i później. Z jednej strony za pomocą przejętych nazw pozorowali, że to prawdziwe polskie ordery i odznaczenia. Z drugiej trochę skorygowali przywłaszczone sobie wzory graficzne. Ten ich „Virtuti Militari" (przyznany przez komunistów również Sznepfowi) miał mieć orła bez korony, berła i jabłka. W wersji dla „Krzyża Wielkiego" i „Komandorskiego" zlikwidowano też koronę nad krzyżem. Ich komunistyczny „Krzyż Walecznych" też miał orła już bez korony, natomiast nielubianą na Kremlu datę „1920" zastąpiono datą utworzenia PKWN: „1944". Podobnie majstrowano też przy zawłaszczonym wzorze graficznym „Orderu Odrodzenia Polski" (orzeł bez korony i „1944" zamiast „1918"). Takie własne ordery i odznaczenia nadawali do końca PRL.



NIBY-ORDERY

Dekrety PKWN po latach zaktualizowano i uporządkowano w ustawie o orderach i odznaczeniach z 17 lutego 1960 r. Tam podkreślono, że „ordery i odznaczenia nadaje się w uznaniu zasług położonych w dziedzinie gospodarczego, kulturalnego i społecznego rozwoju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, umacniania władzy ludowej i obronności Państwa". Nigdy nienadany przez komunistów Order Orła Białego zniknął. A ten ich „niby-Virtuti Militari" i „niby-Krzyż Walecznych" zostały.

Jeśli chodzi o nadania, to komuniści zrobili trochę jak car Mikołaj I po stłumieniu powstania listopadowego. Te nasze prawdziwe Virtuti Militari (przyznawane przez władze powstańcze) zamienił we własny, graficznie nieco skorygowany, ale podobny order przyznawany pod nazwą „Polska Odznaka Zaszczytna za Zasługi Wojenne". I car wręczał go przede wszystkim zasłużonym dla stłumienia polskiego odruchu wolności.

Teraz więc osadzeni przez Moskwę ludzie Stalina, jako Prezydium KRN, dekorowali innych ludzi Stalina: m.in. sowieckiego nadzorcę PKWN Nikołaja Bułganina, oczywiście Żymierskiego, a także np. gen. Iwana Sierowa, wsławionego podstępnym porwaniem przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Również wielu innych sowieckich generałów i marszałków: dowódcę wojsk Układu Warszawskiego Andrieja Greczkę, Iwana Koniewa, Georgija Żukowa, Konstantego Rokossowskiego i wielu innych. Pośmiertnie załapał się Karol Świerczewski. Od komunistów to ich „Virtuti"

eprasa.pl 0f0a3f5071



Zdjęcie Maksymiliana Sznepfa z Centralnego Archiwum Wojskowego, 1960 r. FOT. CAW

dostali nawet brytyjski marszałek Bernard Montgomery i czechosłowacki gen. Ludvík Svoboda oraz jeszcze będący w łaskach Stalina komunistyczny dyktator Jugosławii Josip Broz-Tito. Wersją „komandorską" odznaczono wiele osób, w tym sowieckiego gen. Stanisława Popławskiego skierowanego do LWP, w 1956 r. niechlubnie wsławionego krwawą pacyfikacją powstania poznańskiego.

Ogółem w latach 1943–1983 komuniści przyznali 5167 tych swoich „Virtuti Militari". Z czasem lansowanie nowych, już prawdziwie komunistycznych orderów – „socjalistycznych w treści" – odsunęło w cień to ich – pożal się Boże – „Virtuti Militari". Jednak do nadań powrócono w ramach „unaradawiania" PRL w 1957 r. Przy tym bez oporów Gierek w 1974 r. zorganizował ceremoniał wręczenia tego ich „Virtuti Militari" swemu mocodawcy – Leonidowi Breżniewowi.

Jednak przypomnijmy pytanie: Czy Breżniew został w ten sposób odznaczony prawdziwym Virtuti Militari? No nie! Skąd szef komunistycznej partii miałby mieć prawo do nadawania prawdziwych odznaczeń w imieniu odrodzonej w 1918 r. Rzeczypospolitej Polskiej? Gierek mógłby Breżniewowi dawać swoje ordery Budowniczego Polski Ludowej, a nie nasze, polskie, niepodległościowe.

ODDZIELIĆ NASZE OD CUDZYCH

Niektórzy dzisiaj odruchowo mówią: odebrać temu, odebrać tamtemu. To droga donikąd. Czy prezydent RP miałby oficjalnie odebrać order „Virtuti Militari" przyznany przez moich kolegów mojemu sąsiadowi? Przecież nawet tym aktem potwierdziłby „prawną skuteczność" takiego nadania Virtuti Militari. To nonsens. Wyobraźmy sobie, że dzisiaj upoważniony przez Putina gen. Szojgu nadaje „Virtuti Militari" polskim politykom i ministrom z Lewicy. Za to chociażby, że wciąż organizują – mimo wojny – coroczne obchody ku czci sowieckich i komunistycznych dywersantów Moczara pod Ewiną i Gruszką. Za to, że jeszcze w 2021 r. robili to u boku mundurowych przedstawicieli Rosji i Białorusi. Prezydent, odbierając, potwierdziłby, że owe „nadania" miały skuteczność prawną.

Wojciech Jaruzelski w swoim czasie ogłosił, że odbiera Breżniewowi pośmiertnie ten ich komunistyczny order nadany pod skradzioną nazwą. Dla Jaruzelskiego, jako słabnącego ostatniego prezydenta PRL, była to kwestia poszukiwania poklasku. To ich wewnątrzkomunistyczne sprawy. Oni takie „coś" przyznali. I oni takie „coś" odebrali. Ważne, żeby tego nie mieszać z prawdziwym Virtuti Militari.

Wolna Polska powinna podejść do sprawy z całkowitą powagą – jak przystało w odniesieniu do naprawdę najzaszczytniejszego naszego wojennego orderu. Musimy pamiętać, że odbieranie komunistycznych nadań byłoby równoznaczne z uznaniem – w imieniu wolnej Polski – ich prawnej skuteczności. Zarazem trzeba pamiętać, że komuniści te swoje „krzyże" nadawali starym bolszewikom i zbrodniarzom z NKWD za niszczenie Polski, a także zwykłym żołnierzom, gdzieś z Wału Pomorskiego czy spod Budziszyna za różne czyny. Dzisiaj nie jesteśmy w stanie oddzielić plew od ziaren w każdym takim przypadku. Po co odbierać to, co dało państwo komunistyczne? Wystarczy nazwać rzeczy po imieniu. I oddzielić od siebie. To, co po 1918 r. nadała niepodległa Rzeczpospolita Polska, od tego, co dali ludzie Stalina, Breżniewa i innych genseków.

„Virtuti Militari", przyznany przez komunistów Sznepfowi, miał mieć orła bez korony, berła i jabłka

Należy przyjąć raz na zawsze akt prawny precyzujący, że w odniesieniu do orderów i odznaczeń niepodległej Polski, ustanowionych po odrodzeniu Rzeczypospolitej w 1918 r., w skład polskiego systemu orderowego wchodzą te Virtuti Militari, Krzyże Walecznych czy ordery cywilne, które zostały nadane przez organy uprawnione i działające w imieniu niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej. Natomiast nie wchodzą w skład polskiego systemu orderowego ordery i odznaczenia nadawane przez organy działające z upoważnienia obcych państw od roku 1943 oraz nadawane przez organy działające w imieniu niesuwerennego państwa w latach 1944–1990, nawet jeśli bezprawnie używali nazw tychże odznaczeń. Oddzielić więc należy wyraźnie to, co sami sobie komuniści prawem kaduka nazywali „Virtuti Militari", „Krzyżami Walecznych" czy „Orderami Odrodzenia Polski", to, co nadawali z orłami bez koron i datami powstania PKWN, od prawdziwych orderów i odznaczeń suwerennej Polski. Oddzielić prawdziwe Krzyże Zasługi RP od tych komunistycznych „Krzyży Zasługi PRL".

Cezurą końcową powinien być 22 grudnia 1990 r. – dzień zaprzysiężenia Lecha Wałęsy jako pierwszego prezydenta III Rzeczypospolitej. Można go lubić lub nie, ale był prezydentem wybranym w wolnych wyborach. Inaczej niż Jaruzelski wybrany przez Zgromadzenie Narodowe w większości pochodzące z politycznego kontraktu, a nie wolnych wyborów.

Zadbajmy o to. Nie wyobrażam sobie, żeby Amerykanie nie oddzielili wyraźnie prawdziwych nadań Medal of Honor od wyobrażonych jakichś cyrkowych nadań „Medal of Honor" dokonanych np. przez ludzi działających z nadania Rosjan czy Chińczyków. Przecież nie nazwa się liczy, tylko istota rzeczy.

Oddzielmy Sznepfa od rtm. Witolda Pileckiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071



KOMUCHOŻERCA

Rotmistrz

LESZEK ŻEBROWSKI

Rotmistrz Witold Pilecki stał się w ostatnich dekadach ikoną dla prawie wszystkich pokoleń Polaków. Jego nazwisko i poświęcenie są również coraz bardziej znane w świecie. Nic dziwnego, że natychmiast znalazły się także siły chętne do tego, aby przejąć jego historię – pod warunkiem zmiany jego narodowości.

Ale nie tylko to powinno nas interesować. Kim tak naprawdę był i właściwie jakie miał poglądy? Na ten temat panuje wiele mitów i nieporozumień. Przede wszystkim nie mógł być „ochotnikiem do Auschwitz z ramienia AK", bo takiej organizacji w 1940 r. jeszcze nie było. Prześledźmy zatem jego drogę okupacyjną. Już w 1939 r., po klęsce września, wraz z mjr. Janem Włodarkiewiczem założył Narodową Armię Polską (NAP) przekształconą wkrótce w Tajną Armię Polską (TAP) – jedną z największych i najbardziej zasłużonych organizacji konspiracyjnych. Skąd się wzięła zmiana nazwy? Chodziło o rozszerzenie formuły – z narodowej na ogólnopolską.

NAP miała jednoznaczne oblicze chrześcijańsko-narodowe, o czym świadczyła przede wszystkim treść przysięgi ułożonej być może przez samego Pileckiego. Odnajdujemy w niej takie elementy: „Przyjmując za dewizę mego życia hasło: Bóg, Honor i Ojczyzna… I ślubując Narodowi Polskiemu bezgranicznie wierną i ofiarną służbę […]".

Nie ma wątpliwości, że nie było tam akcentów socjalistycznych czy choćby liberalnych. Ale jeszcze ważniejsza jest ideologia konspiracyjnej Grupy „Znak". W deklaracji ideowej była zapowiedź, że w przyszłości muszą być wyciągnięte konsekwencje prawne wobec sanacji, odpowiedzialnej za katastrofę wrześniową. Postulowano zakaz sprawowania funkcji kierowniczych przez ludzi przedwojennego reżimu. Głoszone były hasła Polski chrześcijańskiej, narodowej i sprawiedliwej. Polska narodowa głosiła, że to naród musi sam rządzić na swej ziemi, a żywioły Polsce wrogie muszą być z niej usunięte. Jednocześnie odcinano się od wszelkiego szowinizmu, który uznawano za degenerację idei narodowej.

Dopiero w tym kontekście można rozpatrywać fakt, dlaczego z chwilą wybuchu Powstania Warszawskiego Pilecki ochotniczo dołączył do Zgrupowania „Chrobry II" o NSZ-owskiej proweniencji. Gdyby to był przypadek, w każdej chwili mógł przejść do innego oddziału – co było wówczas dość powszechne – ale tego nie zrobił.

Ponadto ważne jest jego tużpowojenne piśmiennictwo (bardzo mało znane), w którym pokazywał, jaką troską było dla niego wychowywanie młodego pokolenia Polaków, zagubionego w świecie chaosu i narzuconej brutalnie komunistycznej bezwartości. Dlatego rotmistrza trzeba przede wszystkim znać. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwszy triumf księcia Polan

SŁAWOMIR KOPER

Mieszko I władał bogatym państwem i dysponował dużą siłą zbrojną. Ale mimo to początki jego panowania nie były udane. W 963 r. poniósł klęskę w wojnie ze Związkiem Wieleckim skupiającym plemiona słowiańskie osiadłe na zachód od Odry. Dowodzeni przez niemieckiego awanturnika Wichmana Wieleci dwukrotnie pokonali oddziały Mieszka, a na polu bitwy poległ brat księcia o nieznanym imieniu.

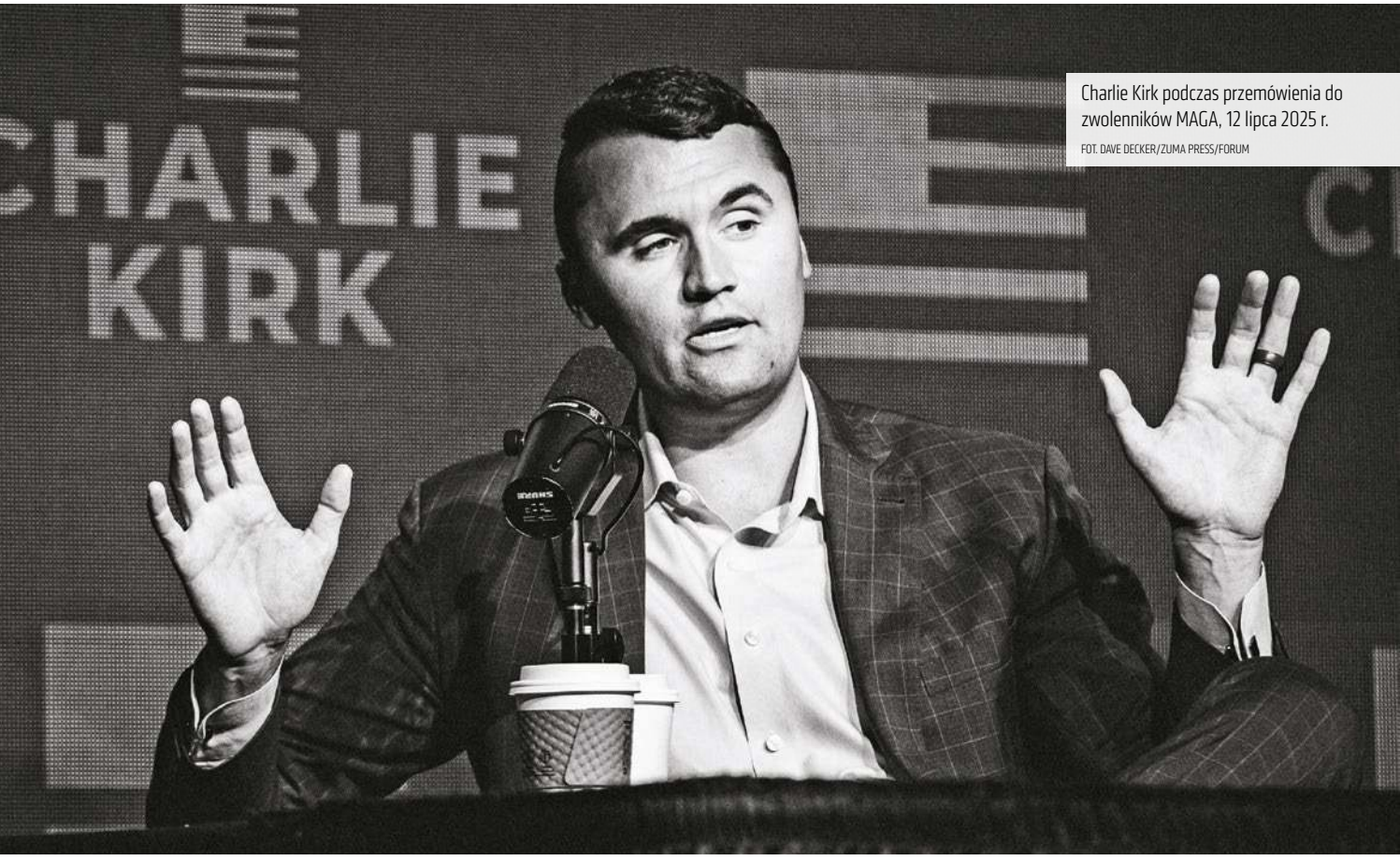
Książę uczciwie odrobił pracę domową. Wyciągnął wnioski z porażki i zrozumiał, że nie może pozwolić sobie na kolejną klęskę. Państwo Piastów powstało zaledwie kilkadziesiąt lat wcześniej i kolejne niepowodzenie mogło spowodować jego rozpad. I co zrobił w tej sytuacji książę Polan? Uznał, że skoro nie może własnymi siłami pokonać wroga, to musi znaleźć sojusznika. Zawarł przymierze z Czechami i poślubił tamtejszą księżniczkę o imieniu Dobrawa. Rozpoczął również przygotowania do przyjęcia chrześcijaństwa.

Na pewno nie myślał jak polityk z XX w., co usiłują wmawiać autorzy podręczników. To był inteligentny człowiek, ale niedawno wynurzył się z lasu i nie myślał o tym, co będzie się działo za kilkaset lat. Można podejrzewać, że przyjął chrześcijaństwo dla doraźnego zwiększenia swoich sił. Wprowadzenie nowej religii ułatwiało zrastanie się państwa w jedną całość, znikały dawne plemienne bóstwa i ich kapłani. Pojawili się chrześcijańscy duchowni znający pismo, a to ułatwiało rządy.

Mieszko nawiązał bezpośredni kontakt z cesarzem Niemiec. Uznał bliżej nieokreśloną formę zwierzchnictwa nad sobą i otrzymał tytuł przyjaciela cesarza. Zapewne płacił również trybut z części ziem znajdujących się pod swoją władzą. W ten sposób starał się zabezpieczyć państwo od najazdów ze strony Niemiec.

Rychło okazało się, że Mieszko prowadzi właściwą politykę. Gdy Wichman i Wieleci ponownie najechali jego ziemie, tym razem książę Polan był dobrze przygotowany do walki. 22 września 967 r. oddziały Polańskie, udając ucieczkę, wciągnęły przeciwnika w zasadzkę i Mieszko odniósł całkowite zwycięstwo. Wichman poległ, a Wieleci musieli się wycofać. W walce odznaczyły się dwa hufce czeskiej jazdy przysłane z Pragi. Mieszko ocalił swoje państwo i podporządkował sobie plemiona zamieszkujące u ujścia Odry. Jego zwierzchnictwo prawdopodobnie uznali nawet mieszkańcy słynnego Jomsborga na wyspie Wolin. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071



Charlie Kirk podczas przemówienia do zwolenników MAGA, 12 lipca 2025 r.
FOT. DAVE DECKER/ZUMA PRESS/FORUM



Z Tiną Descovich, założycielką i szefową organizacji Moms for Liberty
rozmawia Olivier Bault

Radykalna lewica przeniknęła do głównego nurtu

OLIVIER BAULT: Łączyła panią przyjaźń z Charliem Kirkiem, który niedawno został zabity przez młodego lewicowego aktywistę. Jakie wywołało to u pani emocje, gdy dotarła ta wiadomość? Z pewnością było to szokujące. Ale czy było to coś, czego można było się obecnie spodziewać w USA? Czy wręcz przeciwnie: nikt nie mógł się tego spodziewać?

TINA DESCOVICH: W momencie, gdy po raz pierwszy się o tym dowiedziałam, nie sądziłam, że to prawda. Dostałam parę SMS-ów. Od razu weszłam na swoje konto na X, a mój feed był już zalany filmikami. Nie mogłam uwierzyć w to, co widziałam. Ludzie tu w biurze pytali, co się dzieje, i byli w szoku. Byłam absolutnie zszokowana. Trudno uwierzyć, że może się to wydarzyć w Ameryce właśnie teraz. Po prostu było to nie do wiary. Choć zarazem skoro postrzelili wcześniej kandydata, a obecnie prezydenta Stanów Zjednoczonych, to dlaczego nie mieliby wziąć na cel także kogoś innego?

Tak więc z jednej strony jesteśmy w szoku, ale z drugiej – wiemy przecież

eprasa.pl 0f0a3f5071

dobrze, że coś takiego jest teraz możliwe w Ameryce. Mamy w naszym kraju organizację pozarządową non profit o nazwie Southern Poverty Law Center, która co roku tworzy taką mapkę, na której umieszcza organizacje, które nazywa nienawistnymi. Umieścili nas na tej mapie w 2023 r. Od 2018 r. piszą naprawdę szmatławe artykuły na temat Charliego, ale do swojej mapy nienawiści dodali go dopiero w tym roku. Retoryka, która temu towarzyszy, a także organizacje, które zaczynają wtedy cię atakować i ścigać, oraz wyzwiska, którymi cię nazywają, takie jak „faszysta", „rasista" i „fanatyk" – to wszystko wiąże się z takim oznaczeniem na mapie nienawiści. A teraz wiemy, że na jednym z nabojów w broni, którą miał zabójca Charliego, było napisane: „Złap to, faszysto". Wiemy zatem, że był motywowany tą samą ideologią, i jest to bardzo przygnębiające.

Jak często spotykała pani Charliego Kirka? Na czym polegała pani praca z nim?

Turning Point USA, tj. organizacja Charliego, ma liczne oddziały. To jest ogólnokrajowa oddolna organizacja. Ich oddziały są przeznaczone dla uczniów szkół średnich lub studentów. Moms for Liberty, czyli moja organizacja, też ma oddziały w całym kraju i też jest organizacją oddolną, która w wielu kwestiach zgadza się z Turning Point USA. Natomiast my jesteśmy głównie matkami i ojcami, rodzicami broniącymi naszych praw rodzicielskich i walczącymi przeciwko wielu rzeczom, które się dzieją w edukacji.

Dlatego nasze organizacje często pracują razem. W terenie nasze oddziały po prostu współpracują ze sobą. Ale nawet na poziomie krajowym Charlie i ja pracowaliśmy razem nad różnymi rzeczami. Po raz pierwszy spotkałam Charliego w 2023 r., kiedy zostaliśmy umieszczeni na tej mapie nienawiści Southern Poverty Law Center. Wyciągnął wtedy do nas rękę, ponieważ wiedział, że to piętno na naszej organizacji. Pomógł mi nadać sprawie większy rozgłos i występować w telewizji. Pomógł w rozpowszechnianiu informacji na ten temat. Powiedziałabym, że od tego momentu zostaliśmy przyjaciółmi. Komunikowaliśmy się poprzez SMS-y i rozmowy telefoniczne na temat różnych problemów, z którymi mierzy się nasz kraj, oraz tego, jak moglibyśmy współpracować przy ich rozwiązywaniu. Rzecz jasna, byliśmy razem na wielu wydarzeniach i razem przemawialiśmy na niektórych z nich. Mogę więc z całą pewnością powiedzieć, że w ciągu ostatnich dwóch lat stał się moim przyjacielem i był przyjacielem Moms for Liberty. Mówił żartobliwie, że Moms for Liberty to jego ulubiona grupa nienawiści.

Czas, w którym czuję się najmniej bezpiecznie w naszym kraju, to każda niedziela, kiedy jestem w kościele. Otrzymujemy on-line wiadomości pełne nienawiści

Jak pani myśli, kto jest odpowiedzialny za tę całą nienawiść po lewej stronie? Czy istnieje jakaś symetria? Czy ten sam problem występuje również po prawej stronie?

Powiedziałabym, że na prawicy też są radykałowie, ale stanowią oni mniejszość. Poza tym wszyscy uważają ich za radykałów – zarówno prawica, jak i lewica – dlatego też nie mają większego wpływu. Natomiast to, co wydarzyło się w Ameryce, a widziałam to też na świecie, to fakt, że radykalne lewicowe ideologie przeniknęły do głównego nurtu myślenia. Widać to np. w fakcie, że nawet media, gdy opowiadają o tym, co się dzieje, używają wybranego zaimka danej osoby, zamiast mówić o niej zgodnie z jej rzeczywistą płcią. To się też przedostało do naszych szkół i jest to przedstawiane jako fakt, co jest dla ludzi mylące. To wprowadza dzieci w zamęt i niepewność. Ameryka jest od kilku dziesięcioleci atakowana od wewnątrz poprzez nasz system edukacji i teraz zbieramy żniwa tej sytuacji.

Wspomniała pani o kwestii zaimków, która występuje w Stanach Zjednoczonych, a także w innych krajach. Wiemy już, kto jest zabójcą Charliego Kirka. Wszystko wskazuje na to, że to 22-letni lewicowy aktywista, który mieszkał z transseksualnym partnerem. Zdaje się, że ostatnio w Stanach Zjednoczonych doszło do wielu zabójstw, które można powiązać ze społecznością „trans". Pod koniec sierpnia w Minneapolis doszło do okrutnego zabójstwa modlących się w szkolnej kaplicy dzieci dokonanego przez „transpłciowego" mężczyznę. W ubiegłym roku w stanie Iowa doszło również do śmiertelnego ataku w liceum ze strony osoby „transpłciowej". W zeszłym roku w Georgii 14-letni „transpłciowy" chłopiec zastrzelił dwóch uczniów i dwóch nauczycieli w szkole. Były też te dzieci zastrzelone w prywatnej szkole chrześcijańskiej w Nashville dwa lata temu przez 28-letnią kobietę, która uważa się za mężczyznę i została opisana w mediach jako „transseksualna artystka", itp., itd. Coś niedobrego się dzieje. Czy w amerykańskich mediach mówi się o tym w ten sposób, że istnieje prawdziwy problem związany z kwestią „transpłciowości" i tą całą ideologią gender?

W ogóle nie mówi się o tym w mediach w USA, przynajmniej nie w mediach głównego nurtu. Zazwyczaj nie ujawniają takich informacji. Wychodzi to na jaw za pośrednictwem mediów społecznościowych, raportów policyjnych i innych kanałów. Nie jestem nawet pewna, czy kiedykolwiek opublikowali manifest strzelca z Nashville sprzed dwóch lat. Wiem, że po roku wciąż nie był ujawniony. Niestety, czasami trudno jest uzyskać takie informacje. Myślę jednak, że to wszystko wynika z tego problemu i tej ideologii. To rodzaj ideologii, która celebruje śmierć. Nie celebruje życia, nie celebruje piękna, nie celebruje prawdy. Celebruje śmierć i widać to m.in. w używanej przez tych ludzi terminologii. Kiedy zmieniają swój „gender" i ktoś używa ich starego imienia, mówią, że to „dead naming", czyli używanie „martwego" imienia. To tak, jakby chcieli dosłownie zabić osobę, którą stworzył Bóg. Chcą zabić osobę, w której się urodzili i w której zaczęli dorastać. Jeśli są gotowi zrobić to sobie, pięknemu stworzeniu, którym uczynił ich Bóg, to podobnie nie doceniają wartości życia innych osób. Łatwo tu dostrzegać, jak kultura i ideologia, która celebruje śmierć, może doprowadzić do zabijania ludzi.

Czytałem niedawno na stronie amerykańskiego magazynu skierowanego do społeczności „trans", „Eugene Weekly", pewien artykuł, który mnie mocno zaniepokoił. Jest to artykuł z czerwca bieżącego roku zatytułowany „Armed and Faboulous" („Uzbrojeni i Wspaniali"), w którym czytamy, że „w miarę nasilania się ataków na osoby LGBTQ+ w całym kraju wiele z nich sięga po broń, a trend kupowania broni przez osoby queer, uzbrajania się i szkolenia rośnie. Osoby queer uczą się odpierać ataki". Czy to pani nie przeraża? Czy nie powinno

eprasa.pl 0f0a3f5071

to budzić niepokoju u chrześcijan i konserwatystów w USA? Czy to nie są groźby? Wygląda na to, że grożą śmiercią ludziom, którzy się im sprzeciwiają.

Odpowiem na to pytanie bardzo osobiście: czas, w którym czuję się najmniej bezpiecznie w naszym kraju, to każda niedziela, kiedy jestem w kościele. Przemawiam przed tłumami, organizuję konferencje prasowe, przemawiam na wiecach i w ratuszach, gdzie musimy mieć mnóstwo ochrony, aby zapewnić bezpieczeństwo wszystkim i sobie podczas tych wydarzeń. Nie obawiam się tych wydarzeń, ale w każdą niedzielę, kiedy jestem w kościele, siadam zawsze w miejscu, z którego widzę oba wejścia, ponieważ uważam, że kościoły i chrześcijaństwo są atakowane w Ameryce.

Pani organizacja, Moms for Liberty, walczy z ideologią gender w szkołach. Czy w takim razie mogłaby stać się celem dla osób, o których rozmawiamy?

Tak, jesteśmy na celowniku, na 100 proc. Otrzymujemy on-line wiadomości pełne nienawiści. Jeśli wejdzie pan na nasze konta w mediach społecznościowych na Facebooku lub X, to zobaczy pan, że ściągają tam ludzie, żeby tylko komentować, że jesteśmy grupą nienawiści, że nienawidzimy społeczności LGBTQ, co oczywiście nie jest prawdą. Współpracujemy z ludźmi takimi jak Jaimee Michell [znana aktywistka LGBT, lesbijka]. Mamy w Stanach Zjednoczonych organizację o nazwie Gays Against Groomers [Geje przeciw Deprawatorom Dzieci]. Składa się z osób homoseksualnych, które są bardzo zaniepokojone tym, jak nasze dzieci stały się celem działań osób transpłciowych. Nie jesteśmy grupą nienawiści. Nie nienawidzimy nikogo ze społeczności LGBTQ, ale tak nas nazwali i naznaczyli nas jako cel. Tak, jesteśmy bardzo zaniepokojeni o nasze bezpieczeństwo. Prawdę mówiąc, nasza siedziba, w której obecnie przebywam, znajduje się w miejscu, w którym nie ma żadnych szyldów czy znaków. Nie ujawniamy nikomu naszego adresu. Podejmujemy różne środki ostrożności, aby zapewniać bezpieczeństwo naszego personelu.

Czy organizacje LGBTQ również ukrywają swoje adresy i nie mają żadnych szyldów czy też ich członkowie czują się na tyle bezpiecznie w USA, że mogą być one w tej sprawie bardziej otwarte?

To dobre pytanie. Nie jestem pewna. Nie przyglądałam się temu, ale na pewno będę na to zwracać uwagę. Wydaje mi się jednak, że są one dość otwarte i publicznie obecne. Jeśli pomyślimy o tych atakach, do których doszło, to nie słyszałam żadnych historii z ostatnich lat, w których ktoś ze społeczności LGBT był zagrożony lub zaatakowany. Czy to oznacza, że to się nigdy nie wydarza? Nie. Myślę, że w latach 50. i 60., może nawet w latach 70. działo się wiele takich rzeczy. Ale w Ameryce teraz tacy po prostu nie jesteśmy. Dlatego nie mogę sobie wyobrazić, że tak miałoby się dziać.

W 2022 r. doszło do ataku na gejowski klub nocny w Colorado Springs, lecz napastnikiem był mężczyzna, który sam o sobie mówi, że jest „niebinarny", czyli znowu mieliśmy do czynienia z adeptem ideologii gender.

Kilka lat temu mieliśmy też na Florydzie straszny atak na klub nocny dla gejów. W tym przypadku jednak strzelec był islamistą. Działał w odwecie za zabicie jakiegoś przywódcy ISIS, więc był to atak terrorystyczny związany, powiedziałabym, ze społecznością muzułmańską.

Reakcje na zabójstwo Charliego Kirka bardzo różnią się od reakcji na śmierć George'a Floyda. Czy daje to pani nadzieję, jeśli chodzi o przyszłość Ameryki?

Bardzo mnie cieszy to pytanie. O tym mówiłam właśnie wczoraj wieczorem. Mieliśmy takie czuwanie tutaj, gdzie mieszkamy, na Florydzie. To było piękne czuwanie na plaży. Siedemnastoletnia dziewczyna, która trzy lata temu próbowała założyć w swojej szkole oddział Turning Point USA, organizacji Charliego Kirka, i której powiedziano, że nie wolno jej tego robić, sama zorganizowała wczoraj wieczór czuwania na plaży. Było tam kilkaset osób i było to piękne przeżycie. W moim wczorajszym przemówieniu na tym czuwaniu powiedziałam dokładnie to: mam teraz tak wielką nadzieję co do przyszłości Ameryki. Jeszcze kilka dni temu, w środę, kiedy Charlie został zamordowany, byłam zrozpaczona. Minął niecały tydzień i oto obserwujemy, jak cała Ameryka organizuje te czuwania, które są piękne, podnoszą na duchu i pocieszają. Amerykańska młodzież się teraz ujawnia. Jeśli młodzi nie organizują tych spotkań upamiętniających Charliego, to w nich uczestniczą. Wydaje mi się, że Turning Point USA powiedział wczoraj, iż dostali już 35 tys. wniosków o założenie nowych oddziałów terenowych. Ludzie przychodzą wspierać organizację, wspierać Charliego. Dlatego mam wielką nadzieję, jeśli chodzi o przyszłość naszego kraju. Jednak nie mogę też uwierzyć, ile nauczycieli pojawiło się w Stanach Zjednoczonych, którzy pokazują się na TikToku i w innych mediach społecznościowych, świętując zabójstwo Charliego Kirka.

A co z odpowiedzialnością Partii Demokratycznej w tym wszystkim? W jakim stopniu jest ona, pani zdaniem, odpowiedzialna za ten klimat nienawiści i za tę przemoc po lewej stronie? Może nie cała Partia Demokratyczna, ale wydaje się, że to ugrupowanie zawiera dziś w Ameryce bardzo radykalny element.

Rzeczywiście nie chciałabym obwiniać Partii Demokratycznej jako całości. Mam kilku bardzo dobrych przyjaciół, którzy są demokratami i po prostu myślą i wierzą nieco inaczej niż ja. Jednak jest w tym ugrupowaniu zbyt duża przychylność dla radykalnych ideologii i zbyt duże pozwolenie na to, aby zawładnęły one ogromną częścią Partii Demokratycznej. Demokraci nie przeciwstawili się temu. Nie wycięli nowotworu, który rósł w ich rangach. I tak długo, jak będą na to pozwalać, kraj będzie podzielony, a wizerunek Partii Demokratycznej będzie coraz bardziej nadszarpnięty.

Natomiast jeśli chodzi o nas, to będziemy nadal modlić się za Charliego, za jego żonę Erikę, za dwoje ich małych dzieci, za całą jego organizację i jego przyjaciół. Ameryka teraz cierpi, ale obudziła się w nas wielka nadzieja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Centrum Komunikacji Instytutu Ordo Iuris.



Tina Descovich *– żona i matka pięciorga dzieci, jest założycielką i szefową amerykańskiej organizacji rodziców uczniów Moms for Liberty (Mamy dla Wolności). Impulsem do powołania organizacji, która dziś, po pięciu latach działalności, ma 340 oddziałów w 48 stanach i łączy w walce o prawa rodziców i dzieci 130 tys. osób, była stopniowa ingerencja szkół państwowych w prawa rodziców, m.in. w związku z rosnącą indoktrynacją w duchu ideologii gender. Tina Descovich ma polskie korzenie. Była zaprzyjaźniona z zamordowanym 10 września 2025 r. Charliem Kirkiem.*

eprasa.pl 0f0a3f5071

REPUBLIKA

Żartobliwy komentarz bieżących wydarzeń politycznych.
W programie nie zabraknie ankiet o omawianych tematach,
w których widzowie na bieżąco wyrażają swoje opinie.

PIACHEM W TRYBY

CODZIENNIE
22:15



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 0f0a3f5071



Maciej Pieczyński

Białoruski dyktator flirtuje z Trumpem, ostrzega Polaków przed rosyjskim nalotem, wypuszcza więźniów politycznych. Za kraty wsadza jednak kolejnych. Łukaszenka, jak zwykle, prowadzi podwójną grę, próbując zerwać się z rosyjskiej smyczy albo takie próby pozorując

Jednym z ciekawszych wątków ataku rosyjskich dronów na Polskę, do którego doszło w nocy z 9 na 10 września, była rola Mińska. Z jednej strony, część bezzałogowców przyleciała z Białorusi. Z drugiej strony, tamtejsze władze zapewniły, że ostrzegły Warszawę przed zagrożeniem. Co więcej, Warszawa tym zapewnieniom nie zaprzeczyła. Ale po kolei. Rano 10 września białoruski wiceminister obrony gen. Paweł Murawiejka oświadczył za pośrednictwem agencji Belta: „Podczas nocnej wzajemnej wymiany uderzeń bezzałogowych statków powietrznych między Federacją Rosyjską a Ukrainą siły i środki obrony przeciwlotniczej Republiki Białorusi stale śledziły bezzałogowe statki powietrzne, które straciły kurs w wyniku oddziaływania środków walki elektronicznej stron. Część dronów, które zabłądziły, została zniszczona siłami obrony przeciwlotniczej naszego kraju na jego terenie". Murawiejka zaznaczył również, że siły białoruskie wymieniały się informacjami o „sytuacji radiolokacyjnej w powietrzu" z siłami polskimi i litewskimi, „ostrzegając (Warszawę i Wilno) przed niezidentyfikowanymi obiektami latającymi, które zbliżają się do terytorium" Polski i Litwy. Te ostrzeżenia, przekonuje białoruski wiceminister obrony, „pozwoliły stronie polskiej skutecznie zareagować na działania dronów".

Z komunikatu Murawiejki wynika, że również Polacy informowali Białorusinów o dronach nadlatujących znad Ukrainy. „Wymiana informacji o sytuacji powietrznej jest istotnym warunkiem zapewnienia bezpieczeństwa w całym regionie



Świadectwem podwójnej, a może i potrójnej gry Łukaszenki jest jego dyplomatyczny flirt z Waszyngtonem

FOT. SERGEI BOBYLEV/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 0f0a3f5071

Zagadka Łukaszenki

i przyczynia się do ustanowienia środków budowy zaufania oraz wzmocnienia bezpieczeństwa. Republika Białorusi będzie nadal wypełniać swoje zobowiązania w ramach wymiany informacji o sytuacji powietrznej z Rzecząpospolitą Polską i krajami bałtyckimi" – czytamy. Co jeszcze ciekawsze, kontakty ze stroną białoruską potwierdziła strona polska, a dokładniej MON.

Pod pewnymi względami Mińsk i Warszawa mają tutaj wspólnotę interesów. Podczas nalotów na Ukrainę rosyjskie drony niejednokrotnie omijały ukraińską obronę przeciwlotniczą, przelatując nad południową Białorusią. Bezzałogowce spadały w różnych częściach kraju. W lipcu taki przypadek zdarzył się nawet w granicach administracyjnych Mińska. Białoruś w jeszcze większym niż Polska stopniu narażona jest na spadające z nieba drony czy rakiety. Przede wszystkim dlatego, że geograficznie znajduje się w strefie zgniotu. Co prawda, sama uczestniczy w wojnie, udostępniając terytorium i infrastrukturę dla jednej ze stron. Uczestniczy jednak po cichu i biernie, starając się trzymać z boku i jak najmniej stracić na wojnie – zarówno materialnie, jak i politycznie.

POKÓJ – POLITYCZNY KAPITAŁ

Przy czym naiwnością byłoby sądzić, że Mińsk współpracował z Warszawą w sprawie rosyjskich dronów z miłości do Polski albo z nienawiści do Rosji. Po pierwsze, oficjalne wypowiedzi gen. Murawiejki nie precyzują, przed czyimi dronami ostrzegano. Tymczasem wiemy na pewno, że to rosyjskie bezzałogowce znalazły się nad Polską. Oczywiście trudno się spodziewać, aby minister państwa będącego niemal w pełni zależnym od Rosji wprost mówił o współpracy z wrażą Warszawą w walce z dronami wysłanymi przez Moskwę. Można więc docenić, że w ogóle doszło do współpracy.

Warto jednak zadać pytanie: Czy Moskwa pozwoliłaby sobie na tak daleko idącą nielojalność ze strony junior partnera? Nasuwa się jednoznaczna odpowiedź. Wielce prawdopodobne, że Łukaszenka działał nie wbrew Putinowi, ale na jego zlecenie. Rosjanie wysłali drony nad Polskę m.in. po to, aby przetestować naszą obronę przeciwlotniczą. Ekspert do spraw wojskowości Jarosław Wolski na antenie Polsatu spekulował: „Celowo wybrano tak trasę, aby drony leciały w kierunku baz wojskowych. Strona białoruska celowo poinformowała polskie dowództwo, żeby mieć pewność, że radary będą włączone. To test polskich i NATO-wskich systemów". Zdaniem Wolskiego, Moskwa za pośrednictwem Mińska chciała sprowokować nas i naszych sojuszników z NATO, żebyśmy „odkryli nasze najmocniejsze karty". To tylko hipoteza, ale brzmi wiarygodnie.

Ponadto Łukaszenka od dawna toczy podwójną, a może i potrójną grę. Z jednej strony, jest podnóżkiem Putina i pomaga mu w prowadzeniu wojny. Z drugiej strony, sam do wojny nie wszedł. Czy dlatego, że tak dzielnie opierał się namowom Moskwy? Czy może dlatego, że Moskwa nie potrzebowała udziału Białorusi? Bardziej prawdopodobnie brzmi druga wersja, ale być może prawda leży bliżej środka i Łukaszenka starał się opóźniać lub minimalizować zaangażowanie Białorusi w wojnę, które przecież nie musi polegać wyłącznie na wysyłaniu wojsk.

Tak czy inaczej, stanowisko „Baćki", prezentowane na użytek wewnętrzny, było konsekwentne i jednoznaczne. Można je streścić następująco: „Kibicuję Rosji w jej wyzwalaniu Ukraińców od faszyzmu, ale macie moje słowo, że Białoruś nigdy do wojny nie wejdzie!". Trudno się dziwić. Białorusinów ponad podziałami na zwolenników i przeciwników obecnej dyktatury łączy podejście pacyfistyczne. Podczas gdy Rosjanie hasłami pokojowymi obłudnie przykrywają agresywną politykę ekspansji, na Białorusi nastroje antywojenne są szczere, oddolne, pozbawione politycznego podtekstu i wynikają ze świadomości życia w strefie zgniotu, w małym państwie na uboczu, będącym od zawsze areną krwawych starć między Wschodem a Zachodem. Łukaszenka, obiecując, że nie wciągnie kraju w toczoną za miedzą wojnę, naprawdę zyskał również w oczach tych, którzy wcześniej chcieli go obalić. Pokój jest jego politycznym kapitałem.

Z MIŃSKIEM DA SIĘ ROZMAWIAĆ

Świadectwem podwójnej, a może i potrójnej gry „Baćki" jest jego dyplomatyczny flirt z Waszyngtonem. 11 września Łukaszenka przyjął w Mińsku specjalnego wysłannika prezydenta USA Johna Coale'a oraz zastępcę doradcy sekretarza stanu do spraw Europy Wschodniej Chistophera Smitha. Białoruś podczas spotkania reprezentowali szef KGB Iwan Tertel i stały przedstawiciel przy ONZ Walancin Rybakou. Efektem rozmów była decyzja samego Trumpa o zniesieniu sankcji na białoruskie linie lotnicze Belavia. Specjalny wysłannik prezydenta USA zapowiedział też, że Stany Zjednoczone będą dążyły do normalizacji stosunków, w tym do wysłania do Mińska w najbliższym czasie swojego ambasadora.

Łukaszenka w zamian zgodził się na uwolnienie i przetransportowanie na Litwę 52 więźniów politycznych. W tym m.in. byłego kandydata na prezydenta Mikałaja Statkiewicza, który jednak odmówił wyjazdu z kraju i został ponownie

eprasa.pl 0f0a3f5071

zatrzymany przez KGB. Wśród wypuszczonych na wolność więźniów znalazło się troje Polaków. Wciąż w kolonii karnej siedzi jednak Andrzej Poczobut. Władze w Mińsku zadeklarowały dalsze wsparcie dla „pokojowej polityki" Trumpa. 16 września Łukaszenka uwolnił kolejnych 25 więźniów politycznych, których tożsamości nie ujawniono. Dyktator podjął taką decyzję z okazji Dnia Jedności Narodowej, obchodzonego na Białorusi 17 września, na pamiątkę agresji sowieckiej na Polskę.

To nie pierwszy raz, gdy Waszyngton wynegocjował wolność dla białoruskich więźniów politycznych. Pod koniec czerwca zza krat wyszli Siarhiej Cichanouski i kilkunastu innych przeciwników Łukaszenki. Wcześniej, dzięki staraniom USA, wolność uzyskało kilka innych osób, w tym Amerykanka białoruskiego pochodzenia czy dziennikarz opozycyjnego Radia Swoboda. Trzeba przyznać, że o ile w sprawie wojny na Ukrainie amerykański prezydent jest jak na razie kompletnie bezradny, o tyle potrafi skutecznie negocjować z Łukaszenką. To swoją drogą dowód na to, że z Mińskiem da się rozmawiać. Trump na Wschodzie woli używać marchewki niż kija. Wobec Putina taka taktyka jest chybiona, ale już Łukaszenka jest o wiele bardziej elastyczny niż jego polityczny patron. Dla Kremla interes gospodarczy jest drugorzędny. Ale już Łukaszenka świetnie rozumie transakcyjną politykę Trumpa i chętnie w tę grę wchodzi. Jak w swoim komentarzu zauważa Piotr Żochowski z Ośrodka Studiów Wschodnich, Mińsk docelowo chce uzyskać zniesienie amerykańskich sankcji na eksport nawozów potasowych. Takie ustępstwo byłoby najbardziej opłacalne, gdyby Litwa zgodziła się na wykorzystanie portu w Kłajpedzie. Jest to jednak mało prawdopodobne.

Zbliżenie na linii USA – Białoruś trwa od wielu miesięcy. Łukaszenka wielokrotnie chwalił publicznie Trumpa. Podziwia go „jak silny przywódca silnego przywódcę". Trump być może liczy na to, że Łukaszenka, korzystając z dobrych kontaktów z Putinem i swojego bogatego doświadczenia mediacyjnego między Kijowem a Moskwą, pomoże w osiągnięciu pokoju na Ukrainie.

Oczywiście podobnie jak w przypadku ostrzegania przed dronami nie wiadomo, na ile jest to autentyczna próba zbliżenia z Zachodem, motywowana dążeniem do zniesienia sankcji, a na ile jest to gra pozorów – czy to podyktowana chęcią lewarowania swojej pozycji względem Moskwy, czy to zlecona wprost przez Moskwę. Białoruś niepokorna, szukająca (czy to szczerze, czy to pod kuratelą Kremla) porozumienia z Zachodem, jest paradoksalnie wygodna dla Putina. Może bowiem udawać pośrednika między Rosją a państwami, które nie chcą bezpośrednio z Rosją rozmawiać. Jako taki pośrednik Białoruś i tak realizowałaby interesy Kremla. W końcu tuż po rozpoczęciu inwazji pierwsze rozmowy rosyjsko-ukraińskie odbywały się właśnie na białoruskim terytorium. Łukaszenka chciałby wrócić do czasów porozumień mińskich i ponownie wejść w buty rozjemcy.

Zbliżenie z Trumpem nie musi oznaczać zbliżenia z Zachodem. Łukaszenka liczy na porozumienie z „silnym przywódcą" zza oceanu

Wreszcie zbliżenie z Trumpem nie musi oznaczać zbliżenia z Zachodem. Łukaszenka liczy na porozumienie z „silnym przywódcą" zza oceanu, który inaczej niż Unia Europejska będzie otwarty na współpracę. Już wcześniej w publicznych wypowiedziach przedstawicieli białoruskich władz pojawiał się wyraźny podział na „złą UE" i „dobre USA". Trump będzie się domagał co najwyżej dalszej amnestii, a nie zmiany systemu na bardziej demokratyczny. Ponadto nie będzie próbował wyrwać Białorusi z rosyjskiej strefy wpływów. Co oczywiste, w odróżnieniu od swoich europejskich partnerów Trump nie widzi większych przeszkód w porozumieniu z Rosją. Jest to zatem układ dla Łukaszenki idealny. Nie zerwie się Putinowi z łańcucha, ale trochę ten łańcuch poluzuje, zyskując poważnego i potężnego partnera w postaci Stanów Zjednoczonych.

WNIOSKI DLA POLSKI

Co istotne, żadna z wizyt przedstawicieli USA w Mińsku nie spotkała się z gniewną reakcją Moskwy. Symboliczna była też obecność amerykańskich oficerów na białorusko-rosyjskich manewrach Zapad-2025 na Białorusi. Albo więc Łukaszenka, rozmawiając z ludźmi Trumpa czy ostrzegając Polaków przed nalotem dronów, poszerza swoje pole dyplomatycznego manewru w relacjach z Putinem, albo czyni to wszystko w porozumieniu z Kremlem. Chcielibyśmy wierzyć w pierwszą opcję, ale druga wydaje się bardziej prawdopodobna. Bezsporna jest natomiast odwilż na linii Mińsk – Waszyngton. „Modlimy się o Twoje zdrowie i dobre samopoczucie oraz o dalsze postępy w realizacji naszych wspólnych celów w imieniu narodów Stanów Zjednoczonych i Białorusi" – to cytat z listu, który Łukaszenka otrzymał od Trumpa przy okazji wizyty Cole'a w stolicy Białorusi.

A gdzie w tym wszystkim jest Polska? Granica z Białorusią, zamknięta z powodu ćwiczeń Zapad-2025, po ich zakończeniu nie została otwarta. Andrzej Poczobut to jeden z wielu Polaków wciąż przebywających w białoruskich więzieniach za swoje poglądy. Ostatnio głośne było zatrzymanie 27-letniego karmelity Grzegorza Gawła, oskarżonego o szpiegostwo. Polskie władze te zarzuty nazywają „absurdalnymi". Ostrzeżenie przed dronami (niezależnie od prawdziwych motywów Mińska) to jeden z niewielu pozytywnych aspektów relacji polsko-białoruskich w ostatnim czasie. Łukaszenka jest wrogo nastawionym wobec Polski podnóżkiem Putina – co do tego nie ma wątpliwości. Ale nie jest tak usztywniony jak Putin. Bywa elastyczny i to można wykorzystać. Pokazał to Trump. Niezależnie od tego, jakie intencje kierują Łukaszenką w zbliżeniu z USA, niezależnie od tego, ile w tych intencjach jest „ręki Moskwy", faktem jest, że dyktator w zamian za marchewkę wypuścił z więzień kilku swoich wrogów. Czyli ustąpił. Warszawa powinna wyciągnąć z tego wnioski.

Tak czy inaczej, póki co między Polską a Białorusią wieje chłodem również ze strony Mińska. Łukaszenka w niedawnym wywiadzie skrytykował Polskę i kraje bałtyckie za decyzje o wyjściu z konwencji ottawskiej o zakazie min przeciwpiechotnych oraz o zwiększeniu wydatków na obronność. Zapewniał, że Białoruś nie ma wobec sąsiadów złych zamiarów. Biorąc pod uwagę doświadczenia ataku hybrydowego na polską granicę, trudno jednak te zapewnienia traktować poważnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071



FOT. CANTON POLICE DEPARTMENT

TAJEMNICZA URNA

Policja w Canton w stanie Connecticut znalazła na lokalnym szlaku biegowym urnę z prochami ludzkimi. Początkowo stróże prawa twierdzili, że nie mogli jej otworzyć, ponieważ była trwale zamknięta. Problemem było ustalenie, czyje są w niej prochy. Policja zamieściła w tej sprawie ogłoszenie na Facebooku, licząc na to, że ktoś się przyzna do porzuconego lub zagubionego przedmiotu. Ostatecznie identyfikacja prochów się powiodła, ale szczegóły sprawy pozostają nieznane.

MUSI SIĘ ZBADAĆ

Nauczycielka z Niemiec przebywa na zwolnieniu lekarskim. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że... jest już tak od 16 lat. Kobieta co miesiąc wysyłała zaświadczenia lekarskie, ale długo nikt nie wymagał od niej przeprowadzenia badań, które potwierdziłyby jej stan zdrowia. To jednak się skończyło, bo takie polecenie przyszło. Ale nauczycielka się buntuje i nie chce się badać. Sprawa trafiła do sądu, który stanął po stronie jej pracodawcy.

JEDNAK SZANSA

W szpitalu na przedmieściach Manchesteru lekarz został przyłapany w intymnej sytuacji z pielęgniarką. Trybunał lekarski miał rozstrzygnąć o tym, czy mężczyzna ten będzie mógł dalej wykonywać swój zawód, ponieważ na krótkie spotkanie z kobietą wymknął się, gdy jego pacjent przebywał pod narkozą na sali operacyjnej. Trybunał orzekł, że zachowanie lekarza było naganne. Postanowił jednak dać mu szansę dalszego wykonywania swojego zawodu. Pacjent przeżył.

ZAKAZANY WYCZYN

Słynna gigantyczna statua Chrystusa Zbawiciela w Rio de Janeiro to skarb dziedzictwa kulturowego. Obowiązuje zakaz wchodzenia na nią. Tymczasem pewien śmiałek nie dość, że ów zakaz złamał, to jeszcze z monumentu zeskoczył na spadochronie. Towarzyszyła mu jeszcze jedna osoba. Sytuacja została nagrana przy pomocy drona przez przewodnika wycieczek. Sprawą zajęła się policja.

ODSTRASZAJĄCE KAMERY

South Western Railway, jeden z czołowych przewoźników kolejowych w Wielkiej Brytanii, wyposaża swoich pracowników obsługi pasażerów w kamery nasobne (bodycam). To efekt gwałtownego wzrostu agresji w pociągach. Notuje się ponad dwa ataki dziennie. Widok kamer ma odstraszać sprawców, a nagrania posłużą w postępowaniach przed wymiarem sprawiedliwości. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ostrzeżenie dla Polski

Tempo wzrostu cen w Rumunii w ostatnich tygodniach znacząco przyspieszyło i zbliża się znów do dwucyfrowych wartości. W sierpniu roczna stopa inflacji wyniosła 9,85 proc., choć w lipcu było to 7,8 proc., a w czerwcu „zaledwie" 5,66 proc.

Tym samym dawny prymus wzrostu w Unii Europejskiej stał się nagle niechlubnym inflacyjnym liderem. Szybko rosnące ceny niemal w całości wymazały już w praktyce podwyżki płac z ostatnich kilkunastu miesięcy, osłabiając tempo wzrostu realnego średniego wynagrodzenia do zaledwie 2,2 proc. rocznie. Według rumuńskich ekspertów wkrótce podwyżki płac przestaną nadążać za inflacją.

Głównymi czynnikami przyspieszenia inflacji w sierpniu były rosnące ceny energii elektrycznej oraz podwyżka podatku VAT do 21 proc. Skąd te podwyżki? Władze w Bukareszcie zostały do nich zmuszone przez Komisję Europejską, która nakazała rumuńskim władzom walkę z ogromnym deficytem budżetowym (inne podatki też wzrosną). W 2024 r. Rumunia miała najwyższy deficyt w całej UE (na poziomie 9,3 proc. PKB). Drugą pozycję w tym niechlubnym rankingu zajęła wówczas Polska (6,6 proc.). Efekt? Rating Rumunii już jest blisko poziomu „śmieciowego". W sierpniu agencje Fitch i S&P potwierdziły go na poziomie „BBB–" z negatywną perspektywą...

Tymczasem polscy politycy nadal szybko zadłużają kraj, choć i w naszym przypadku eksperci agencji ratingowych krytycznie oceniają m.in. perspektywy sektora finansów publicznych. Negatywna ocena przekłada się zaś na kurs waluty i ceny obligacji. Czy nas też czeka smutny los Rumunów? ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071

Wielki dług



FOT. ADOBE STOCK



Robert Bogdański

Postanowiono arbitralnie, że kraj zostanie pokryty siecią ośmiu korytarzy transportowych z północy na południe i ośmiu ze wschodu na zachód. Potrzeby były drugorzędne, liczyły się wizja i rozmach

Człowiek, który rozkręcił na wielką skalę budowę kolei wielkich prędkości w Chinach, odsiaduje obecnie wyrok dożywotniego więzienia. Właściwie może on mówić o wielkim szczęściu, bo jego pierwotny wyrok z roku 2013 to była kara śmierci. I to nie byle jaka, bo w zawieszeniu na dwa lata. Taki wymiar kary świadczy o pewnym wyrafinowaniu władz, które trzymały go z tym wyrokiem przez cały okres zawieszenia, a następnie dokonały czegoś w rodzaju ułaskawienia. Skazany nazywa się Liu Zhijun i jest nieomal rówieśnikiem Xi Jingpinga, bo urodził się w styczniu 1953 r. Obaj więc pamiętają z dzieciństwa i młodości twarde metody działania sprawiedliwości ludowej. Zapewne obaj też docenili zalety tego wyroku: Liu przeżył, a Xi mógł pokazać na samym początku swoich rządów, w roku 2013, że jest surowy, lecz sprawiedliwy.

Pan Liu wśród kolegów z branży był nazywany „Skoczkiem". Bynajmniej nie chodziło o jego umiejętności sportowe, ale o odniesienie do Wielkiego Skoku Naprzód, który pod jego wodzą wykonały chińskie koleje. Z tego skoku pan Liu miał 4 proc. od kontraktu, co pozwalało mu dostatnio żyć, bo według różnych źródeł zgromadził w czasie prawie dekady, gdy pełnił funkcję ministra kolei, ok. ćwierci miliarda dolarów. Biorąc pod uwagę, że ten stały przychód był uzależniony od rozwoju podległych mu przedsięwzięć, trudno się dziwić, że podchodził on entuzjastycznie do budowy nowoczesnego kolejnictwa w swojej ojczyźnie. W czasie, gdy był ministrem, długość linii kolejowych dostosowanych do wielkich prędkości osiągnęła zawrotną wielkość 45 tys. km, budząc w świecie powszechny zachwyt i szacunek.

POZA RACHUNKIEM EKONOMICZNYM?

Ileż to razy zdarzało się nam słuchać pełnych entuzjazmu okrzyków wynoszących pod niebiosa rozmach i odwagę chińskich projektów cywilizacyjnych? Ileż razy kręciliśmy głową, z niedowierzaniem czytając o tych tysiącach kilometrów powstających w jakichś nieprawdopodobnie krótkich okresach czasu? O tunelach, których budowa nie jest najmniejszym problemem nawet w największych górach, o estakadach, które nawet nad największymi przepaściami konstruują się nieledwie na skinienie tamtejszych władz. Z zazdrością przy tym porównywaliśmy skalę chińskich działań do tego, co widzieliśmy na własnym podwórku, i wzdychaliśmy, że gdyby to tak u nas... Ba! Wiele osób chciało myśleć, że infrastruktura taka, jak drogi czy kolej, znajduje się jakby poza rachunkiem ekonomicznym i Chiny udowadniają światu, że trzeba śmiało spoglądać w przyszłość, a nie oglądać się na jakieś krępujące ambicję wyliczenia, bo przecież żyjemy w XXI w.

Wszyscy, którzy tak myśleli, muszą przyjąć do wiadomości niemiłą informację: tak nie jest. Realizacja zapierającej dech w piersiach wizji przyszłości spowodowała gigantyczne zadłużenie, z którego nie bardzo jest jak wyjść poza zaciąganiem kolejnych, coraz większych długów. Co więcej, uświadamiają to sobie sami Chińczycy. Niedawno ukazało się w tamtejszym Internecie obszerne krytyczne studium autorstwa profesora Chińskiej Akademii Nauk, Lu Dadao, geografa gospodarczego, człowieka, który swoje życie poświęcił studiom nad infrastrukturą kolejową w Chinach. Pan Lu ma już 85 lat i być może dlatego pisze szczerze o przyczynach i kulisach bagna, w którym znalazły się koleje i budżety lokalnych samorządów, które wspólnie finansowały i finansują inwestycje. W świetle tego studium pan Liu ze swoimi 4 proc. prowizji czy jacyś jego następcy, którzy są regularnie skazywani za podobną działalność, są czynnikiem najmniej istotnym. Gdyby to było przedsięwzięcie rentowne, to ten procent można by potraktować jako swego rodzaju jednorazową „success fee" i nikt by tego w dłuższej perspektywie nie zauważył. Najważniejsza przyczyna problemów ma charakter strukturalny, inaczej mówiąc – nie polega na indywidu-

eprasa.pl 0f0a3f5071

alnej chciwości, ale na sumie chciwości, a właściwie na tym, że system umożliwia wzmacnianie chciwości i głupoty, a także pragnienia kariery i prestiżu.

Postanowiono arbitralnie, że kraj zostanie pokryty siecią ośmiu korytarzy transportowych z północy na południe i ośmiu ze wschodu na zachód. Potrzeby były drugorzędne, liczyły się wizja i rozmach. W wielkich aglomeracjach zbudowano zbyt wiele stacji, ale tereny mało zaludnione nie chciały być gorsze, więc buduje się także w miejscach górzystych i stosunkowo trudno dostępnych, wiele kilometrów od centrów miast. Lokalne władze kierują się tu własną logiką: przecież umieszczenie stacji w centrum generuje dodatkowe koszty i powoduje niewygody dla mieszkańców. Dobry gospodarz stara się tego unikać. W odległych miejscach łatwiej jest też pozyskać ziemię na inwestycje, a gdy jeszcze zaplanuje się tam nowe osiedla, to wówczas można pokazać projekt godny XXI w. I wykazać się przed władzami prowincji, a może nawet władzami w Pekinie. W mieście Danzhou (prowincja Hainan), gdzie wybudowano piękny dworzec kolejowy na stacji Haitou, już po zbudowaniu okazało się, że chętnych do tego, aby wsiąść do supernowoczesnego pociągu, jest mniej więcej 100 dziennie, więc władze kolei nie zdecydowały się dworca otworzyć, bo kosztowałoby to zbyt dużo. Piękną stację Xiaogan-Północ odwiedza mniej pasażerów, niż liczy jej personel. Pewnym wytłumaczeniem tego zjawiska może być fakt, że leży ona 100 km od miasta i dość trudno się do niej dostać. W prowincji Jiangsu, jednej z najbogatszych w kraju, trzy stacje kolejowe w największym mieście zostały ostatnio zamknięte, a dwóch nigdy nie otwarto, ponieważ zainteresowanie nimi było niewielkie. Władze w oficjalnych raportach określiły ten brak jako „nieoczekiwany".

I tu wydaje się tkwić sedno problemu: o ile pana Liu, który brał 4 proc., można było wsadzić do więzienia i z zadowoleniem oznajmić zwycięstwo w walce z korupcją, o tyle nie sposób zrobić cokolwiek z tysiącami urzędników i polityków średniego szczebla, którzy po prostu pomylili się w planowaniu, ale przecież chcieli jak najlepiej. W dodatku nie czynili niczego innego, jak po prostu szli z postępem i budowali potęgę nowoczesnych Chin! Profesor Lu Dadao przywołuje przemożne dążenie do tego, by być numerem jeden na świecie, by budynki były „cudami świata", by „zaprzeczały prawom natury". Karmieni tego rodzaju ideami Chińczycy uczestniczą w wyścigu, aby ich projekt stał się najlepszy, najciekawszy, może nie na świecie, ale w każdym razie lepiej oceniony przez zwierzchność od projektu powstającego w sąsiedniej prowincji. Dodatkowym elementem jest to, że przy realizacji tysięcy kilometrów linii kolejowych powstały gigantyczne biura projektowe, które aby przeżyć, potrzebują nowych projektów. I one są w stanie uzasadnić wszystko, aby tylko dostać nowy kontrakt.

Pociągi wielkich prędkości stały się jednym z elementów budowania prestiżu czynowników, prowincji i kraju

Niedogodności dla pasażerów znajdują się w tym rachunku na dalekim miejscu, a konieczność dopłacania do funkcjonowania kolei w ogóle nie jest brana pod uwagę. Po pierwsze dlatego, że do większości usług publicznych się dopłaca, a po drugie – dopłacać będzie nie ten, kto zaplanował. Pociągi wielkich prędkości stały się po prostu jednym z elementów budowania prestiżu czynowników, prowincji i kraju. Lokalni kacykowie zapewne spoglądali z zazdrością na fotografie pana Liu Zhijuna z zagranicznymi gośćmi, jak choćby z Nancy Pelosi, na tle supernowoczesnych pociągów, i tłumaczyli sobie, że i oni powinni dążyć do nowoczesności, bo w tym kierunku idzie cały kraj, któremu zazdrości – to jasne – cały świat.

ZAKAZ ZACIĄGANIA ZOBOWIĄZAŃ

Wielki skok kolejowy doprowadził do zadłużenia, jakie normalnym ludziom się nie śniło. Pod koniec kariery pana Liu okazało się, że wielkość długu z tytułu inwestycji w koleje wielkich prędkości osiągnęła 70 proc. całości kolejowych aktywów. Aresztowanie pana Liu w niczym nie pomogło, bo do roboty wzięli się ambitni działacze lokalni, którzy w następnej dekadzie doprowadzili do tego, że według danych przedstawionych na początku tego roku w niektórych prowincjach zadłużenie było pięciokrotnie większe niż wielkość wpływów podatkowych, a jedna trzecia miast nie była w stanie płacić nawet odsetek od swojego długu. Ministerstwo finansów zakazało na początku 2025 r. zaciągania nowych zobowiązań bez uprzedniego spłacenia starych, wspominając coś o „żelaznej dyscyplinie". Tylko czy przyzwyczajeni do olśniewania świata Chińczycy się do tego zakazu zastosują?

Roczne utrzymanie kilometra kolei wielkich prędkości kosztuje ok. 1 mln juanów (równowartość ponad 140 tys. dol.), czyli koszt utrzymania wszystkich linii to ok. 45 mld juanów. W dodatku flota nowoczesnych pociągów zdolnych rozwijać prędkość 250–350 km/h już za ok. 10 lat wejdzie w okres przeglądów i napraw gwarancyjnych, których wartość będzie wynosiła mniej więcej 20 proc. ich ceny. Do odsetek za kredyty trzeba więc będzie dodać pokrycie tych kosztów. Cena biletu na szybki pociąg jest trzykrotnie wyższa niż na pociąg zwykły, a wiele linii świeci pustkami, więc możliwość zwiększenia wpływów przy pomocy podniesienia cen jest raczej iluzoryczna. Pozostaną więc stare sposoby polegające na zaciąganiu nowego długu na pokrycie starego. W tym roku lokalne władze planują wypuścić obligacje na kwotę 4 bln juanów, o pół biliona więcej niż rok wcześniej. Informująca o tym agencja Xinhua mimochodem dodała wiadomość, że przeterminowany skumulowany dług samorządów wynosi obecnie ok. 51,25 bln juanów...

Chińscy kolejarze starają się więc subsydiować koleje wielkich prędkości z przychodów z kolei tradycyjnych, które funkcjonują dobrze, i z przewozów towarowych, które funkcjonują bardzo dobrze. Tu ważna uwaga: przewozy towarowe nie są możliwe na trasach przystosowanych do wielkich prędkości – takie koleje są wyłącznie do użytku pasażerskiego. Trudno sobie zresztą wyobrazić załadowany węglem czy żelazem skład rozpędzony do 350 km/h, chociaż... Byłaby to chyba dobra metafora stanu, w którym znalazł się chiński państwowy cud kolejowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071



Piotr Włoczyk

Władimir Putin i Xi Jinping zostali przyłapani na rozmowie o odmładzaniu ludzkich organizmów. Na świecie nie brakuje badaczy i hojnych sponsorów, którzy starają się zrealizować koszmarne w gruncie rzeczy wizje



– Do końca tego stulecia ludzie być może będą żyli nawet 150 lat – przekonywał Władimira Putina (z prawej) przywódca Chin Xi Jinping FOT. ALEXANDER KAZAKOV/ZUMA PRESS/FORUM

Siedemdziesięcioletnie dzieci

Wielka wrześniowa parada wojskowa w Chinach przykuła uwagę świata z powodu prezentowanej tam potęgi armii Państwa Środka. Drony, lasery i zabójczo szybkie pociski balistyczne – idealne tło dla kolejnego hollywoodzkiego hitu o rywalizacji mocarstw, która w każdej chwili może przerodzić się w totalną wymianę nuklearną. Na marginesie tego zjazdu przywódców azjatyckich państw doszło jednak do sytuacji, która bardziej kojarzyć się może z serią filmów spod szyldu „Austin Powers", a konkretnie z planami arcyzłego dr. Evila. Oto przywódca Chin Xi Jinping, przechadzający się w towarzystwie prezydenta Rosji Władimira Putina, dyktatora Korei Północnej Kim Dzong Una i przywódcy Białorusi Alaksandra Łukaszenki, zwraca się – za pośrednictwem tłumacza – do przywódcy Rosji: „W przeszłości mówiło się, że ludzie rzadko dożywają siedemdziesiątki. Ale dziś w wieku 70 lat wciąż jest się właściwie dzieckiem". Putin podchwycił temat, odpowiadając: „Za kilka lat, wraz z rozwojem biotechnologii, ludzkie organy będą mogły być cały czas przeszczepiane, przez co ludzie będą się odmładzać, a być może nawet żyć wiecznie". Xi Jinping odparł na to: „Do końca tego stulecia ludzie być może będą żyli nawet 150 lat".

Ten fragment rozmowy dwóch 72-latków został przypadkowo „podsłuchany" przez mikrofony i trafił do światowych mediów. Chińskie władze desperacko starały się potem naprawić ten błąd, próbując przymusić m.in. Reutersa do skasowania nagrania pokazującego tę dziwaczną wymianę myśli, ale mleko już się rozlało. Próba wymazania tamtej rozmowy okazała się klasycznym przykładem „efektu Streisand" – skutek takiego działania był dokładnie odwrotny do zamierzonego.

Krótką wypowiedź Władimira Putina o wiecznym życiu na ziemi można byłoby zbyć jako ciekawostkę, gdyby nie to, że Rosja w ostatnich latach uruchomiła rządowy program mający znacząco wydłużyć życie swoich obywateli m.in. poprzez badania nad starzeniem się komórek, a także fakt, że Władimir Putin ewidentnie sam robi wiele, by opóźnić efekty starości. Widać to doskonale na jego twarzy – Putin w dość desperacki sposób stara się wygładzić skórę i zmarszczki, dodatkowo „pompując" usta botoksem.

ELIKSIR Z RTĘCIĄ

Satrapa na tronie marzący o nieśmiertelności to oczywiście nic nowego. Weźmy choćby pierwszego cesarza Chin, Qin Shi Huanga, który wysyłał ekspedycje, by odnaleźć legendarne Wyspy Nieśmiertelności (w swoich poszukiwaniach eliksiru wiecznej młodości władca pił m.in. rtęć, co miało raczej przeciwne działanie). W bliższych nam czasach Robert Mugabe, dyktator Zimbabwe w latach 1980–2017, znany był z częstych lotów do Singapuru w celach medycznych. Jednym z jego sposobów na oszukanie (a raczej próbę oszukania) czasu były transfuzje krwi, którym poddawał się regularnie. Trudno oceniać skuteczność tych zabiegów, natomiast faktem jest, że Mugabe dożył 95 lat.

Kremlowski program badań nad długowiecznością prześwietlił w zeszłym roku niezależny rosyjski portal Meduza (z siedzibą na Łotwie). Efektem był tekst pt. „Kto chce żyć wiecznie? Kulisy planu rosyjskich władz chcących stworzyć technologię powstrzymującą starzenie".

Punktem wyjścia artykułu jest ogłoszony w lutym zeszłego roku przez

eprasa.pl 0f0a3f5071

Putina plan „Nowe technologie zapewniające zdrowie". Tatiana Golikowa, rosyjska wicepremier, trzy miesiące później doprecyzowała, że rząd federalny będzie inwestował w „technologie, które zapobiegają starzeniu się komórek, neurotechnologie i inne innowacje, które mają zapewnić długowieczność".

Państwowa agencja TASS poinformowała, że do 2030 r. w projekt, który tak zainteresował Putina, rząd wpompuje równowartość 2,6 mld dol. Według rosyjskich władz ten program ma do tego czasu uratować co najmniej 175 tys. osób (pytanie, czy o wiele lepszych skutków nie przyniosłaby zakrojona na szeroką skalę kampania przeciwalkoholowa; w Rosji aż jedna trzecia zgonów powiązana jest z nadużywaniem alkoholu).

Według ustaleń portalu Meduza projekt nie powstał jedynie z powodów czysto praktycznych. „Michaił Kowalczuk, który jest opętany wizją nieśmiertelności i »rosyjskiego genomu«, zainteresował tym tematem prezydenta" – powiedziało Meduzie źródło na Kremlu. Michaił Kowalczuk, szef Instytut Kurczatowa, jednostki badawczej zajmującej się energią jądrową, to bliski znajomy prezydenta Rosji. Jego młodszym bratem jest z kolei Jurij Kowalczuk, miliarder nazywany „osobistym bankierem Putina". Co ciekawe, starszy z braci Kowalczuków zajmuje się również badaniami genetycznymi i jest przełożonym Marii Woroncowej, starszej córki Putina, która jest endokrynologiem.

Jednym z projektów nadzorowanych przez Michaiła Kowalczuka jest badanie możliwości „drukowania" organów do przeszczepów. Być może właśnie to miał na myśli Putin, mówiąc: „Ludzkie organy mogą być cały czas przeszczepiane".

BBC poprosiło o wypowiedź na ten temat prof. Neila Mabotta, eksperta w dziedzinie immunopatologii z University of Edinburgh. Jego zdaniem 125 lat to absolutne maksimum długości ludzkiego życia i granica ta zarezerwowana jest dla wyjątkowych przypadków (do tej pory światową rekordzistką długości życia była Francuzka Jeanne Calment, która zmarła w 1997 r. w wieku 122 lat).

Według tego specjalisty w zakresie przeszczepów wielokrotna „wymiana" organów, o której marzy Putin, to bez wątpienia ślepy zaułek.

„Ogromne obciążenie organizmu, jakim jest transplantacja organu, wraz z koniecznością przyjmowania leków immunosupresyjnych, które chronią przed odrzuceniem przeszczepianych narządów, sprawiają, że wszystko to byłoby zbyt ciężkie dla pacjentów w tak zaawansowanym wieku" – powiedział BBC prof. Mabbott. Jego zdaniem skupianie się na wydłużaniu życia za wszelką cenę jest pozbawione sensu. Zamiast tego powinno się dążyć do dbania o zdrowe życie, mimo że będzie ono krótsze. „Bardzo długie życie, które wiązałoby się jednak z przeróżnymi chorobami towarzyszącymi starości, a do tego kolejne pobyty w szpitalu w celu przeszczepienia organów – to wszystko nie wydaje mi się zbyt kuszącą wizją spędzenia emerytury" – powiedział prof. Mabbott.

Nic nie wiadomo, by w chińskie badania nad powstrzymywaniem procesu starzenia się zaangażowany był jakiś bliski znajomy Xi Jinpinga, który zafascynowałby szefa swoim entuzjazmem, ale bez wątpienia również w ChRL trwają prace nad próbą oszukania biologicznego zegara. W tym roku dosyć głośno było w środowisku naukowym o – podobno całkiem obiecujących – wynikach badań nad „odmładzaniem" małp doświadczalnych, czym zajmują się specjaliści z Chińskiej Akademii Nauk.

KREW OD SYNA

A jak wygląda pogoń za wieczną młodością za oceanem? W USA badania w tym zakresie funduje przede wszystkim sektor prywatny. Amerykańskie media donosiły niedawno, że szczególnie zainteresowani tym tematem są trzej miliarderzy z Doliny Krzemowej – Jeff Bezos, Sam Altman oraz Peter Thiel. Szefowie Amazona i Open AI zainwestowali krocie w zajmujące się „odmładzaniem" firmy Retro Biosciences oraz Altos Labs, natomiast Thiel, współzałożyciel m.in. PayPala, inwestuje w działalność Methuselah Foundation, biomedycznej instytucji badawczej, która zawiesza sobie poprzeczkę wyjątkowo wysoko. Jej kierownictwo deklaruje, że do 2030 r. chce sprawić, by 90-latkowie stali się nowymi... 50-latkami.

Jednak wszystkim potencjalnym inwestorom, którzy skłonni są wydawać fortunę, by próbować oszukać śmierć, warto polecić literaturę fachową. Przykładowo: tekst naukowy opublikowany w zeszłym roku w magazynie „Nature" pod wszystko mówiącym tytułem: „Brak szans na radykalne wydłużenie ludzkiego życia w XXI w.". Jego autorami są czterej amerykańscy eksperci, którzy poświęcili swoje życie zawodowe na badanie procesów starzenia się organizmów. Według ich szacunków w najlepszym razie 15 proc. kobiet i tylko 5 proc. mężczyzn będzie w stanie dożyć w XXI w. 100 lat.

Żadne badania i fakty nie zrażają jednak Bryana Johnsona, bodaj najbardziej znanego na świecie zapaleńca, który stara się odmładzać swój organizm. Ten 47-letni amerykański multimilioner przykuł uwagę mediów swoją drakońską dietą i reżimem ćwiczeń. Jeżeli wszystko to, co Johnson pokazuje w swoich mediach społecznościowych, jest prawdą, to całe jego życie kręci się wokół odmierzania kalorii, przyjmowania kolejnych pastylek suplementów, spania ze stoperem w ręku, poddawania się następnemu przedziwnemu „zabiegowi" i wreszcie sprawdzania czystości wody pitnej i powietrza, które krąży w jego domu (przerobionym na jedno wielkie laboratorium, gabinet zabiegowy i siłownię).

Pragnąc wyglądać jak nastolatek, Johnson postanowił w końcu sięgnąć po mocno kontrowersyjne „zasoby biologiczne". Wprawdzie jeszcze nie poddał się transplantacji, ale ma już za sobą kurację à la Robert Mugabe. Otóż Johnson wstrzykiwał sobie osocze krwi pobrane od... własnego 17-letniego syna, przekazując równocześnie swoją krew ojcu. Miała to być „trzypokoleniowa wymiana"... W końcu jednak Johnson zrozumiał, że takie zabiegi rodem z piwnicy dr. Frankensteina nic nie dają, więc porzucił tę metodę „odmładzania" (być może powodem zaprzestania eksperymentów było również to, że sprawą zainteresował się amerykański odpowiednik sanepidu).

Niewykluczone, że wszystkie te starania Johnsona zostaną uwieńczone olbrzymim sukcesem finansowym. Korzystając ze swoich rosnących zasięgów, multimilioner założył bowiem firmę produkującą m.in. suplementy mające wydłużyć życie. I całkiem prawdopodobne, że pigułki Johnsona pojawiły się już w najważniejszym gabinecie na Kremlu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071



Hossa na „Titanicu”



Jacek Przybylski

Na ten ruch czekał cały świat. Amerykańska Rezerwa Federalna obniżyła w zeszłą środę stopy procentowe. Czy ta decyzja uchroni Stany Zjednoczone przed recesją, a globalne rynki finansowe przed bolesną korektą?

Szybki rzut oka na wykresy pokazujące skalę wzrostów na światowych giełdach w ostatnich latach może wywołać wrażenie, że ludzkość wynalazła wreszcie niezawodną maszynkę do robienia pieniędzy. W ciągu ostatnich pięciu lat wartość indeksu S&P 500 wzrosła o 99 proc. (tylko w tym roku o 12,47 proc.). Nasdaq w ciągu pięciu lat poszybował w górę aż o 106,25 proc. (od początku obecnego roku o 15,46 proc.). Wielkie wzrosty notują nie tylko amerykańskie rynki. Niemiecki DAX w ciągu pięciu lat dał zarobić 80 proc. (od początku 2025 r. ponad 18 proc.), a polski WIG20 ponad 63 proc. (od stycznia obecnego roku wzrósł o ok. 27 proc.). Jednocześnie bitcoin w ciągu pięciu lat przyniósł stopę zwrotu na poziomie 972 proc., a od początku roku można było na nim zyskać 89 proc. Wydawać by się mogło, że hossa będzie trwać bez końca…

SPRZEDAJĄCY INSIDERZY

Na rynku jest już wiele sygnałów, które mogą świadczyć o tym, że wielki krach na rynkach finansowych może nadejść już niebawem. Pierwszym z nich jest zachowanie najbardziej doświadczonych inwestorów. Legendarny miliarder Warren Buffett konsekwentnie gromadzi zapasy gotówki. W czwartym kwartale ubiegłego roku sprzedał akcje o wartości ponad 130 mld dol. i zwiększył zapasy gotówki do rekordowego wówczas poziomu 334 mld (!) dol. Gdy zaś 30 sierpnia 2025 r. obchodził, uważany za jednego z najlepszych inwestorów na świecie, swoje 95. urodziny, na kontach kierowanego wciąż przez niego wehikułu inwestycyjnego Berkshire Hathaway było aż 347,7 mld dol. w gotówce i w bonach skarbowych. Wcześniej Warren Buffett wielkie rezerwy gotówkowe tworzył przed pęknięciem bańki internetowej, a także przed wybuchem globalnego kryzysu finansowego w roku 2008. Jedna

eprasa.pl 0f0a3f5071



Na tę decyzję szefa Fed Jerome'a Powella czekali inwestorzy na całym świecie FOT. BRENDAN MCDERMID/REUTERS/FORUM

z jego najsłynniejszych rad inwestycyjnych brzmi: „Bój się, gdy inni są chciwi, i bądź chciwy, gdy inni się boją".

Ostrożność wobec akcji pokazuje nie tylko Wyrocznia z Omaha. Również Jim Rogers, słynny współzałożyciel Quantum Fund, już od kilku lat ostrzega, że wyceny wielu amerykańskich spółek zamieniły się w potężne bańki. Rogers nie ukrywa, że podobnie jak Buffett gromadzi potężne rezerwy gotówki. – Trzymam dużo gotówki, ponieważ spodziewam się, że kolejna wyprzedaż będzie najgorsza w moim życiu. Zadłużenie wszędzie bardzo bowiem wzrosło. Nawet Indie są teraz zadłużone. Powinniście się więc martwić. Ja się martwię. Czekam na ten krach, bo wiem, że tym razem będzie bardzo, ale to bardzo źle – mówił inwestor w sierpniowym wywiadzie dla „Economic Times". – Od dawna wszystko rośnie. W historii zawsze było zaś tak, że kiedy wszyscy zarabiali dużo pieniędzy, to był to czas, w którym trzeba się było martwić. Martwię się więc – wyjaśniał Rogers.

Rosnące rezerwy gotówkowe w portfelach doświadczonych inwestorów to tylko jeden z sygnałów, który może zwiastować zbliżającą się poważną korektę na rynku akcji.

Kolejnymi mogą być jasne ostrzeżenia ekspertów. Znany amerykański ekonomista David Rosenberg, który trafnie przewidział kryzys z roku 2008, ostrzega przed „gigantyczną bańką cenową" na amerykańskim rynku akcji z „ekstremalnymi wycenami" spółek. „Tak właśnie wygląda stan euforii. Może go teraz obserwować na żywo" – zauważył Rosenberg, podkreślając, że to ten moment, w którym ceny na rynkach rosną wbrew fundamentom i wbrew wskazującym na spowolnienie danym makroekonomicznym.

Oczywiście można zlekceważyć ostrzeżenia ekspertów. W końcu wielu analityków przed spadkami ostrzega od lat, a rynki wbrew ich słowom ciągle rosną. Warto jednak spojrzeć na konkretne transakcje insiderów z ostatnich miesięcy. Na początku września obecnego roku amerykańskie media zwróciły bowiem uwagę, że na Wall Street coraz głośniej słychać o niebezpiecznym zjawisku nazywanym „wielką inwersją". „W ciągu ostatniego tygodnia 198 z 200 największych transakcji insiderów pod względem wartości to sprzedaż. W ciągu ostatnich dwóch tygodni 398/400 to sprzedaż" – napisał 8 września na platformie X Kevin Malone z Malone Wealth – firmy doradczej w zakresie zarządzania aktywami i budowania majątku. Taka skala podaży ze strony „insiderów", czyli ludzi mających wartościową wiedzę z wewnątrz spółek, nie napawa optymizmem.

A to nie koniec złych wiadomości. Statystycznie w Stanach Zjednoczonych mniejsze i większe kryzysy występowały co cztery–siedem lat. Tymczasem od czasu krachu w latach 2008–2009 nic wielkiego się nie wydarzyło. Najbliższy kryzys jest więc raczej bliżej niż dalej.

Co więcej, wskaźnik ceny do zysku (CAPE) indeksu S&P 500 skorygowany cyklicznie wynosi obecnie ok. 38. Posiadacze różowych okularów (nie muszą być markowe) mogą oczywiście tak wysoką wartość interpretować jako dowód optymizmu globalnych inwestorów co do przyszłego wzrostu kursów akcji. Wskaźnik CAPE – spopularyzowany przez laureata Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii Roberta J. Shillera i z powodzeniem wykorzystywany przez inwestorów na całym świecie do oceny – pokazuje bowiem, czy dana spółka lub dany rynek akcji jest niedowartościowany, wyceniany neutralnie czy przewartościowany. Akcje na rynkach rozwiniętych tradycyjnie są uważane za drogie, jeśli wartość CAPE przekracza 18. Wartość CAPE powyżej 22, niech będzie nawet 25, to już jasny sygnał do zachowania wielkiej ostrożności. Historycznie poziomy powyżej 35 wskazywały, że rynek jest już naprawdę mocno przegrzany, i prognozowały, że gdy tylko wyniki spółek przestaną spełniać wyśrubowane oczekiwania, to rynki niechybnie wpadną w łapy niedźwiedzia. Mocno przegrzany wydaje się nie tylko S&P 500, lecz także skupiający spółki technologiczne Nasdaq. Kapitalizacja rynkowa indeksu Nasdaq w stosunku do podaży pieniądza M2 w Stanach Zjednoczonych osiągnęła bowiem w ostatnich tygodniach rekordowy poziom 176 proc. Tłumacząc tę wartość na język normalnego człowieka: wartość rynkowa Nasdaq jest już niemal dwukrotnie większa od całkowitego zasobu płynnego pieniądza w gospodarce. Jeszcze bardziej niepokojący jest fakt, że wspomniany wskaźnik przebił już szczyt z czasów bańki internetowej z 2000 r. o niemal 50 p.p.

Rosnące rezerwy gotówkowe w portfelach doświadczonych inwestorów to tylko jeden z sygnałów ostrzegawczych

Mimo tych sygnałów na razie eksperci największych banków wydają się nie widzieć powodów do paniki. Według analityków Deutsche Bank wartość indeksu S&P 500 do końca obecnego roku wzrośnie o 6 proc., z 6600 do 7000 punktów. JPMorgan prognozuje niewielką korektę (-1,3 proc.), a Barclays

eprasa.pl 0f0a3f5071

– spadek o 2 proc. Większego ruchu w dół spodziewają się analitycy Bank of America, którzy prognozują spadek do 6300 punktów (-4,55 proc.). Kto ma rację? To już rozstrzygnie rynek.

KŁOPOTY Z HIPOTEKĄ

Pewne jest, że krach może dotknąć nie tylko rynki akcji, lecz także wyceny mieszkań i domów. Imponującą skalę wzrostów osiągnęły bowiem w ostatniej dekadzie również wyceny nieruchomości. Dla inwestorów za oceanem lampka ostrzegawcza powinna jednak zacząć migać już podczas analizy wykresów najczęściej wyszukiwanych słów w najpopularniejszej wyszukiwarce świata. Fraza „help with mortgage" (z ang. pomoc z hipoteką) była bowiem ostatnio wpisywana w Google przez internautów najczęściej od 2008 r.

Czy wykres Google Trends jest już dowodem na nadchodzący wielki kryzys? Niekoniecznie. To jednak jeden z ważnych sygnałów, który powinien skłaniać do ostrożności w lokowaniu środków w nieruchomości. Ogólnoświatowy kryzys, którego szczyt przypadł na lata 2008–2009, zapoczątkował zaś właśnie krach na rynku kredytów hipotecznych, gdy Amerykanów przestało być stać na spłacanie zaciągniętych zobowiązań. To właśnie wówczas doszło do pęknięcia wielkiej spekulacyjnej bańki na nieruchomościach i globalnego kryzysu finansowego, który doprowadził do bankructwa wiele banków (w tym tak wielkich jak Lehman Brothers).

Teoretycznie tym razem kłopoty ze spłatą hipoteki spowodowały wygórowane stopy procentowe (amerykański bank centralny podniósł je rekordowo wysoko, aby stłumić inflację), przez co raty mocno wzrosły. Zwykli Amerykanie zaczęli więc mieć coraz większe problemy z dopinaniem domowego budżetu. I chociaż w ostatnich miesiącach wysokość rat spadła, to na rynku pojawiły się kolejne sygnały ostrzegawcze: mocno wzrosła podaż domów (jest najwyższa od 2008 r.), a jednocześnie liczba rozpoczętych budów domów w USA spadła do najniższego poziomu od dwóch i pół roku.

Jednocześnie coraz słabsze wydają się być fundamenty amerykańskiej gospodarki, w tym rynek pracy. Przyrost nowych etatów od czterech miesięcy jest wyjątkowo mizerny. Z wrześniowych danych Biura Statystyki Pracy wynika, że zatrudnienie w USA w sierpniu 2025 r. wzrosło zaledwie o 22 tys. etatów.

Jednocześnie rośnie liczba nowych wniosków o zasiłek dla bezrobotnych. Na razie stopa bezrobocia pozostaje jednak stabilna i wynosi 4,1 proc. wśród dorosłych mężczyzn i 3,8 proc. wśród kobiet. Słabe dane z rynku pracy to kolejny sygnał ostrzegawczy, który sugeruje, że – mimo obniżki stóp ogłoszonej przez Fed 17 września – Stanom Zjednoczonym może grozić recesja.

SUPERCYKL ZŁOTA I SREBRA?

Przed ogromnym zadłużeniem nie tylko rządu Stanów Zjednoczonych, lecz także zwykłych Amerykanów – których zobowiązania z tytułu samych kart kredytowych są obecnie najwyższe w historii – przestrzega zaś Robert Kiyosaki. Autor książki „Bogaty ojciec, biedny ojciec" ostrzega więc przed nadchodzącą wielką depresją, która zamieni w nędzarzy miliony Amerykanów. Kiyosaki konsekwentnie doradza więc kupno bitcoinów, złota oraz srebra, prognozując, że do 2035 r. cena bitcoina wzrośnie ponad 1 mln dol., złoto podrożeje do 30 tys. dol., a srebro do 3 tys. dol. I chociaż brzmi to obecnie wyjątkowo niewiarygodnie, to niektóre z jego prognoz krótkoterminowych już się sprawdziły. „Złoto wkrótce przebije poziom 2100 dolarów i wystrzeli w górę. Będziesz żałować, że nie kupiłeś złota poniżej 2000 dolarów. Następny przystanek: złoto za 3700 dolarów" – pisał Kiyosaki w październiku 2023 r. I rzeczywiście, uncja złota mocno podrożała, osiągając na krótko w ubiegłym tygodniu poziom 3702,95 dol. za uncję. W skali roku ceny złota wzrosły o ponad 40 proc.

Przed ogromnym zadłużeniem rządu USA, a także zwykłych Amerykanów ostrzega m.in. słynny Robert Kiyosaki

Dalsze osłabianie się dolara tworzy przestrzeń do dalszych wzrostów kruszcu. Część analityków prognozuje, że podjęta 17 września przez Fed decyzja o poluzowaniu polityki pieniężnej wywoła supercykl, który wywinduje ceny złota do 10 tys. dol. za uncję, a srebra – do 100 dol.

W surowcach swe nadzieje pokłada również wspomniany na początku tekstu Jim Rogers. Słynny amerykański inwestor w swych analizach wskazuje m.in. na gigantyczny dług publiczny Stanów Zjednoczonych, który sięga już 37,43 bln (sic!) dol. i wciąż rośnie. Właśnie dlatego Rogers zapytany, na co ewentualnie wydałby dziś swoje potężne zapasy gotówki, doradza „srebro i ziemię rolną". Jak tłumaczy, ceny złota już są na historycznym maksimach, tymczasem srebro jest jeszcze na poziomie 40–50 proc. od swoich rekordowych wycen.

Za duży popyt na złote sztabki odpowiadają m.in. banki centralne. Wśród nich ważnym klientem u dealerów złota stał się Narodowy Bank Polski. Zarząd NBP podjął w połowie września obecnego roku decyzję o strategicznym zwiększeniu udziału złota z ok. 22 proc. aż do 30 proc. oficjalnych aktywów rezerwowych. „W tych trudnych czasach globalnych zawirowań i poszukiwania nowego porządku finansowego złoto jest jedyną pewną lokatą rezerw państwowych" – przekonywał prezes NBP prof. Adam Glapiński. I nie jest w tej postawie odosobniony. Banki centralne w latach 2022–2024 odnotowały rekordowe zakupy złota. Tylko w roku ubiegłym nabyły one ponad 1000 ton tego kruszcu. To dwa razy więcej, niż wynosiła średnia zakupów królewskiego metalu w drugiej dekadzie XXI w. Zgodnie z prognozą JPMorgan złoto ma osiągnąć poziom 4 tys. dol. za uncję już w połowie 2026 r. Czy tak się stanie? I czy szefowie banków centralnych kupują tak dużo kruszcu, bo wiedzą coś więcej niż zwykły Kowalski? Nie wiadomo. Nagłe zakupy złota przez banki centralne mogą być jednak traktowane jako kolejny sygnał nadchodzących zawirowań.

Przy podejmowaniu jakichkolwiek decyzji inwestycyjnych trzeba jednak pamiętać, że nie bez powodu ekonomiści należą do grona tych ekspertów, którzy potrafią dziś bardzo dokładnie wytłumaczyć, dlaczego ich wczorajsza prognoza się nie sprawdziła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0f0a3f5071



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kilka pytań w sprawie wojny

Jestem z tych ostatnich, którzy paliliby się do wojny, ale za to z tych pierwszych, którzy „od zawsze" zabiegają o to, by być do niej zawsze gotowym. I dlatego byłem np. przeciwny populistycznemu zlikwidowaniu w 2009 r. w Polsce przez rząd Tuska powszechnego poboru do wojska – bez jednoczesnego stworzenia innego systemu ustawicznego uzupełniania stanu polskiej armii rezerwowej.

Dlatego też jestem bardzo ciekaw – i tak brzmi moje pierwsze pytanie po „nocy dronów nad Polską" – dlaczego do tej pory ani nie przywrócono u nas powszechnego poboru, ani nie stworzono innego systemu uzupełniania stanu armii rezerwowej, mimo że od inwazji Rosji na Ukrainę – którą politycy niemal wszystkich partii tak chętnie nas straszą – minęły już grubo ponad trzy lata? Czy dlatego, że jedyni, którzy mogą to uczynić, czyli politycy rządzących (wcześniej i dziś) partii (PO, PiS, itd.), bardziej troszczą się o swoje posady, które mogliby stracić wskutek niezadowolenia wyborców?

Po drugie: Dlaczego Polska do dziś faktycznie nie dysponuje skutecznym systemem obrony powietrznej (w tym: przeciwdronowej – co widać gołym okiem), a o programach „Wisła", „Narew" i „Pilica", mających ponoć utworzyć legendarną Tarczę Polski, wciąż tylko czytamy i słyszymy: że „już prawie", „już wkrótce", „już… za kilka lat". A potem, gdy przychodzi co do czego, to kto chce, wysyła nad Polskę tyle dronów, ile chce i pewnie nie posiada się z radości, widząc, jak sobie z nimi nie radzimy. I na to już innych – oprócz nieudolności i brakoróbstwa – wyjaśnień znaleźć nie umiem. No, chyba że pieniądze, które politycy powinni wydać na te systemy, zostały przez nich przepuszczone na zasiłki „800+" oraz na 13. i 14. emerytury, czyli na te i inne prezenciki dla wyborców, żeby ci wybrali ich znów do władzy.

I wreszcie po trzecie, po czwarte, po piąte itd.: Czy wiadomo komuś coś nowego o schronach w Polsce? Gdzieś wreszcie jakiś zbudowano? A może kogoś poinformowano, gdzie „w razie czego" powinien się schronić? A może ktoś słyszał o choćby starcie budowy prawdziwej Obrony Cywilnej? Albo nasze szpitale zostały przygotowane na wypadek „W"? No to może chociaż wreszcie rozpoczęto w Polsce produkcję, na dużą skalę – adekwatną do komunikowanego przez polityków zagrożenia – amunicji wielkokalibrowej 155 mm, której mamy ponoć na niewiele dni walki? No a może choć fabryki dronów pracują u nas pełną parą? Albo ułatwiono Polakom dostęp do broni? Hm, no tak, jasne…

Ale na szczęście prezydent Nawrocki był w Waszyngtonie i „załatwił" u prezydenta Trumpa niezmniejszanie w Polsce kontyngentu amerykańskich wojsk. Więc nadal... „hulaj dusza, wojny nie ma"? ©℗



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zamknięte, bo zamknięte. Proszę nie drążyć

Manewry Zapad-2025 się skończyły – granica z Białorusią pozostaje zamknięta. Dlaczego w ogóle ją zamknięto? Nie wiadomo. Zapytane o to przeze mnie MSWiA odpowiada okrągłymi zdaniami: „Zamknięcie granicy polsko-białoruskiej obowiązuje do odwołania i jest podyktowane troską o bezpieczeństwo Polek i Polaków. Zapewnienie bezpieczeństwa obywateli jest dla nas priorytetem". Podobnie brzmi odpowiedź na pytanie, jakie są warunki ponownego otwarcia choćby jednego przejścia granicznego: „Przywrócimy ruch wtedy, kiedy granica będzie w pełni bezpieczna, gdy potwierdzą to informacje przekazane przez służby".

Innymi słowy: nie powiemy, dlaczego zamknęliśmy granicę i kiedy ją ponownie otworzymy. I po co drążyć temat? Ano choćby dlatego, że polskie firmy ponoszą w związku z tym straty. MSWiA oznajmia w swojej odpowiedzi na moje pytania, że te straty oceni, kiedy granica zostanie ponownie otwarta. A kiedy to się stanie – patrz wyżej.

Są dwa możliwe wyjaśnienia tej sytuacji. Pierwsze – optymistyczne – że jesteśmy świadkami próby podjęcia gry z Pekinem, którego przedstawiciel, pan Wang Yi, dopiero co był w Polsce. Zamknięcie granicy z Białorusią odcina bowiem tzw. Korytarz Północny Jedwabnego Szlaku, najkrótszy z kilku możliwych, a więc i najtańszy. Miałoby chodzić o wywarcie przez Chiny presji na Białoruś w sprawie nielegalnej imigracji. Białoruś, z którą – przypomnę – USA odmrażają relacje, a Polska w tym momencie zamraża. Tyle że Pekin nie jest w sytuacji przymusowej. Może dla Jedwabnego Szlaku skorzystać z korytarzy Środkowego lub Południowego. Dłuższych, mniej wygodnych, ale dostępnych.

Drugie wyjaśnienie – bardziej prawdopodobne – jest takie, że to wyłącznie gra na użytek wewnętrzny. Że rząd postanowił odebrać inicjatywę prezydentowi poprzez napędzanie strachu i rozgrywanie tematów takich jak zamknięta granica, obojętnie jakim kosztem dla polskiej gospodarki.

Jeśli to wyjaśnienie jest trafne, to nadzieja w Niemcach. Oni bowiem też tracą na zamkniętym Korytarzu Północnym Jedwabnego Szlaku, będąc jego hubem końcowym. Polskimi firmami niestety nikt się nie przejmuje. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Spotkanie rozbiorowe w Piszu



JACEK KOMUDA

Dzisiejszy Pisz, kiedyś niemiecki Johannisburg, a pruski Pisis, historię ma ciekawą, sięgającą czasów plemion pruskich, a potem Krzyżaków, którzy wybudowali tutaj zamek, kilkukrotnie zdobyty przez Litwinów. Z historią Rzeczypospolitej miał wiele wspólnego. Tutaj 7 czerwca 1698 r. odbyło się polowanie elektora brandenburskiego i księcia pruskiego Fryderyka I oraz nowo wybranego króla Polski Augusta II Mocnego. Według legendy łupem myśliwych padły wówczas ostatnie żubry w okolicznych puszczach. Dla nas miało to konsekwencje nieciekawe, ponieważ pierwszy raz w historii elektor wysunął roszczenia do terytoriów Rzeczypospolitej. W zamian za długi, które zaciągnął jeszcze Jan Kazimierz, zażądał nadania w lenno Lęborka i Bytowa, a także oddania Elbląga.



RYS. OBA

Fryderyk I, który już za trzy lata koronował się na króla w Prusach, jak zwykle wykorzystał kłopoty finansowe kolejnego króla Polski potrzebującego pieniędzy na wojnę z Turcją. Już wcześniej, bo w styczniu 1698 r., elektor zaoferował 100 tys. talarów pożyczki w zamian za załatwienie wszystkich spornych spraw. August spotkał się z nim na zamku w Piszu i ostatecznie wynegocjował kwotę 150 tys. talarów. Król potajemnie pozwolił Prusom na zajęcie Elbląga, przekraczając przy tym swoje uprawnienia. Władcy Polski i Litwy nie mogli bowiem bez zgody sejmu pozbywać się żadnych ziem Rzeczypospolitej. Dlatego rozmowy odbywały się na początku w cztery oczy – bez polskich świadków.

Rokowania, które ciągnęły się jeszcze długo po tym spotkaniu, nie zadowoliły elektora. Fryderyk III zdecydował się zatem na siłowe rozwiązanie – 13 i 14 października podjął próbę opanowania Elbląga, rozpoczynając oblężenie, które skończyło się ostatecznie 10 listopada zajęciem miasta. W Rzeczypospolitej wybuchła wówczas burza, podejrzewano także, że obecność wojsk saskich, które wprowadził do Korony August, ma jakiś związek z działalnością elektora. Ostatecznie na sejmie pacyfikacyjnym w 1699 r. postanowiono wyłonić komisję, która pokojowymi metodami miała doprowadzić do załatwienia całej sprawy. Elektor ostatecznie oddał Elbląg po tym, jak obiecano mu wykupić miasto przez Rzeczpospolitą za 300 tys. talarów. Z powodu wojny ze Szwecją dług ten nie został uregulowany. Wówczas Fryderyk III zajął w 1703 r. tzw. terytorium elbląskie, czyli wiejskie posiadłości; żyzne ziemie żuławskie należące do miasta, odbierając mu prawie połowę dochodów.

Od tego czasu Prusy rozpoczęły dyplomatyczną grę, wprowadzając do swoich postulatów stałe żądania przeprowadzenia rozbioru ziem Polski – zwykle chciały Prus Królewskich lub Kurlandii. Sprzyjało temu to, że August II wpakował Polskę i Litwę w wielką wojnę północną ze Szwecją i stale próbował pozyskać do współpracy Fryderyka.

W trakcie rokowań w Piszu przy boku króla znajdował się Johann August Marschall von Bieberstein, syn saskiego radcy stanu, który w 1700 r. przeszedł na stronę Prus i miał opinię człowieka przyjaznego Sasom. Był to wytrawny i nieugięty zwolennik rozbiorów Rzeczypospolitej. Jak pisze Urszula Kosińska, „pojawiał się na dyplomatycznej scenie zawsze, gdy zaczynano mówić o aneksji lub rozbiorze ziem polskich". Bieberstein brał udział w rokowaniach w latach 1703–1705, później, od 1709 r., przygotował co najmniej kilka projektów rozbiorowych, optował za opiłowaniem Rzeczypospolitej tuż przed śmiercią Augusta II, w 1732 r.

Jednym z jego większych projektów rozbiorowych był ten, który przygotował w 1709 r., jeszcze przed bitwą pod Połtawą i powrotem elektora saskiego do Polski. Został on przedstawiony Augustowi jako swoisty „grand dessein" (wielki plan) autorstwa Biebersteina. Jednocześnie określał maksymalne granice zainteresowań pruskich. Za cenę uznania Augusta ponownie królem, wzmocnienia władzy i akceptacji dziedziczności tronu w Polsce, Prusy zagarnąć miały Pomorze Gdańskie, Warmię i roztoczyć protektorat nad Kurlandią. Natomiast Inflanty zostałyby oddane we władanie Stanisławowi Leszczyńskiemu.

Projekt Biebersteina zawierał jedną ciekawostkę, której nie było w poprzednich próbach rozbiorowych. Otóż zakładał, że w zamian za zagarnięte terytoria Prusy i – w domyśle – Rosja pomogą Augustowi zreformować Rzeczpospolitą, poprzez wprowadzenie dziedziczności tronu i wzmocnienie władzy. Była to bardzo przewrotna oferta, gdyż sprawiała wrażenie, że jest wysunięta w imię interesów abdykowanego króla Polski. Tym samym otwierała możliwość manipulacji i wmawiania postronnym, że to sam August zainteresowany jest oddaniem części terytoriów królestwa w zamian za pomoc w zapanowaniu nad jego mieszkańcami i narzuceniu im siłą reform absolutystycznych. Prusy wykorzystały to później, fabrykując fikcyjne spotkanie w Krośnie Odrzańskim. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071

HONDA CR-V E:PHEV



FOT. JAP

Ten model japońskiego producenta w różnych krajach świata często trafia do zestawień najpopularniejszych SUV-ów. W Polsce ten model był w ubiegłym roku w TOP20 najczęściej kupowanych aut tego typu. Nowy napęd ma szansę przyciągnąć do salonów Hondy więcej klientów pytających właśnie o CR-V.

W testowanej wersji e:PHEV japoński SUV płynnie łączy dwa światy: elektryczny i spalinowy. Spora bateria umożliwia codzienne dojazdy do pracy wyłącznie na prądzie, a tradycyjny silnik daje wolność typowego auta spalinowego, dzięki której w trasie nie trzeba myśleć o konieczności doładowania baterii. To rozwiązanie promują producenci, którzy zauważyli, że wielu klientów nie chce kupować aut całkowicie elektrycznych, ale marzy o niemal bezgłośnej jeździe czy dynamice znanej z e-aut. Hybrydy plug-in stają się więc z roku na rok coraz bardziej popularne (według sierpniowego raportu KPMG i PZPM tylko w pierwszym półroczu 2025 r. odnotowano wzrost rejestracji nowych aut tego typu aż o 80,3 proc. w porównaniu z tym samym okresem roku 2024).

Pod maską testowanej Hondy CR-V znalazł się dwulitrowy silnik benzynowy połączony z dwoma silnikami elektrycznymi i baterią (moc maksymalna układu wynosi 184 KM, a moment obrotowy 335 Nm). Hybrydowy napęd i-MMD (intelligent Multi Mode Drive) płynnie przełącza między trybami pracy, wybierając najbardziej wydajną opcję w danym momencie. Realnie tylko na prądzie można przejechać ok. 80 km. Po wyczerpaniu baterii (o pojemności 17,7 kWh) Honda z elektryka zmienia się w oszczędną hybrydę (ze średnim spalaniem na poziomie 6,5 l/100 km).

Auto o długości 4706 mm pewnie się prowadzi, choć podczas pokonywania serpentyn trzeba pamiętać, że waży niemal dwie tony. Sprint od zera do setki zajmuje 9,4 s. Prędkość maksymalna to 195 km/h.

Jak na rodzinnego SUV-a przystało, kabina jest przestronna i ergonomiczna z dużą liczbą przydatnych schowków. Kierownicę z grubym skórzanym wieńcem (z opcją podgrzewania) wygodnie trzyma się w dłoniach. Również zawieszenie sprzyja komfortowym podróżom. Mimo dużej baterii spory jest tu też bagażnik (aż 617 l). Japończycy powiększyli jednak kufer kosztem prześwitu, który wynosi tylko 153 mm. Jest to więc SUV zaprojektowany głównie do jazdy po asfalcie (o czym świadczy również napęd na jedną oś).

Inne minusy? Niektórzy konkurenci oferują już bardziej przytulne wnętrze. Przy prędkościach autostradowych w kabinie robi się zbyt głośno. Poza tym 9-calowy ekran systemu multimedialnego wygląda, jakby Japończycy przespali ostatnie pięć lat. Na szczęście jest tu już obsługa AndroidAuto i Apple CarPlay, choć system Hondy potrzebuje niekiedy trochę czasu, aby się z nimi połączyć. Żadnych zastrzeżeń nie mam za to do dużych, czytelnych cyfrowych zegarów na 10-calowym wyświetlaczu. W codziennym użytkowaniu świetnie sprawdza się też obraz z martwego pola wyświetlany na centralnym ekranie po wrzuceniu kierunkowskazu (można go też łatwo wywołać jednym przyciskiem bez włączania kierunkowskazu).

Honda CR-V e:PHEV w odmianie Advance Tech kosztuje 239,5 tys. zł.

SAMSUNG S95F



Perfekcyjna czerń, świetne kolory, rewelacyjny kontrast, szerokie kąty widzenia, matowa matryca, wysoka jasność i eleganckie wzornictwo – to największe zalety telewizora, który łączy w sobie najlepsze cechy technologii OLED z zaletami kropek kwantowych.

Testowany model to jeden z najmocniejszych kandydatów do tytułu najlepszego telewizora 2025 r. Wyjątkowo smukły telewizor (o grubości 11 mm) dobrze wygląda na szafce, ale jeszcze lepiej jest go powiesić tuż przy ścianie. Aby nie było problemów z kablami, Koreańczycy zastosowali tu moduł One Connect. Do samego telewizora idzie więc tylko jeden cieniutki kabelek, a całą resztę podłącza się do modułu, który można np. schować w szafce.

Jakość obrazu w technologii QD-OLED zachwyca w każdej kolejności generacji modelu S95. Matowa matryca z eliminującą refleksy świetlne powłoką Glare-Free o rozdzielczości 4K (3840 x 2160) ma wysoką jasność maksymalną (dochodzącą do 2000 nitów). Aby móc cieszyć się obrazem wysokiej jakości nawet w salonach z dużymi oknami, nie trzeba więc zasłaniać rolet przed słońcem lub gasić lamp po zapadnięciu zmroku. Maksymalna częstotliwość odświeżania obrazu wynosi 120 Hz.

Fantastyczna, głęboka czerń sprawia, że mroczne sceny w filmach zyskują na dramaturgii. Technologia kropki kwantowanej oznacza również niemalże perfekcyjne odwzorowanie barw (99,99 proc. palety DCI-P3). Telewizor jest też uzbrojony w potężny procesor AI NQ4 Gen3, który w czasie rzeczywistym usuwa szumy i wyostrza detale. OLED S95F świetnie nadaje się więc nie tylko do oglądania filmów i seriali, lecz także śledzenia rozgrywek sportowych. Jednocześnie bardzo niski input lag (na poziomie od 5 ms do 10 ms) sprawia, że testowany model to również jeden z najlepszych obecnych obecnie na rynku telewizorów dla graczy.

Minusy? Brak wsparcia dla technologii Dolby Vision. Pilot jest co prawda praktyczny i mały, ale nie sprawia wrażenia premium. Dźwięk jest przyzwoity jak na płaski telewizor, ale aby jego jakość dorównywała jakości obrazu, trzeba dokupić dobry zestaw kina domowego.

Dla wielu wadą będzie też wysoka cena tego modelu. Za wariant 55-calowy trzeba zapłacić 8,3 tys. zł, 65-calowy kosztuje już ok. 10 tys. zł, za 77-calowy trzeba zapłacić ok. 15 tys. zł. Największy, 83-calowy, wariant został zaś wyceniony na niecałe 20 tys. zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 0f0a3f5071



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Powidła śliwkowe

Późne lato albo wczesna jesień to jednak nasza ulubiona, pod względem kulinarnym, pora roku. Stragany uginają się pod ciężarem pięknie ułożonych warzyw i owoców – tak przynajmniej jest w Warszawie na miejskim targowisku przy Hali Mirowskiej, a właściwie przy Halach Mirowskich, bo są dwie. Wybudowano je na przełomie wieków XIX i XX z myślą o tym, aby stworzyć centrum handlu w samym środku miasta. Były to bliźniacze hale, których nazwa pochodzi od dawnych koszar, które tu były wcześniej, a te z kolei nazwano tak od nazwiska gen. Wilhelma Mera. Do dziś swoją funkcję pełni tylko jedna z nich – Zachodnia, druga, dawna Hala Gwardii, czeka na przebudowę.

Panuje tam wyjątkowa atmosfera. Ludzie, którzy na Hali handlują i kupują, znają się, a rozmowy nie dotyczą wyłącznie zakupów. Panuje gwar, czasem jest tłoczno, ale nie ma agresywnej muzyki czy reklam, jak to bywa w wielkopowierzchniowych sklepach. Czasem przyjeżdża się po ziemniaki i ser, a wraca z piękną broszką czy jakąś od dawna poszukiwaną książką.

Wrzesień to idealny moment, aby zamknąć skarby kończącego się już lata w małych słoikach. Trzeba to robić teraz, bo mamy ogromny wybór – za chwilę po lecie będzie już tylko wspomnienie. Zapewne większość z nas już zakisiła ogórki, teraz czas na papryki w zalewie, kompoty, ale przede wszystkim przeciery pomidorowe – bo zupę pomidorową w naszych domach kochają wszyscy. W nadchodzącym tygodniu robić będziemy powidła śliwkowe i dżem z brzoskwiń.



FOT. ADOBE STOCK

Podczas smażenia powideł powinno się zachować przede wszystkim spokój i smażyć je na małej mocy palnika. Smażenie trwa kilka dni. Kiedy śliwki nieco zaczną przywierać i zrobią się gęste, są gotowe do zamknięcia w słoiku. We wrześniu zrobimy jeszcze sok z malin – taki tradycyjny na cukrze w proporcjach jeden do jednego – będzie idealny do herbaty zimową porą. Przetwory to idealny sposób na przechowanie wartości odżywczych i świetny pomysł na spędzenie czasu rodzinnie. Zatem zabierajmy się do pracy!

Śliwka czekoladowa

• 2 kg mocno dojrzałych śliwek, najlepiej węgierek • 350–400 g cukru • 90 g kakao • laska wanilii

Śliwki myjemy, wyjmujemy pestki i wkładamy do garnka z grubym dnem. Dusimy na średnim ogniu do momentu, aż puszczą sok, następnie zmniejszamy moc palnika i delikatnie dusimy kolejną godzinę. Dodajemy cukier i dalej smażymy. Potem śliwki miksujemy blenderem i dodajemy kakao. Smażymy kolejną godzinę, pilnujemy, aby śliwki nie przywarły do dna. Dodajemy ziarenka wanilii i mieszamy jeszcze przez chwilę. Przekładamy do wyparzonych słoiczków, przetartych spirytusem, jeszcze gorące powidła. Obracamy do góry dnem. Możemy również zawekować je w inny sprawdzony sposób. Idealne do naleśników i ciasta kruchego. Smacznego! ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na Podhalu bida

W latach 80. spędzaliśmy wakacje w drewnianej chałupie, wysoko w górach Beskidu. Właściciele wynajmowali stary dom, wybudowali sobie nowy. Chałupa bez wody, bez łazienki, bez mebli, po prostu dwie izby i sień. Czasy, które były wtedy, kto przeżył, pamięta.

Żeby nas tam wszystkich przywieźć i nakarmić, potrzebna była pomoc okolicznych gospodarzy. „Na Podhalu bida" – jak mawiał Piotr Skrzynecki w Piwnicy pod Baranami. Ale to nie przeszkadzało. Zawsze ktoś podwiózł nam bety na górę, bo auto nie dojeżdżało, od kogoś brało się mleko i kartofle, z większością sąsiadów się przyjaźnie gawędziło. Pan Leon, sąsiad najbliższy, przechodził przez „nasze" podwórko grabić siano, przecież nikt na Podhalu się wtedy nie grodził. Machał ręką. „Łodpocywacie sobie" – mówił życzliwie. Zrywaliśmy się wstydliwie z leżaków, głupio było, że my tu „łodpocywamy", a on pracuje.

Wakacje, w tle piękne góry i ci sympatyczni sąsiedzi. I wieś podhalańska z jeszcze wtedy zachowanym zwyczajem, z chałupami, które fotografowała Zofia Rydet.

Nie wiem, czy to wszystko dziś istnieje, bo już tam nie jeżdżę. Ale tkliwość, którą zachowałam dla góralszczyzny („nigdy tam Niemca nie było"), pozostała. Oraz idealizowanie tego wszystkiego. A właśnie przeczytałam książkę Antoniny Tosiek „Przepraszam za brzydkie pismo". Są to relacje wiejskich kobiet, niektóre jeszcze z dwudziestolecia międzywojennego, inne z lat 50., 60. i 70., z PRL, pisane na konkursy organizowane w PRL przez czasopisma dla wsi. Anonimowe lub ze zmienionymi danymi, więc szczere. Kobiety opowiadają o warunkach życia, dostępie do edukacji, stosunkach rodzinnych, miłości, małżeństwie.

Stanęły mi przed oczami nasze kochane sąsiadki z Podhala oglądane oczami wczasowiczów, którymi wtedy byliśmy. Idylla pewnie była tylko na zdjęciach, kiedy nasi synowie, wówczas ok. kilkuletni, wesoło machają z wozu z sianem pana Leona. Jak było naprawdę, tego nie wiedzieliśmy.

Ciężko było tym kobietom. Ojcowie nie puszczali córek do szkół. Bo po co, skoro i tak będziesz krowy doić? Za mąż trzeba było pójść w ramach umowy międzygospodarskiej i dziedziczenia ziemi. Dzieci rodziły czasem i po kilkanaścioro. Starsze córki opiekowały się najmłodszymi, szły w pole, obrabiały żywy dobytek, gotowały, usługiwały mężczyznom.

Tak było, ale ja widziałam tylko miłą panią Józkę, która przynosiła czasem ser i zostawała chwilkę pogawędzić. Niezadługo, bo robota czeka. Cóż my mieliśmy jej do powiedzenia? Nasze życie w Warszawie było dla niej jak życie kosmitów na Marsie.

Ale to były najpiękniejsze wakacje naszych dzieci. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

KPO a... reparacje

Wiele atramentu wylano na temat pieniędzy z KPO. Pomijając sensacyjne wspieranie jakichś durnot, należy przypomnieć, że sam fundusz był stworzony, aby wesprzeć przedsiębiorców po plagach lockdownowych, które państwa same sprowadziły na własne gospodarki w covidowej panice. Akcja ta została użyta jako pretekst do wprowadzenia znaczących wyłomów w Unii Europejskiej, które sprowadzały się do dwóch rzeczy: Komisja Europejska otrzymała prawo do zaciągania pożyczek w imieniu członków Unii oraz po raz pierwszy opodatkowała kraje członkowskie.

Pieniądze, które przyszły do nas po pięciu latach, nie miały praktycznie żadnego sensu, jeśli chodzi o ich pierwotne, a właściwie deklarowane przeznaczenie. Ich głównym celem było sfinansowanie dywersyfikacji modeli biznesowych przedsiębiorstw dotkniętych kosztami covidowych lockdownów. Ale po pięciu latach takie firmy albo już dawno upadły, albo same się zdywersyfikowały, bo inaczej nie dotrwałyby do złotego deszczu pieniędzy. Tę podstawową sprzeczność przykryły niedawne rewelacje na temat dziwacznych „modeli biznesowych" wspartych tym programem. Ten hałas, choć dotyczył promilowej części wydatków na KPO, przykrył smutny fakt, że całe to wsparcie w gruncie rzeczy poszło na Zielony Ład i cyfryzację, jakby to te dziedziny ucierpiały gospodarczo w pandemicznym szaleństwie.

Ale ostatnio wpadłem na arcyciekawą informację: otóż mamy ostatnio wiele zamętu z polskim żądaniem reparacji wojennych od Niemiec. Temat wydaje się mocno polityczny i grzany na użytek wewnętrzny. Aż tu nagle wyszło, że reparacje za straty wojenne otrzymają Włosi i – uwaga! – w ramach finansowania z... KPO. Tak, okazało się, że na pokrycie szkód wyrządzonych przez Niemcy w drugiej wojnie światowej składa się cała Europa, nawet ofiary niemieckiej agresji i nawet na wsparcie krajów – jak Włochy – które wojowały ramię w ramię z Hitlerem.

Rozwiązanie to jest absurdalnie poniżające i wskazuje na nieograniczoną butę tych, którzy takie cuda wpisali do KPO. Stawiam dolary przeciwko orzechom (włoskim), że na zasadzie qui prodest maczali tu swoje łapki Niemcy. Jak pisał kiedyś Herbert: „Pocisk, który wystrzeliłem w czasie wielkiej wojny, obiegł kulę ziemską i trafił mnie w plecy". Tak właśnie stało się z reparacjami – kiedy polscy politycy toczą, narracyjną tylko, walkę o reparacje od Niemców, ci tak namieszali, że to nie Niemcy nam, ale my Włochom zapłacimy za grzechy naszych sąsiadów. I na takie cuda poszły pieniądze przeznaczone pierwotnie na niwelację skutków pandemicznych lockdownów. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Jesteście okrutnie żałośni

Patrząc na działania neomarksistowskiej lewicy w Polsce, nie trzeba być specjalnie bystrym analitykiem, żeby dostrzec prymitywną metodę kserokopiarki. Tożsamość strategii wynika z samych korzeni rewolucji, ze szkoły frankfurckiej. Natomiast forma małpowana jest w sposób prostacki. Pamiętamy przecież jak ruch „wyp.....lać", czyli tzw. Strajk Kobiet, pełnymi garściami czerpał wzorce z amerykańskich zamieszek BLM. Wulgaryzmy w przestrzeni publicznej, potem, na prawach cytatu, z lubością powielane w głównych mediach. Transparenty pisane szminką na pudełkach po pizzy, ataki na pomniki i miejsca kultu – to wszystko działo się według metody „kopiuj – wklej".

Podobne jest też przyzwolenie i bezkarność. Wpatrzone w zachodnią lewicę pokolenie ulokowane na uczelniach, w mediach, w administracji, w sądach pod tymi samymi hasłami – walki o prawa kobiet, walki z faszyzmem, wykluczeniem itp. – atakuje wszelkie przejawy konserwatywnej tożsamości. Bojówkarze nie tylko pozostają bezkarni, lecz także są teraz nagradzani lukratywnymi posadami i grantami. Od pewnego czasu, z pełnym cynizmem, wbrew jakimkolwiek historycznym przesłankom, starają się zaś przeflancować do Polski idee tzw. sprawiedliwości naprawczej i antykolonializm. Skoro nie mieliśmy w naszej historii niewolników z Afryki i Indian, to wykreujmy ich z pańszczyźnianych chłopów (albo lepiej z chłopek) czy wiejskiej ludności na Kresach.

Teraz, po zabójstwie Charliego Kirka, te środowiska nie kryją euforii i uczucia triumfu. Patologiczne „elity" bohatersko walczące z wszelkimi przejawami przemocy (np. prawem do życia, rodziną, patriarchatem), tropiące mowę nienawiści, dziś nie kryjąc radości z zamordowania konserwatywnego lidera, przekroczyły granicę sensu. Tym jednak, co najbardziej obnaża ich postawę, jest milczenie po śmierci Ireny Zaruckiej, której recydywista w wagonie kolejki podciął gardło. Przecież, do cholery, śp. Irena, młoda, piękna Ukrainka, powinna stać się dla lewicy ikoną męczeństwa. Niestety, mimo że była imigrantką, uciekinierką z terenu objętego zbrojnym konfliktem, kobietą, niewinną ofiarą mężczyzny, choć po wielokroć wyczerpuje wszelkie znamiona uciskanych mniejszości, nie będzie dla akademickich i medialnych elit symbolem buntu, bohaterką zagrzewającą do walki o „lepszy świat". Dlaczego? Ponieważ jej zabójca jest Afroamerykaninem, który mimo 14 przestępstw, wskutek ideologicznej aberracji amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, pozostawał na wolności.

Milczenie po zabójstwie Ireny i triumf po śmierci Charliego są kolejnymi dowodami, że radykalna lewica, ze swoją ideologią, dotarła do logicznego końca. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071



ĆWIERKOT

Najnowsze winy Ewy

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

A może by za zdewastowany dom we Wyrykach obciążyć jabłkopożerającą Ewę? Stop. Nie mam jeszcze do tego przekonania, kombinuję na bieżąco i proszę, żeby wyrazili państwo opinie. Stop. No bo tak: na dom we Wyrykach ponad tydzień temu coś spadło i wszyscy byli przekonani, że zniszczył ten dom ruski dron. Stop. Nawet ten nieszczęsny Bosacki wice-Sikorski poleciał do ONZ i pokazywał, jak nam Rosjanie zniszczyli dom. Stop. Dziennikarze ustalili jednak, że to nie rosyjski dron, tylko polska rakieta z F-16, która dron miała zniszczyć, ale się zepsuła i trafiła w dom. Stop. Minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz w czasie konferencji lawirował przez kwadrans, by rakiety nie potwierdzić, ale by stwierdzić, że zniszczenia domu to i tak przez dron, bo gdyby go nie było, to rakiety by nie odpalono. Stop. Jakaś logika w tym jest; niemniej gdyby iść tym torem rozumowania, przyznać by należy (to moja propozycja), że gdyby Ewa nie pożarła jabłka, to w ogóle nie byłoby F-16. Stop. To co? Zrzucamy na Ewkę?

Teraz będzie historia, że nie wierzę, co piszę. Stop. Piotr Koczorowski, do niedawna najtwardszy z twardych konserwatystów od Brauna, będzie walczył w klatce, czyli w lekko cyrkowym dziwowisku, z facetem, który się przebiera za babę. Stop. Jeszcze raz sobie przeczytam, co napisałem, bo nie chce mi się wierzyć. Prawdę napisałem i nawet dopowiem (też będzie soczyste)! Koczorowski bardzo się zakochał w Mariannie Schreiber, która szuka szczęścia na świecie w ramionach męskich i klatkach z walkami typu dziwowisko, w których już brała udział. Stop. A, i jeszcze jedno, ten Koczorowski ma walczyć z drag queen o pseudonimie Dżaga, który to facet przebiera się m.in. za Dodę i ją naśladuje. Stop. Podsumowując: Kometo, czy nie czas zakończyć tę cywilizację? Stop.

To jeszcze jedną mam dla państwa informację z serii „Ale jak to?". Stop. Jest sobie taki były polityk Konfederacji Dawid Szóstek, tęgi konserwatysta z wartościami. Stop. Rzucił jednak Konfederację dla miłości, bo zakochał się w mężczyźnie, to znaczy w biologicznym mężczyźnie, to znaczy w osobie, która urodziła się jako mężczyzna, ale teraz podobno, według słów samego Szóstka, „jest stuprocentową kobietą". Stop. Widziałem zdjęcia i no nie wiem, ale nie chcę nikomu psuć szczęścia. Stop. Ta od niedawna kobieta ma na imię Michalina i jest, jak przeczytałem, „interpłciową modelką" (nie mam pojęcia, co to znaczy) i chciałem młodym życzyć wszystkiego najlepszego i jeśli to nie będzie nietakt, to dużo dzieci, a gdyby miał to być nietakt, to mało. Stop. ©℗



SPODE ŁBA

Wojna bez rękawiczek

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Zaskakującą szczerością popisał się niedawno emerytowany generał izraelski – Herzi Halevi. Potwierdził on, że ofiarą izraelskich ataków, jako zabici i ranni, padło do tej pory ponad 200 tys. mieszkańców Strefy Gazy, czyli więcej niż 10 proc. tamtejszej ludności. Wypowiedzi generała w tej kwestii zacytował brytyjski dziennik „The Guardian". Padły one podczas spotkania z mieszkańcami kibucu Ein HaBesor i były transmitowane w Internecie.

Oficer ten wie, co mówi. Do marca 2025 r. generał był szefem sztabu izraelskich sił zbrojnych. Podane przez niego liczby zgadzają się z oficjalnymi danymi, publikowanymi przez instytucje międzynarodowe i władze palestyńskie w Gazie. Zgodnie z nimi zginęło tam ok. 64 tys. Palestyńczyków, natomiast 164 tys. zostało rannych. Władze izraelskie nazywają te statystyki kłamliwą propagandą Hamasu.

Wiarygodności słowom gen. Haleviego przydaje fakt, że nie jest on zwolennikiem łagodnego traktowania ludności palestyńskiej ani tym bardziej krytykiem postępowania swojej armii. „To nie jest łagodna wojna. Już od pierwszej minuty jej trwania zdjęliśmy rękawiczki. Szkoda, że nie zrobiliśmy tego wcześniej" – oświadczył wojskowy.

Zgodnie z obliczeniami izraelskiego wywiadu, do których dotarł „The Guardian", ofiary cywilne w Gazie stanowią aż 83 proc. łącznej liczby zabitych. Brytyjski dziennik porównał przedstawiane przez siebie dane z historycznymi konfliktami, podczas których dochodziło do ludobójstwa. Bezsprzecznym liderem tego przerażającego zestawienia jest wojna w Rwandzie, podczas której cywile stanowili aż 99,8 proc. ofiar. W zdobytej przez Serbów bośniackiej Srebrenicy cywili zginęło 92 proc., a podczas całej wojny domowej w Bośni – 57 proc. Zdaniem brytyjskiego dziennika ofiary cywilne na Ukrainie w latach 2022–2024 wyniosły 10 proc. łącznej liczby zabitych. Może być to niemałym zaskoczeniem dla polskich polityków i „autorytetów moralnych", którzy w odniesieniu do wojny na Ukrainie odmieniają słowo „ludobójstwo" na wszelkie możliwe sposoby, starannie unikając używania go w odniesieniu do działań armii izraelskiej.

Publikowane w Internecie reklamy, finansowane przez Izrael, a przedstawiające smakowite arabskie dania konsumowane w wypełnionych zadowolonymi klientami restauracjach Strefy Gazy, są nie tylko dowodem koszmarnej, bo drwiącej z ludzkiego cierpienia hucpy. Są też narzędziem demoralizacji wielu oglądających je internautów, którzy wyciągają z nich wniosek, że prawda i oburzenie wobec zadawanej masowo śmierci nie mają już we współczesnym świecie racji bytu. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071



GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zastrzelić konserwatywny umysł!

Nazwisko Kirk w amerykańskim konserwatyzmie wiele znaczy. Russell Kirk – pisarz i myśliciel polityczny – był obok Richarda M. Weavera, Williama F. Buckleya czy Thomasa Molnara jedną z najważniejszych postaci rozwijającego się w dwóch dziesięcioleciach po zakończeniu drugiej wojny światowej amerykańskiego intelektualnego konserwatyzmu. Jego opublikowana w 1953 r. książka pt. „Konserwatywny umysł" („The conservative mind"), śledząca konserwatywne inspiracje w amerykańskiej myśli i kulturze politycznej, do dzisiaj jest uważana za jeden z tekstów formacyjnych nie tylko dla tzw. paleokonserwatystów.

Czterdzieści lat po ukazaniu się tej przełomowej dla amerykańskiego ruchu konserwatywnego książki urodził się Charlie Kirk. W naszych czasach nazwisko Kirk, zwłaszcza dla młodych Amerykanów czerpiących wiedzę o świecie z TikToka oraz internetowych podcastów, kojarzone jest z konserwatyzmem właśnie dzięki temu popularnemu komentatorowi. 10 września ten konserwatywny influencer, mający miliony followersów w mediach społecznościowych, został zamordowany w czasie debaty na jednym z uniwersytetów w stanie Utah.

Charlie Kirk reprezentował to wszystko, co dla każdego promotora grasujących w świecie amerykańskiej polityki i akademii rewolucyjnych ideologii było szczególnie niebezpieczne: wiedzę, umiejętności retoryczne, odwagę do podejmowania debat na „wrogim" terytorium, a przede wszystkim zdrowy rozsądek, którym był w stanie docierać zwłaszcza do młodych ludzi. Dość posłuchać jego debat z młodymi zwolennikami „prawa do wyboru" (tj. nieograniczonego niczym prawa do aborcji), by przekonać się, jak bardzo był on niewygodny dla wszystkich współczesnych „szczurołapów z Hameln". Charlie Kirk umiejętnie, nikogo nie obrażając, w toku debat na argumenty, odwołując się do rozumu, a nie do emocji, zakłócał zwodnicze melodie niebezpiecznych grajków.

Ci ostatni od czasów rewolucji francuskiej w imię rządów tak czy inaczej definiowanej „cnoty" (w czasach Robespierre'a była to „walka z tyranami", dzisiaj jest to „walka z mową nienawiści") odwołują się do przemocy, bo przecież – jak powiadali dawni i jak powtarzają współcześni jakobini – „nie ma wolności dla wrogów wolności/tolerancji/różnorodności/wartości europejskich". Tak mówią i tak działają ci sami politycy, naukowcy czy dziennikarze, którzy za każdym rogiem widzą „faszyzm" i na odległość wyczuwają „zatęchłą atmosferę nienawiści". Im bardziej ją wyczuwają u innych, tym mniej dostrzegają ją u siebie.

Symptomatyczne pod tym względem było zachowanie się demokratów w Kongresie USA czy szeroko pojmowanej lewicy w Parlamencie Europejskim, którzy nie byli w stanie w swojej bezbrzeżnej tolerancji i empatii wytrzymać nawet niecałej minuty ciszy dla upamiętnienia zamordowanego konserwatywnego komentatora. Demokracja walcząca z „faszyzmem" nie ma szacunku dla zwolenników zdrowego rozsądku nawet po śmierci.

Nie trzeba specjalnie wysilać wyobraźni, by domyśleć się, co by było, gdyby prawicowi parlamentarzyści zakłócali minutę ciszy ogłoszoną dla uczczenia pamięci jakiegoś aktualnego bohatera lewicy. W swoich ostatnich wystąpieniach przed tragiczną śmiercią Charlie Kirk wytykał lewicy hipokryzję, która widząc wszędzie rasizm, sama różnicuje ofiary w zależności od koloru skóry. Kirk nawiązywał w ten sposób do podejmowanych przez liberalnych komentatorów prób wybielania czarnoskórego bandyty, który z zimną krwią zamordował szukającą azylu w USA ukraińską modelkę. Życie zamordowanej białej kobiety jakby było mniej godne upamiętnienia tylko dlatego, że mordercą okazał się Murzyn (rzecz jasna „pogubiony społecznie" – jak wyjaśniali dyżurni kryminolodzy z „fake news factory").

Tego typu diagnozy, które Charlie Kirk stawiał w swoim podcaście oglądanym przez miliony Amerykanów, obóz niecofającego się przed niczym postępu określił z miejsca jako „mowę nienawiści" i „nawoływanie do przemocy". Melodia wygrywana przez współczesnych „szczurołapów z Hameln" zwiodła także tych, którzy skutecznie przygotowali i przeprowadzili zamach na niewygodnego przeciwnika. Został zamordowany na jednym z uniwersyteckich campusów, które od kilkudziesięciu lat są w awangardzie ruchu walczącego w imię „postępu" z wolnością badań naukowych i publicznej debaty. Idee mają konsekwencje, i to straszliwe. ©℗

eprasa.pl 0f0a3f5071



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Z koniem można się zaprzyjaźnić do tego stopnia, że zwierzę będzie za tobą tęsknić. Z bydłem tego się zrobić nie da. Bydło możesz do siebie przyzwyczaić, oswoić – nie będzie uciekać, przyjdzie, gdy zawołasz do koryta, ale przyjaźnić się nie da. Bydło to bydło i dlatego o niektórych ludziach mówimy „bydło", gdy zachowują się jak stado bez uczuć wyższych. A jak bydło zachowuje się w obliczu śmierci? Gdy na prerii padnie krowa, stado schodzi się dookoła niej i muczy smutno. Czyli nawet głupie bydło wie, jak się zachować w obliczu czyjejś tragedii.

W Kongresie demokraci buczeli, szydzili i hałasowali, gdy poproszono o minutę ciszy, by uczcić pamięć Charliego Kirka zastrzelonego w zamachu. W europarlamencie to samo. I w polskim Sejmie też. Mogli się zachować z godnością. Nie musieli szydzić, nie musieli buczeć, mogli wyjść i dać innym szansę na minutę ciszy, ale wybrali zachowania agresywne.

***

Lewicowe bydło wiwatowało też na amerykańskich ulicach oraz w sieci. Świętowali w amoku z okrzykami: „We got him!" („Dostaliśmy go!"). Charlie Kirk został zamordowany strzałem w szyję. Z tętnicy chlusnęła krew. Wszystko na oczach tłumu studentów zgromadzonych na kampusie z okazji otwartej debaty. Gdy krew bryzgała, a Kirk umierał, niektórzy z tych studentów zaczęli wiwatować. Są zdjęcia, są filmy – pokazują radość ze śmierci oglądanej na żywo, zaciśnięta pięść uniesiona w górę, wyskok ponad głowy kolegów i wrzask jak na meczu, gdy mamy gola. „Dostaliśmy go!".

A w mediach komentowali po zamachu, że Kirk „sam sobie zasłużył". CZYM sobie zasłużył? Tym, że przez 13 lat jeździł po kampusach i rozmawiał ze studentami – TYM sobie zasłużył na wyrok śmierci. Czyli lewica i media głównego nurtu uważają, że gdy ktoś prezentuje publicznie odmienne poglądy, to „sam sobie zasłużył" na śmierć. Charlie Kirk nikogo nie zmuszał do rozmowy; sami do niego przychodzili i rozmawiali dobrowolnie. – W takim razie trzeba go było zastrzelić – to mówi lewica.

***

Kim są ci ludzie? Co to za subkultura? Jakaś mała chora grupa zabójców? Nie! Grupa wcale nie jest mała. Pięć miesięcy przed śmiercią Charlie Kirk opisywał ich na platformie X. Cytuję: „Na lewicy rośnie kultura zamachów na życie. 48 proc. liberałów mówi, że zamordowanie Elona Muska byłoby przynajmniej w pewnym stopniu uzasadnione. 55 proc. mówi to samo o Donaldzie Trumpie. Lewicę się podjudza w kierunku agresywnego amoku. Jakakolwiek porażka, czy to przegrane wybory, czy przegrany proces sądowy, jest uzasadnieniem dla stosowania przemocy".

Dalej Kirk tłumaczy, że lewica przez lata eskalowała swoje protesty uliczne, gdzie tolerowano niszczenie mienia, podpalenia i przemoc fizyczną. Tchórzliwy brak reakcji ze strony władz (prokuratura, dyrektorzy szkół) spowodował, że lewica jest teraz jak tykająca bomba. Po zamachu na Kirka prawicowy komentator Matt Walsh ujął to krócej: Lewica chce nas pozabijać. I to jest u nich mainstreamowy punkt widzenia (a nie margines).

Już się nie kryją ani nie wstydzą. Dawniej baliby się, że za groźby karalne wywieszone w sieci pod prawdziwym nazwiskiem ktoś ich będzie ścigał. Potem przestali się bać i kryć oraz przeszli do czynów. O dwóch zamachach na Trumpa państwo słyszeli, ale tego jest więcej: zamachy, ataki, napady – na senatorów, kongresmenów, sędziego Sądu Najwyższego, na politycznych komentatorów takich jak np. Tucker Carlson, plus strzelaniny w katolickich szkołach i kościołach.

***

Kim są zamachowcy? Lewicowe środowisko przyzwala na przemoc i judzi w kierunku przemocy, ale wykonawcami konkretnych zamachów nie są wszyscy naraz. Czy istnieją jakieś wyspecjalizowane bojówki? Owszem. Istnieją bojówki, które szkolą się na strzelnicach, organizują grupy na siłowniach, zmawiają się w sieci, tworzą komórki terrorystyczne i szykują się do powstania przeciw amerykańskiemu porządkowi rzeczy. Kim są?

Lewackie media w Polsce podawały, że Charlie Kirk zginął z ręki zamachowca, który pochodził z konserwatywnej rodziny republikańskiej. Klasyczna NIBY-prawda. Mieliśmy uwierzyć, że zabójcą był republikanin, tymczasem zamachowiec sam o sobie mówił, że jest komunistą. Wyprowadził się z konserwatywnego domu rodziców i zamieszkał z kolegą trans. Stanowili parę homo.

Istnieje siatka transwestytów. FBI znajduje kolejne osoby, które przed zamachem na Kirka pisały o planowanym zamachu – wszyscy są trans. Najpierw znaleziono sześciu, którzy się zmawiali (komórka terrorystyczna), teraz namierzono ich już 20. Morderca to homo, jego partner to transwestyta, a obaj to aktywiści komunistyczni.

***

Aby być terrorystą, trzeba mieć w sobie samobójcę. Terroryści islamscy dokonują samobójczych zamachów, bo wierzą w nagrodę po śmierci – i dlatego śmierć im niestraszna. Z kolei środowisko trans jest najbardziej samobójczą grupą w USA. Połowa, czyli co drugi, albo popełnia samobójstwo, albo chce popełnić, albo już podejmowała jakieś próby samobójcze. Najpierw im namieszano w głowach, że chłopak jest dziewczyną, następnie zastosowano silne hormony lub skalpel, a potem ktoś taki jest wyrzutkiem społecznym, dziwolągiem, sam nie wie, kim jest, chory umysłowo nieszczęśnik, który już nie chce żyć, tylko się zabić, a przy okazji nienawidzi tego społeczeństwa, które go otacza i do którego on nie pasuje. Im już na niczym nie zależy, są agresywni (efekt uboczny „terapii" hormonalnej), chcą zginąć z hukiem i tak właśnie giną. Ostatnich dziewięć dużych strzelanin w USA to nie republikańscy posiadacze broni, tylko świry trans. Lewica to kult śmierci, a środowisko trans to ochotnicze zbrojne ramię tego kultu.

***

Wystarczy jedno słowo: transwestyta. Nie jest potrzebne żadne dodatkowe odróżnianie transwestytów, którzy się przebierają dla podniety, od „osób transpłciowych", które się uważają za płeć przeciwną. To są wszystko transwestyci, czyli przebierańcy. Niektórzy się przebierają chirurgicznie, inni zmieniając ubranie, ale to wszystko ten sam demon/ta sama choroba psychiczna. Nie interesują nas stopień jej zaawansowania czy konkretne objawy, gdy prowadzimy ogólną rozmowę na ten temat. ©℗

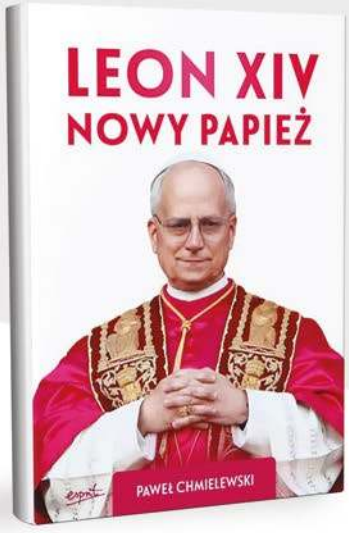
eprasa.pl 0f0a3f5071

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ CHMIELEWSKI: „LEON XIV. NOWY PAPIEŻ"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~782 ZŁ~~

293,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 489 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0f0a3f5071

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



„BUNT ŻELIGOWSKIEGO" – JAK POLACY ODZYSKALI WILNO

Wielka gra o Wileńszczyznę – Józef Piłsudski chciał stworzyć federację na ziemiach byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wilno w polskich rękach miało być kartą przetargową

Miasto miłosierdzia – Cudowne wizerunki Jezusa i Matki Bożej przyciągają do Wilna tysiące wiernych. Dzieje powstania obu świętych dla Polaków obrazów pełne są zaskakujących wątków

Piastowski demon – Bolesław Rogatka okazał się jednym z największych łotrów i szubrawców tej wielkiej polskiej dynastii

Na ostatnim posterunku – Straceńcze boje to nie tylko polska specjalność. Często mimo braku militarnego sensu przynosiły one mniej lub bardziej dalekosiężne skutki i były również powodem do dumy dla przyszłych pokoleń

W kleszczach walk AK i UPA – Pod koniec wojny na Hrubieszowszczyźnie niemal każdy walczył z każdym. Polskie podziemie w bardzo brutalny sposób pacyfikowało ukraińskie wsie, starając się zastraszyć ukraińskich nacjonalistów

Pośpiech Anny Kamieńskiej – Po śmierci męża poetka stwierdziła: „Szukałam umarłego, a znalazłam Boga". Ksiądz Twardowski nie nawracał jej. Zrozpaczona po śmierci męża sama odnalazła Boga

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 0f0a3f5071